

# Murakami

HARUKI

## Po zmierzchu

przełożyła z japońskiego Anna Zielińska-Elliott

Warszawskie Wydawnictwo Literackie  
MUZA SA



Tytuł oryginału japońskiego: アフターダーク

*Afutādāku*

Tytuł przekładu angielskiego: *After Dark*

Projekt okładki i opracowanie graficzne: *Agnieszka Szyrka i Anna Pol*

Redaktorzy prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz i Maja Lipowska*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Korekta: *Monika Kresa*

ISBN 978-83-7495-170-8 (oprawa twarda)

ISBN 978-83-7495-163-0 (oprawa broszurowa)

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2007



Patrzymy na miasto.

Ogarniamy ten widok z lotu nocnego ptaka szybującego wysoko po niebie. W naszym szerokim polu widzenia miasto jawi się jako olbrzymie stworzenie. A może jak jakaś zbiorowość powstała ze splątania kilku żywych organizmów. Niezliczone naczynia krwionośne, rozciągając się aż po krańce tego niezdefiniowanego ciała, umożliwiają obieg krwi i nieustannie odtwarzają komórki. Wysyłają nowe informacje, odprowadzają stare. Wysyłają nowe materiały, odprowadzają stare. Wysyłają nowe sprzeczności, odprowadzają stare. Ciało pulsuje światłami w rytmie tętna, wiję się, jego temperatura wzrasta. Zbliża się północ, więc minął już szczyt jego aktywności, lecz utrzymująca je przy życiu podstawowa przemiana materii dokonuje się z niesłabnącą energią. Rozlega się *basso continuo* jednostajnego, monotonnego, lecz brzemiennego przeczuciem pomruku miasta.

Nasz wzrok wyławia miejsce, w którym jest skupisko świateł, i koncentruje się na nim. Spokojnie obniża się ku temu punktowi. Morze barwnych neonów. To tak zwana dzielnica handlowo-rozrywkowa. Ogromne cyfrowe ekrany przymocowane do ścian budynków ucichną z wybicciem północy, lecz głośniki u wejść sklepów będą dalej niewzruszenie wybijały tony hip-hopu z przesadnie podkreślonymi basami. Salon gier z tłumem młodych ludzi. Hałaśliwe elektroniczne dźwięki. Grupa studentów wracających zapewne z jakiejś imprezy na mieście. Nastoletnie dziewczyny o utlenionych blond włosach pokazują spod minispódniczek zdrowe nogi. Pracownicy firm, którzy chcą zdążyć na ostatni pociąg, pośpiesznie przechodzą przez gigantyczne skrzyżowanie. Mimo późnej pory naganiacze z barów karaoke nadal hałaśliwie nawołują klientów. Tandetnie ozdobione czarne kombi przepływa powoli ulicą, jakby przeprowadzało inspekcję miasta. Okna ma oklejone ciemną folią. Przywodzi na myśl stworzenie o skórze i skrzelałach przystosowanych do życia na dnie oceanu. Dwóch młodych stremowanych policjantów patroluje ulicę, ale prawie nikt nie zwraca na nich uwagi. O tej porze miasto żyje, rządząc się własnymi prawami. Zbliża się koniec jesieni. Nie ma wiatru, lecz powietrze jest chłodne. Za chwilę zmieni się data.

Znajdujemy się w czynnej całej dobie restauracji Denny's.

Jest tu mało oryginalne, lecz funkcjonalne oświetlenie, są pozbawione wyrazu sale i

nijakie naczynia, rozkład wnętrza szczegółowo i drobiazgowo wyliczony przez inżynierów technologów, w tle nieszkodliwa muzyka, pracownicy dokładnie przeszkoleni w obsłudze klientów zgodnie z procedurami. „Witamy w Denny’s”. Wszystkie sprzęty i przedmioty są anonimowe i łatwe do zastąpienia nowymi. Prawie nie ma wolnych miejsc.

Przebiegamy restaurację wzrokiem i nasze oczy zatrzymują się na dziewczynie siedzącej przy oknie. Dlaczego na niej? Dlaczego nie na kimś innym? Nie wiemy, z jakiej przyczyny. Ale ta dziewczyna jakoś przyciąga nasze spojrzenie. Bardzo naturalnie. Siedzi przy czteroosobowym stoliku i czyta książkę. Ma na sobie szarą bluzę z kapturem, dzinsy i żółte, spłowiałe zapewne od wielokrotnego prania, adidas. Na oparciu krzesła obok wisi kurtka baseballowa. Też nie robi wrażenia nowej. Dziewczyna wygląda na studentkę mniej więcej pierwszego roku. Jest już po maturze, ale zachowała jeszcze w sobie coś z licealistki. Włosy ma czarne, krótkie, proste. Prawie nie jest umalowana, nie nosi też żadnych ozdób. Szczupła, drobna twarz. Okulary w czarnych oprawkach. Między brwiami od czasu do czasu pojawia się poważna zmarszczka.

Dziewczyna w wielkim skupieniu czyta książkę. Prawie nie odrywa od niej wzroku. To gruby tom w sztywnej oprawie, ale ponieważ obłożono go w papier firmowy księgarni, nie wiadomo, jaki ma tytuł. Sądząc ze skupienia czytającej, treść musi być mało zrozumiała. Wydaje się, że niczego nie pomija, że dziewczyna dokładnie wczytuje się w każdą linijkę.

Na stole filiżanka kawy. I popielniczka. Obok popielniczki granatowa czapka baseballowa. „B” oznaczające bostońską drużynę Red Sox. Czapka może być trochę za duża. Na sąsiednim krześle leży brązowa skórzana torba na ramię. Jest bardzo wypchana, ktoś musiał w pośpiechu powrzucać do niej, co popadło. W regularnych odstępach czasu dziewczyna ujmuje filiżankę i podnosi do ust, lecz nie wydaje się, żeby kawa szczególnie jej smakowała. Ma ją przed sobą i pije chyba tylko z obowiązku. Nagle sobie coś przypomina, wkłada do ust papierosa i zapala plastikową zapalniczką. Mruży oczy, wypuszcza niedbale dym, odkłada papierosa na popielniczkę i dotyka skroni, jakby chciała odegnąć zbliżający się ból głowy.

W restauracji cicho gra *Go Away Little Girl* orkiestry Percy’ego Faitha. Oczywiście nikt nie słucha. Wielu różnych ludzi przyszło późno wieczorem do Denny’s, żeby coś zjeść czy napić się kawy, ale ta dziewczyna jest jedyną kobietą, której nikt nie towarzyszy. Od czasu do czasu podnosi głowę znad książki i spogląda na zegarek. Lecz zdaje się, że czas nie płynie tak szybko, jakby sobie tego życzyła. Chyba na nikogo nie czeka, z nikim się tu nie umówiła. Nie

rozgląda się po restauracji, nie patrzy na wejście. Tylko czyta w samotności książkę, czasami zapala papierosa, mechanicznie podnosi do ust filiżankę, pragnąc, by czas płynął choć odrobinę szybciej. Ale oczywiście do świtu jeszcze bardzo daleko.

Dziewczyna przerywa czytanie i patrzy przez okno. Z pierwszego piętra widać gwarną ulicę. Nawet o tej porze jest jeszcze wielu przechodniów, wszędzie jasno od światła. Ludzie mający dokąd iść i niemający się gdzie podziać. Zmierzający do jakiegoś celu i idący bez celu. Pragnący powstrzymać czas lub go przyspieszyć. Przez pewien czas dziewczyna przygląda się tej chaotycznej ulicznej scenie, bierze głęboki oddech i wraca do książki. Sięga po filiżankę z kawą. Papieros, którym zaledwie kilka razy się zaciągnęła, zmienia się w popielniczkę w popiół, zachowując pierwotny kształt.

Otwierają się automatyczne drzwi wejściowe, wchodzi młody, wysoki, tyczkowaty chłopak. Czarny, krótki skórzany płaszcz, wymięte oliwkowe spodnie z bawełny, brązowe ciężkie buty. Włosy dość długie, tu i tam skołtunione. Może w ciągu ostatnich paru dni nie miał okazji ich umyć? Albo dopiero co przedzierał się przez jakieś chaszcze? A może potargane włosy to dla niego stan naturalny, coś, z czym się dobrze czuje? Jest szczupły, ale sprawia wrażenie raczej niedożywnego niż zgrabnego. Na ramieniu niesie duży futerał na instrument. Instrument dęty. Prócz tego ma ze sobą brudną płócienną torbę, która wygląda na wypchaną nutami i czymś jeszcze. Na jego prawym policzku widnieje zwracająca uwagę głęboka blizna. Jest krótka, jakby wyłobiona czymś ostrym. Poza tym nic innego w jego wyglądzie nie rzuca się w oczy. Zupełnie zwyczajny chłopak. Przypomina zbłąkanego kundla, pocziwego, ale mało rozgarniętego.

Podchodzi do niego kelnerka i prowadzi do stolika w głębi. Przechodzą obok krzesła czytającej dziewczyny. Chłopak mija ją, zatrzymuje się - chyba coś mu przyszło do głowy - powoli się cofa, jakby przewijał film, i wraca do jej stolika. Przechyla głowę i przygląda się jej z wielkim zainteresowaniem. Szuka czegoś w pamięci. Przypomnienie sobie tego zajmuje mu dużo czasu. Pewnie należy do ludzi, którym wszystko zajmuje dużo czasu.

Dziewczyna zauważa go, podnosi wzrok znad książki i patrzy na niego spod zmrużonych powiek. Ponieważ jest wysoki, musi zadzierać głowę. Ich oczy się spotykają. Chłopak uśmiecha się szeroko. Tym uśmiechem chce pokazać, że nie ma złych zamiarów.

- Słuchaj, przepraszam, może się mylę, ale czy nie jesteś młodszą siostrą Eri Asai? - pyta

chłopak.

Dziewczyna milczy. Spogląda na niego, jakby patrzyła na nadmiernie rozrośnięty krzak w kącie ogrodu.

- Kiedyś się poznaliśmy - ciągnie chłopak. - Zaraz... chyba masz na imię Yuri. Pierwsza sylaba inna niż u siostry.

Dziewczyna nadal patrzy z rezerwą i zwięźle go poprawia. - Mari.

Chłopak podnosi palec wskazujący. - Słusznie, słusznie, Mari. Eri i Mari. Pierwsza sylaba inna. Pewnie mnie sobie nie przypominasz?

Mari lekko przechyla głowę. Nie wiadomo, czy to *yes*, czy *no*. Zdejmuje okulary i kładzie obok filiżanki z kawą.

Kelnerka zawraca i pyta: - Państwo są razem?

- Uhm, tak - odpowiada on.

Kelnerka kładzie na stoliku menu. Chłopak siada naprzeciwko Mari, futerał stawia na sąsiednim krześle. Potem pyta, jakby sobie o czymś przypominał: - Mogę tu trochę posiedzieć? Tylko zjem i pójdę. Jestem później umówiony.

Mari krzywi się lekko. - Czy nie należało zapytać, zanim usiadłeś?

Chłopak zastanawia się nad jej słowami. - Jesteś z kimś umówiona?

- Nie o to chodzi.

- Chodzi ci o zasady dobrego wychowania?

- Uhm.

Chłopak kiwa głową. - No tak. Rzeczywiście, powinienem był na początku zapytać, czy mogę się przysiąść. Przepraszam. Ale jest tłok i nie będę ci długo przeszkadzał. To mogę?

Mari lekko wzrusza ramionami. Jakby mówiła: „Rób co chcesz”. Chłopak otwiera menu i czyta.

- Jadłaś już?

- Nie jestem głodna.

Chłopak ze zmarszczonymi brwiami przebiega wzrokiem całą kartę, zamyka ją z trzaskiem i odkłada na stolik. - Prawdę mówiąc, nie muszę nawet tego otwierać. Tylko udaje,

że przeglądam.

Mari się nie odzywa.

- Zamawiam tu wyłącznie sałatkę z kurczaka. Moim zdaniem to jedyna rzecz warta zjedzenia w Denny's. Wypróbowałem prawie wszystko, co mają w karcie. Czy jadłaś ich sałatkę z kurczaka?

Mari kręci głową.

- Jest niezła. Sałatka z kurczaka i chrupiące grzanki. W Denny's nie jem nic innego.

- Skoro tak, to po co za każdym razem przeglądasz menu?

Chłopak rozciąga palcami zmarszczkę w kąciu oka. - Zastanów się. Czy to nie byłoby żalosne: wejść do Denny's, nie spojrzeć nawet na menu i z miejsca zamówić sałatkę z kurczaka? Wyszłoby na to, że człowiek chodzi ciągle do Denny's tylko po to, żeby ją jeść. Dlatego otwieram menu i udaję, że po rozważeniu kilku innych potraw zdecydowałem się na sałatkę z kurczaka.

Kelnerka przynosi wodę, a on zamawia sałatkę z kurczaka i chrupiące grzanki. - Mają być strasznie chrupiące - podkreśla. - Takie prawie przypalone. - Prosi też o kawę po sałatce. Kelnerka wprowadza zamówienie do ręcznego komputerka i upewnia się, czy wszystko zapisała.

- A dla pani więcej kawy, chyba - mówi chłopak, wskazując filiżankę Mari.

- Oczywiście. Zaraz podam.

Chłopak patrzy za odchodzącą kelnerką.

- Nie lubisz kurczaka? - pyta.

- Nie o to chodzi - odpowiada Mari. - Ale staram się raczej nie jeść kurczaków poza domem.

- Dlaczego?

- Dlatego, że często kurczaki podawane w tanich restauracjach są szpikowane nie wiadomo jakimi środkami medycznymi. Hormonem wzrostu, tego typu rzeczami. Zostają wsadzone do małych ciemnych klatek, dostają mnóstwo zastrzyków i karmę pełną chemikaliów, potem są sadzane na pasie transmisyjnym, maszyna obcina im głowy, inna je skubie.

- *Wow!* - mówi on i uśmiecha się. Kiedy się uśmiecha, w kącikach oczu pojawiają mu się zmarszczki. - Sałatka z kurczaka w stylu Orwellovskim.

Mari patrzy na niego spod zmrużonych powiek. Nie potrafi ocenić, czy chłopak sobie z niej żartuje, czy nie.

- No ale, tak czy inaczej, tutejsza sałatka z kurczaka jest niezła. Naprawdę niezła - mówi on, a potem, jakby sobie nagle przypomniał, zdejmuje skórzany płaszcz, składa go i umieszcza na krześle obok. Rozciera dłonie. Pod płaszczem ma luźny, zielony, gruby sweter z okrągłym wycięciem pod szyją. Sweter ma tu i tam pozaciągane nitki, przypomina włosy właściciela. Chłopak chyba należy do ludzi, którzy nie przejmują się nadmiernie swoim wyglądem.

- Poprzednio spotkaliśmy się latem na basenie hotelowym w Shinagawa, dwa lata temu. Pamiętasz?

- Jak przez mgłę.

- Był tam mój przyjaciel, twoja starsza siostra, ty, no i na dodatek ja. Razem było nas czworo. My dopiero dostaliśmy się na pierwszy rok, a ty zdaje się byłaś w drugiej klasie liceum. Prawda?

Mari przytakuje bez większego zainteresowania.

- Mój przyjaciel chodził wtedy trochę z twoją siostrą i dlatego zaprosił mnie na taką podwójną randkę. Załatwił gdzieś cztery zaproszenia na ten basen w hotelu. A twoja siostra przyprowadziła ciebie. Ale ty się prawie nie odzywałaś, ciągle siedziałaś w basenie i pływałaś jak młody delfin. Potem poszliśmy razem do hotelowej kawiarni na lody. Ty zamówiłaś melbę brzoskwińową. Mari się krzywi. - Dlaczego pamiętasz takie szczegóły?

- Nigdy przedtem nie byłem na randce z dziewczyną, która jadłaby melbę brzoskwińową, a poza tym oczywiście mi się podobałaś.

Mari patrzy na niego niewzruszona. - To nieprawda. Przecież ciągle gapiłeś się na moją siostrę.

- Gapiłem się?

Milczenie Mari stanowi odpowiedź.

- Może i się gapiłem - przyznaje. - Z jakiejś przyczyny pamiętam, że miała bardzo skąpy kostium kąpielowy.



Mari wyjmując papierosa, wkłada do ust, zapala zapalniczką.

- Słuchaj - odzywa się on. - Nie bronię Denny's, ale mam wrażenie, że wypalenie paczki papierosów jest o wiele bardziej niezdrowe niż jedzenie być może nieco problematycznej sałatki z kurczaka. Nie uważasz?

Mari ignoruje zaczepkę.

- Wtedy miała iść z wami jakaś inna dziewczyna, ale w ostatniej chwili źle się poczuła i siostra zmusiła mnie, żebym poszła zamiast niej. Żeby było do pary - mówi.

- Dlatego byłeś w niezbyt dobrym humorze.

- Pamiętam cię.

- Naprawdę?

Mari podnosi palec do prawego policzka.

Chłopak przykłada rękę do głębokiej blizny. - A, to przez to. W dzieciństwie za szybko zjeżdżałem na rowerze i nie udało mi się zakręcić. Dwa centymetry dalej i nie widziałbym na prawe oko. Płatek ucha też mam zmiażdżony. Chcesz zobaczyć?

Mari krzywi się i potrząsa głową.

Kelnerka przynosi sałatkę z kurczaka i grzanki. Dolewa kawy do filiżanki Mari. Następnie sprawdza, czy podała całe zamówienie. Chłopak ujmuje sztucce i zaczyna z wprawą jeść sałatkę. Podnosi grzankę i wpatruje się w nią uważnie. Marszczy brwi.

- Choćbym nie wiem ile prosił o chrupiące, nigdy nie zrobią takich, jakie zamówiłem. Nie rozumieją. Jeśli wziąć pod uwagę pracowitość Japończyków, wysoki poziom technologii i zasady rynkowe, jakimi kieruje się sieć restauracji Denny's, nie powinno to być takie trudne. Nie uważasz? Więc dlaczego tego nie potrafią? Jaką wartość ma cywilizacja nieumiejąca zrobić grzanki zgodnie z zamówieniem?

Mari nie zwraca na niego większej uwagi.

- Ale twoja siostra była piękna - mówi on jakby do siebie.

Mari podnosi głowę. - Dlaczego powiedziałeś to w czasie przeszłym?

- Dlaczego...? Tylko dlatego, że mówiłem o czymś, co było dawno. Nie chodziło mi o to, że teraz już nie jest piękna.

- Teraz też jest chyba ładna.

- To świetnie. Ale prawdę mówiąc, niezbyt dobrze znam Eri Asai. Chociaż w liceum przez rok byliśmy w tej samej klasie, prawie nigdy nie zamieniliśmy słowa. A raczej bliższe prawdy byłoby powiedzenie, że nie chciała nawet ze mną rozmawiać.

- Ale interesuje cię?

On zastanawia się z uniesionymi sztuccami w dłoniach. - Czy interesuje? To po prostu coś w rodzaju intelektualnej ciekawości.

- Intelektualnej ciekawości?

- Jak bym się czuł, gdybym mógł iść na randkę z taką piękną jak Eri Asai. Coś w tym rodzaju. Przecież to w końcu dziewczyna, która była modelką pozującą do zdjęć dla czasopism.

- I to jest intelektualna ciekawość?

- Pewnego rodzaju.

- Ale wtedy chodził z nią twój kolega, ty przyszedłeś tylko dla towarzystwa, tak?

Chłopak kiwa głową, przeżuując. Żuje niespiesznie, poświęca na to dużo czasu. - Ja się raczej usuwam w cień. Nie lubię być w centrum uwagi. Pasuje do mnie bardziej rola przystawki. Jak surówka z kapusty, frytki albo ten drugi facet z „Wham!”.

- Dlatego zrobili cię moim partnerem.

- Ale... jakby to powiedzieć, ty też byłaś bardzo ładna.

- Słuchaj, czy ty już masz taki charakter, że lubisz mówić w czasie przeszłym?

Chłopak uśmiecha się. - Nie, nie o to chodzi, ja po prostu tylko szczerze wyraziłem ze swojego dzisiejszego punktu widzenia, jak się wtedy czułem. Byłaś bardzo ładna. Chociaż prawie się do mnie nie odzywałaś.

Odkłada sztucę na talerz i pije wodę ze szklanki. Wyciera usta papierową serwetką. - I kiedy pływałaś, zapytałem Eri Asai: „Dlaczego twoja siostra prawie się do mnie nie odzywa? Czy to moja wina?”.

- I co ci powiedziała?

- Powiedziała, że zawsze do wszystkich niechętnie się odzywasz. Że jesteś trochę dziwna, mimo że jesteś Japonką, chyba częściej mówisz po chińsku niż po japońsku. Dlatego mam się nie przejmować. Nie uważała, że to moja wina.

Mari w milczeniu gasi papierosa w popielniczce.

- To nie była moja wina, prawda?

Mari zamyśla się na chwilę. - Nie pamiętam zbyt dokładnie, ale myślę, że to nie była twoja wina.

- To dobrze. Dość mnie to martwiło. Oczywiście parę rzeczy jest ze mną nie tak, ale to są, wiesz, tylko moje wewnętrzne problemy i wołałbym, żeby nie rzucały się od razu w oczy. Szczególnie na basenie w czasie wakacji.

Mari patrzy na niego jeszcze raz, jakby chciała się upewnić. - Myślę, że twoje wewnętrzne problemy nie rzuciły mi się szczególnie w oczy.

- To mnie uspokoiłaś.

- Nie mogę sobie przypomnieć, jak się nazywałeś - mówi Mari.

- Jak się nazywam?

- Uhm.

Kręci głową. - Nie musisz pamiętać. Mam wyjątkowo banalne imię i nazwisko. Czasami sam mam ochotę zapomnieć. Ale nie tak łatwo zapomnieć własne nazwisko. A nazwiska innych ciągle się zapomina, nawet te, które trzeba pamiętać.

Rzuca okiem za okno, jakby szukał czegoś, czego nie powinien był zgubić. Potem znów patrzy na Mari.

- Przez cały czas nie mogłem się nadziwić, dlaczego twoja siostra wtedy ani razu nie weszła do wody. Przecież było gorąco, udało nam się dostać na taki wspaniały basen.

Mari patrzy na niego, jakby mówiła: „Nawet takich prostych rzeczy nie rozumiesz?”. - Nie chciała, żeby jej się makijaż zmył. To chyba oczywiste? A poza tym przecież w takim kostiumie nie da się porządnie popływać, prawda?

- Aha. Jesteście siostrami, ale mimo to życie całkiem inaczej.

- Każda z nas ma własne życie.

Chłopak zastanawia się przez chwilę nad jej słowami. Potem odzywa się: - Dlaczego każdy żyje własnym życiem? Weźmy wasz przypadek. Macie tych samych rodziców, wychowałyście się w tej samej rodzinie, obie jesteście dziewczynami, więc jak to jest, że macie tak zupełnie różne charaktery? Gdzie się ta droga rozwidła? Jedna leży tylko w

czarującej pozie nad basenem, w bikini uszytym ze skrawków wielkości chorągiewek sygnalizacyjnych, a druga szaleje w wodzie, istny delfin, a kostium ma w stylu szkolnej drużyny pływackiej...

Mari patrzy na niego. - Mam ci to teraz wytłumaczyć na przykład w pięciu zdaniach? W czasie, kiedy będziesz jadł tę sałatkę z kurczaka?

Chłopak potrząsa głową. - Nie, nie o to chodzi, to tylko ciekawość. Powiedziałem, co mi nagle przyszło na myśl. Nie musisz odpowiadać. Sam sobie zadaję to pytanie.

Zamierza wrócić do jedzenia sałatki, lecz po chwili zmienia zdanie i mówi dalej: - Ja nie mam rodzeństwa. Dlatego po prostu chciałem się dowiedzieć. W czym rodzeństwo jest do siebie podobne, czym się różni.

Mari milczy. Ze sztućcami w dłoniach chłopak rozmyśla, wpatrując się przez pewien czas w przestrzeń przed sobą. Zaczyna mówić: - Kiedyś czytałem o trzech braciach rozbitkach zniesionych na jakąś wyspę na Hawajach. To stary mit. Czytałem go w dzieciństwie i zapomniałem, co się dokładnie zdarzyło, ale to była mniej więcej taka historia: trzech bracia wypłynęli na połów, była burza, zniosło ich na pełne morze, długo dryfowali, aż wyrzuciło ich na brzeg bezludnej wyspy. To była piękna wyspa, rosły na niej palmy, drzewa ugiwały się pod ciężarem dojrzałych owoców, a na środku znajdowała się strasznie wysoka góra. Tego wieczoru ukazał im się Bóg i powiedział: „Dalej na wybrzeżu znajdziecie trzy duże okrągłe kamienie. Niechaj każdy z was potoczy jeden kamień, dokąd zechce. Macie osiedlić się tam, dokąd je dotoczą. Im wyżej wejdziecie, tym więcej świata uda wam się zobaczyć. Wybór miejsca należy do was”.

Chłopak przerywa, pije wodę. Twarz Mari nie wyraża zainteresowania, lecz dziewczyna uważnie się przysłuchuje.

- Na razie rozumiesz?

Mari lekko przytakuje.

- Chcesz wiedzieć, co było dalej? Jeżeli cię to nie ciekawi, nie będę dalej opowiadał.

- Jeśli nie jest za długie.

- Nie jest takie długie. To dość prosta historia.

Chłopak wypija jeszcze łyk wody i opowiada dalej:

- Tak jak powiedział Bóg, trzech bracia znaleźli na brzegu trzy duże kamienie. Zgodnie z

bożym nakazem zaczęli je toczyć. To były wielkie, ciężkie kamienie, trudno było je poruszyć, strasznego wysiłku wymagało wtaczanie ich pod górę. Najpierw odezwał się najmłodszy brat: „Bracia, ja zostanę tutaj. Blisko morza, będę mógł łowić ryby. Wystarczy mi aż nadto tego, co tu jest. Wcale nie muszę widzieć tak dużo świata”. Dwaj pozostali ruszyli dalej przed siebie. Lecz gdy dotarli do połowy góry, odezwał się średni brat: „Bracie, ja zostanę tutaj. W bród tu dojrzałych owoców, wystarczy mi aż nadto tego, co tu jest. Wcale nie muszę widzieć tak dużo świata”. Najstarszy ruszył dalej w górę. Dróżka stawała się coraz węższa i bardziej stroma, lecz nie poddawał się. Był wytrwały, a poza tym chciał zobaczyć jak najwięcej świata. Wszystkimi siłami pchał kamień pod górę. Po wielu miesiącach, prawie bez jedzenia i picia udało mu się jakoś wtoczyć kamień na sam szczyt wysokiej góry. Zatrzymał się i stamtąd spojrzął na świat. Widział teraz więcej niż ktokolwiek inny. W tym miejscu miał się osiedlić. Nie rosła tu trawa, nie latały ptaki. By ugasić pragnienie, musiał lizać lód i szron, głód mógł zaspokoić jedynie mchem. Lecz nie żałował, bo widział cały świat... I dlatego na szczycie tej góry na hawajskiej wyspie do dziś leży wielki kamień. Taka to była opowieść.

Milczenie.

Mari zadaje pytanie: - Ta opowieść ma jakiś morał?

- Chyba ma dwa. Jeden jest taki - mówi chłopak, podnosząc palec - że ludzie się od siebie różnią. Nawet bracia. A drugi - podnosi drugi palec - że jeżeli chce się czegoś naprawdę dowiedzieć, trzeba za to zapłacić pewną cenę.

- Mnie się wydaje, że ci dwaj młodszy wybrali sensowniejsze życie - wyraża swoją opinię Mari.

- No tak - przyznaje chłopak. - Nikt nie chciałby jechać aż na Hawaje, żeby zlizywać szron i jeść mech. Nie da się ukryć. Ale najstarszy miał w sobie ciekawość, chciał zobaczyć jak najwięcej świata i nie mógł tego pragnienia pohamować. Choćby musiał za to bardzo drogo zapłacić.

- Miał w sobie ciekawość intelektualną.

- Właśnie.

Mari rozmyśla nad czymś. Kładzie dłoń na grubej książce.

- Nawet gdybym grzecznie zapytał, jaką książkę czytasz, na pewno byś mnie zignorowała, prawda?

- Pewnie tak.

- Wygląda na strasznie ciężką.

Mari milczy.

- Dziewczyny zwykle nie noszą w torebkach takich wielkich książek.

Mari uparcie milczy. On rezygnuje i wraca do jedzenia. Tym razem już się nie odzywa, skupia się na sałatce z kurczaka i kończy ją. Przeżuwa powoli i pije dużo wody. Kilka razy prosi kelnerkę o dolanie. Zjada ostatni kawałek grzanki.

- Zdaje się, że mieszkałaś w Hiyoshi? - pyta chłopak. Pusty talerz po sałatce już zabrano.

Mari przytakuje.

- To już nie zdążysz na ostatni pociąg. Mogłabyś niby wrócić taksówką, bo pociągów nie będzie aż do rana.

- Tyle to i ja wiem - mówi Mari.

- Skoro tak, to dobrze.

- Nie wiem, gdzie mieszkasz, ale ty też już przecież nie zdążysz na pociąg?

- W Kóenji. Ale mieszkam sam, poza tym i tak do rana będzie próba zespołu. A w ostateczności jest zawsze samochód kolegi.

Lekko poklepuje futerał leżący obok. Jakby poklepywał po głowie znajomego psa.

- Ćwiczymy z zespołem w podziemiach budynku tu niedaleko - mówi. - Tam nikt nie ma pretensji, choćbyśmy strasznie hałasowali. Ogrzewanie prawie nie działa, więc o tej porze roku jest piekielnie zimno, no ale korzystamy z tego za darmo, toteż nie można narzekać.

Mari spogląda na futerał. - To jest puzon?

- Tak. Że też poznałaś! - mówi jakby trochę zdziwiony.

- Wiem przecież, jaki kształt ma puzon.

- Uhm, ale wiesz, na świecie jest dużo dziewczyn, które nie mają pojęcia, że w ogóle istnieje taki instrument. No, nie ma na to rady. Mick Jagger czy Eric Clapton nie zostali gwiazdami, grając na puzonie. Czy Jimmy Hendrix albo Pete Townsend rozwalili na scenie puzon? Nie ma mowy. Wszyscy z zasady rozwalają gitary elektryczne. Jakby człowiek rozwalił puzon, to by go wyśmiali.

- No to dlaczego wybrałeś grę na puzonie? Chłopak wlewa śmietankę do kawy, którą mu właśnie podano, upija łyk.

- W gimnazjum przypadkiem kupiłem w sklepie ze starymi płytami album jazzowy *Blues-ette*. Bardzo, bardzo stary longplay. Dlaczego ja go kupiłem? Nie mogę sobie przypomnieć. Nigdy przedtem nie słuchałem jazzu. No ale w każdym razie na stronie A jest utwór *Five Spot After Bark*, rewelacyjny. Na puzonie gra Curtis Fuller. Kiedy go pierwszy raz usłyszałem, miałem wrażenie, że spadły mi z oczu łuski. Tak, to jest instrument dla mnie, pomyślałem. Los sprawił, że się spotkaliśmy. Ja i puzon.

Chłopak nuci osiem pierwszych taktów *Five Spot After Dark*.

- Ja to znam - mówi Mari.

Na jego twarzy maluje się oszołomienie. - Znasz?

Mari nuci osiem kolejnych taktów.

- Dlaczego to znasz?

- A co? Nie wolno znać?

Chłopak odstawia filiżankę i lekko kręci głową. - Oczywiście, że wolno... Tylko jakoś trudno mi w to uwierzyć. Że jest jeszcze w dzisiejszych czasach dziewczyna, która zna *Five Spot After Dark*... No, mniejsza o to. W każdym razie oszalałem na punkcie tego Curtisa Fullera i dzięki temu zacząłem się uczyć gry na puzonie. Pożyczyłem pieniądze od rodziców, kupiłem używany instrument, wstąpiłem do szkolnej orkiestry instrumentów dętych, a od szkoły średniej zacząłem grywać w zespołach. Najpierw akompaniowałem grupie rockowej, przypominała dawne *Tower of Power*. Słyszałaś o *Tower of Power*?

Mari potrząsa głową.

- No, nieważne. Dawniej w takich grałem, a teraz gram wyłącznie i po prostu jazz. Moja uczelnia nie jest zbyt znana, ale ma niezły zespół.

Kelnerka podchodzi, żeby dolać wody. Chłopak mówi, że nie chce. Rzuca okiem na zegarek. - Na mnie już czas. Muszę zaraz iść.

Mari siedzi bez słowa. Jej mina mówi: „Przecież nikt cię tu nie trzyma”.

- I tak wszyscy się spóźnią - dodaje on.

Mari zostawia to bez komentarza.

- Słuchaj, przekazałabyś siostrze pozdrowienia ode mnie?

- Przecież możesz do niej sam zadzwonić. Masz chyba nasz numer. Jak mogę jej coś przekazać, skoro nawet nie znam twojego nazwiska?

Chłopak zamyśla się. - Ale gdybym do was zadzwonił i odebrałaby Eri Asai, co właściwie miałbym powiedzieć?

- Na przykład, że dzwonisz w sprawie zjazdu koleżeńskiego klasy maturalnej, coś byś wymyślił.

- Nie jestem za dobry w gadaniu. Z natury.

- Ale ze mną gadasz jak najęty.

- Z tobą jakoś mogę gadać.

- Ze mną jakoś możesz gadać - powtarza Mari. - Ale z moją siostrą byś nie bardzo potrafił.

- Pewnie nie.

- Bo intelektualna ciekawość nie dawałaby ci spokoju?

Na jego twarzy ukazuje się niejasny wyraz, jakby mówił: „Sam nie wiem”. Zaczyna coś mówić, ale zmienia zdanie i przerywa. Głęboko oddycha. Potem bierze rachunek ze stolika, oblicza w myślach sumę.

- Zostawię ci pieniądze za siebie. Mogłabyś potem za wszystko razem zapłacić?

Mari kiwa głową.

Chłopak patrzy na nią i na jej książkę. Po krótkim wahaniu mówi: - Słuchaj, ja się pewnie nie powinienem wtrącać, ale czy coś się stało? Na przykład coś ci się nie układa z chłopakiem albo była u ciebie w domu wielka awantura? Chodzi mi o to, że zostajesz sama w mieście do rana.

Mari nakłada okulary, podnosi na niego wzrok i patrzy nieruchomo. Jej milczenie jest ciężkie i zimne. Chłopak unosi ręce obronnym gestem, jakby mówił: „Przepraszam, że się wtrąciłem”.

- Myślę, że przyjdę tu znowu koło piątej rano coś przekąsić. Bo przecież zgłodnieję. Mam nadzieję, że wtedy znowu cię zobaczę.

- Dlaczego?



- Hm, dlaczego...

- Bo się martwisz?

- To też.

- Bo chcesz, żebym pozdrowiła siostrę?

- Może też trochę dlatego.

- Myślę, że moja siostra nie bardzo odróżnia puzon od toster. Za to na pierwszy rzut oka odróżni Pradę od Gucciego.

- Każdy walczy na innym polu - uśmiecha się on.

Wyjmuje z kieszeni kurtki notes, długopisem coś w nim zapisuje. Wrywa kartkę i podaje dziewczynie.

- To numer mojej komórki. Jakby coś, to dzwoń. A ty... masz komórkę?

Mari kręci głową.

- Tak myślałem - mówi on z podziwem. - Tak mi podpowiedziało przecucie. Ta dziewczyna na pewno nie lubi komórek.

Chłopak podnosi futerał z puzonem, wstaje. Wkłada skórzany płaszcz. Na jego twarzy został jeszcze cień uśmiechu. - To na razie.

Mari kiwa głową, jej twarz nic nie wyraża. Nawet nie patrząc na otrzymaną kartkę, kładzie ją obok rachunku. Potem bierze głęboki oddech, podpira twarz na dłoni i wraca do czytania. W restauracji cicho rozlega się *The April Fools* Burta Bacharacha.

2



W pokoju panuje mrok. Lecz nasze oczy po trochu do niego przywykają. Na łóżku śpi kobieta. Piękna młoda kobieta, Eri, starsza siostra Mari. Eri Asai. Nikt nam tego nie powiedział, ale skądś wiemy, że to ona. Jej czarne włosy rozpląnęły się po poduszce jak ciemna woda.

Przeobrażamy się w pewien punkt widzenia, patrzymy na dziewczynę. A może należałoby powiedzieć: podglądamy ją. Naszym punktem widzenia staje się wisząca w powietrzu kamera, która może swobodnie poruszać się po pokoju. W tej chwili jest dokładnie

nad łóżkiem, uchwyciła twarz uśpionej dziewczyny. Położenie obiektywu zmienia się w niewielkich odstępach czasu, jakby ktoś mrugał powiekami. Kształtne drobne usta dziewczyny są zamknięte, tworząc równą linię. Na pierwszy rzut oka wydaje się nawet, że nie oddycha. Lecz gdy wyciążamy wzrok, udaje nam się dostrzec na jej szyi niewielki, doprawdy niewielki, ruch. Jednak oddycha. Głowę złożyła na poduszce, leży na plecach, jakby patrzyła w sufit. Lecz w rzeczywistości na nic nie patrzy. Jej powieki są zamknięte, przeobraziły się w twarde zimowe pączki. Śpi głębokim snem. Pewnie nawet nic jej się nie śni.

Patrząc na śpiącą Eri Asai, stopniowo zaczynamy odczuwać, że w tym śnie jest coś niezwykłego. Jest tak czysty, tak kompletny. Nie porusza się żaden mięsień jej twarzy, nie drgną nawet rzęsy. Szczupła biała szyja zachowuje głęboki spokój dzieła sztuki, drobna broda przeobraża się w kształtny cypel, tworzący wyrafinowany kąt. Ludzie, nawet kiedy głęboko śpią, nie zapuszczają się aż tak daleko na terytorium snu. Nigdy aż tak całkowicie nie odrzucają świadomości.

Lecz bez względu na obecność czy brak świadomości, nie ustały funkcje organizmu potrzebne do utrzymania jej przy życiu. Oddech i puls są zredukowane do minimum. Zdaje się, że ukradkiem, uważnie umieszczono jej egzystencję na wąskim progu dzielącym świat ożywiony od nieożywionego... Lecz na razie nie dane jest nam dowiedzieć się, co wywołało taką sytuację. Eri Asai jest pogrążona w głębokim, ostrożnym śnie, jakby spowita ciepłym woskiem. I wyraźnie jest w tym coś niezgodnego z naturą. W tej chwili tylko tyle da się powiedzieć.

Kamera powoli cofa się i pokazuje cały pokój. Potem, poszukując wskazówek, rozpoczyna obserwację szczegółów. Nie ma tu wielu ozdób. Nie jest to również pomieszczenie pozwalające zorientować się w guście czy charakterze właściciela. Ktoś mało uważny mógłby nawet nie dostrzec, że to pokój młodej dziewczyny. Nigdzie nie widać lalek, wypchanych zabawek, biżuterii, rzeczy tego typu. Nie ma też plakatów ani nawet kalendarza. Przy ścianie z oknem stoi stare biurko, przy nim krzesło obrotowe. Okno zasłania roleta. Na biurku prosta czarna lampa, obok mały laptop najnowszego typu (pokrywa jest zamknięta). W kubku kilka ołówków i długopisów.

Przy ścianie proste jednoosobowe drewniane łóżko, na którym śpi Eri Asai. Bielusiętka narzuta bez wzorów. Do ściany naprzeciw przymocowano półki. Na nich zestaw stereofoniczny i stosik płyt kompaktowych. Obok telefon oraz osiemnastocalowy telewizor. Toaletka. Przed lustrem tylko szminka nawilżająca i mała okrągła szczotka do włosów. W

ścianie jest też wejście do garderoby. Jediną ozdobę stanowi pięć stojących na półce niewielkich zdjęć w ramach. Na wszystkich jest Eri Asai. I zawsze sama. Nie ma żadnego z rodziną czy przyjaciółmi. Każde z nich to profesjonalne, pozowane zdjęcie modelki. Prawdopodobnie ukazały się w czasopiśmie. Jest też niewielka półka na książki, lecz da się je policzyć na palcach, większość to podręczniki akademickie, prócz nich tylko stos magazynów mody dużego formatu. Prawdopodobnie nie można tej dziewczyny zaliczyć do kategorii moli książkowych.

Kamera unosząca się w powietrzu, która jest naszym punktem widzenia, wyłapuje kolejno różne sprzęty w pokoju i wiernie przekazuje ich obraz. Jesteśmy niewidzialnymi, bezimiennymi intruzami. Patrzymy. Wytężamy słuch. Zaostrzamy węch. Lecz fizycznie nas w tym miejscu nie ma, nie zostawiamy po sobie żadnych śladów. Można powiedzieć, że przestrzegamy klasycznych zasad rządzących podróźami w czasie. Obserwujemy, lecz nie ingerujemy. Ale szczerze mówiąc, informacje, jakie możemy wydedukować na temat Eri Asai na podstawie wyglądu tego pokoju, bynajmniej nie są wyczerpujące. Odnosimy wrażenie, że jej osobowość została gdzieś zawczasu ukryta i przemyślnie unika wzroku obserwatorów.

Przy łóżku elektroniczny zegar bezgłośnie i systematycznie odnawia czas. W tej chwili jedynie on w tym pokoju oddaje się jakiemuś działaniu. Czujne nocne stworzenie napędzane elektrycznością. Zielone cyfry z ciekłego kryształu gładko zmieniają się tak, by nikt tego nie zauważył. Obecnie jest 23:59.

Kamera, która jest naszym punktem widzenia, kończy obserwowanie szczegółów, cofa się, znów obiega cały pokój. Jakby nie mogła się zdecydować, przez pewien czas utrzymuje daleki plan. Przez tę chwilę jej oko zastyga w jednym miejscu. Trwa głęboka cisza. Lecz wkrótce, jakby coś kamerze przyszło do głowy, zwraca się ku telewizorowi w kącie i zaczyna się ku niemu zbliżać. To czarny, idealnie kwadratowy telewizor Sony. Ekran jest ciemny, martwy jak druga strona księżyca. Lecz wygląda na to, że kamera wyczuła w nim jakąś obecność. Albo coś w rodzaju symptomu. Zbliżenie ekranu. Wraz z kamerą czujemy tę obecność czy symptom i wpatrujemy się w ekran.

Czekamy. Wstrzymując oddech, wytężając słuch.

Na zegarze ukazują się cyfry: 0:00.

Rozlega się elektryczny trzask. Równocześnie telewizor budzi się do życia, zaczyna leciutko mrugać. Czyżby ktoś niezauważalnie wszedł i go włączył? A może był zaprogramowany, żeby się włączyć? Nie, ani jedno, ani drugie. Bystra kamera przesuwa się

na tył telewizora i pokazuje, że wtyczka jest wyjęta z kontaktu. Tak, ten telewizor nie powinien działać. Powinien twardo i zimno zachowywać o północy ciszę. Logicznie, zgodnie z prawami fizyki. Ale działa.

Na ekranie pojawiają się linie wybierania, zmieniają się w śnieg, zamazują i nikną. Potem znów się wyłaniają. Przez ten czas z odbiornika dobiega nieprzerwanie szum. Wkrótce na ekranie coś się pojawia. Jakiś obraz nabiera kształtu. Lecz niebawem pochyla się jak litery pisane kursywą, wygina i znika nagle niczym zdmuchnięty płomień. Potem znowu powtarza się to samo. Obraz niepewny i chwiejny, wyteża wszystkie siły, by się ukazać. Próbuje się skonkretyzować. Ale nic z tego nie wychodzi. Wygina się, jakby anteną odbiorczą targał silny wiatr. Wiadomość zostaje pocięta, kontury zniszczone, rozsypują się na kawałki. Kamera przekazuje nam te zmagania od początku do końca.

Śpiąca kobieta zdaje się nie zauważać wypadków zachodzących w pokoju. Zupełnie nie reaguje na światła i dźwięki, które bez żenady emituje telewizor. Ona śpi tylko spokojnie w ustanowionej kompletności. W tej chwili nic nie może zakłócić jej głębokiego snu. Telewizor jest nowym intruzem w tym pokoju. Oczywiście my też jesteśmy intruzami. Lecz w przeciwieństwie do nas nowy intruz ani nie jest milczący, ani niewidzialny. Ani neutralny. Bez wątplenia chce w coś w tym pokoju zaingerować. Intuicyjnie wyczuwamy ten zamiar.

Obraz na ekranie pojawia się i znika, lecz stopniowo staje się coraz bardziej ustabilizowany. Na ekranie widać wnętrze jakiegoś pokoju. Dość dużego pokoju. Wygląda trochę jak pomieszczenie w jakimś biurowcu. Albo jak jakaś klasa. Dużo wielkich okien, rzędy jarzeniówek na suficie. Ale nie widać mebli. A nie, jeśli się dobrze przyjrzeć, można na środku dostrzec jedno krzesło. Stare drewniane krzesło z oparciem, ale bez poręczy. Praktyczne, proste krzesło. Ktoś na nim siedzi. Obraz jeszcze nie całkiem się ustabilizował, więc daje się dostrzec tylko zamazane kontury niewyraźnej sylwetki siedzącego. Pokój wypełnia chłodna atmosfera od dawna opuszczonego miejsca.

Kamera telewizyjna, która (chyba) przekazuje nam ten obraz, ostrożnie zbliża się do krzesła. Sądząc po kształcie sylwetki, siedząca na nim osoba jest prawdopodobnie mężczyzną. Siedzi nieco pochylony. Wygląda, jakby głęboko nad czymś rozmyślał, z twarzą zwróconą prosto przed siebie. Ma na sobie ubranie w ciemnych kolorach i skórzane buty. Rysów nie widać, ale zdaje się niezbyt wysoki, dość szczupły. Wieku nie da się ocenić. Kiedy gromadzimy tak po kolei te fragmenty informacji z nieostrego ekranu, obraz, jakby o czymś sobie przypominał, co pewien czas zaczyna skakać. Szumy się wzmagają, podwyższają. Lecz

te problemy nie trwają długo, niebawem ekran znów wraca do normy. Zakłócenia też się uspokajają. Metodą prób i błędów obraz niewątpliwie zmierza w kierunku stabilizacji.

Na pewno coś ma się w tym pokoju zdarzyć. Prawdopodobnie coś ważnego.

3



Wnętrze tej samej restauracji Denny's. Teraz w tle słychać *Moa's Moon* zespołu Martina Denny'ego. Jest wyraźnie mniej gości niż pół godziny temu. Nie słychać też rozmów. Odnosi się wrażenie, że noc się pogłębiła o stopień.

Mari siedzi przy stoliku i dalej czyta grubą książkę. Stoi przed nią talerz z prawie nieruszonymi kanapkami z pomidorem i ogórkiem. Wyglądają jak coś zamówionego po to, żeby zyskać na czasie, a nie żeby zaspokoić głód. Czasami, jakby pod wpływem jakiejś myśli, Mari zmienia nieco pozycję. Kładzie łokcie na stoliku, odchyła się głębiej na oparcie krzesła. Niekiedy podnosi głowę, bierze głęboki oddech i sprawdza, ilu gości jest w restauracji. Ale poza tym jest cały czas skupiona na lekturze. Wygląda na to, że umiejętność koncentracji to jedna z jej głównych zalet.

Pojawiło się więcej samotnych klientów. Ktoś pisze coś na małym laptopie, inny wysyła i czyta e-maile na komórce. Jeszcze inny jest zatopiony w lekturze. Są i tacy, którzy nic nie robią, siedzą tylko zamyśleni, wpatrzeni w okno. Może nie mogą spać? Może nie chcą spać? Całodobowa restauracja stanowi dla takich ludzi przystań w środku nocy.

Do wnętrza energicznie wchodzi potężna kobieta, jakby nie mogła się doczekać, aż automatyczne drzwi otworzą się do końca. Jest grubokoścista, ale nie otyła. Szeroka w ramionach, wygląda na krzepką. Na czoło ma nasuniętą czarną wełnianą czapkę. Obszerna skórzana kurtka, do niej pomarańczowe spodnie. Nic przy sobie nie ma. Jej bojowy wygląd zwraca powszechną uwagę. Gdy wchodzi, kelnerka zbliża się do niej i pyta: - Stolik dla jednej osoby? - lecz kobieta ją ignoruje. Omiata bystrym wzrokiem wnętrze restauracji. Dostrzega Mari, po krótkim zastanowieniu rusza wielkimi krokami prosto ku niej.

Podchodzi do stolika i bez słowa siada naprzeciwko dziewczyny. Mimo solidnej budowy ciała porusza się sprawnie i zwinnie.

- Hm... można na chwilę? - pyta kobieta.

Skupiona dotąd na lekturze Mari podnosi głowę. Ze zdziwieniem odkrywa, że naprzeciwko siedzi potężna obca kobieta.

Kobieta zdejmuje wełnianą czapkę. Jej włosy w intensywnym kolorze blond są krótko przystryżone, przypominają dobrze utrzymany trawnik. Rysy ma szczere, otwarte, lecz stwardniałe jak peleryna od dawna wystawiona na działanie deszczu i wiatru. Lewa i prawa strona nie są symetryczne, lecz kiedy się dobrze przyjrzeć, widać, że jej twarz ma w sobie coś uspokajającego. Jest to pewnie przyjazna natura. Zamiast powitania, kobieta uśmiecha się krzywo i mocno trze mięsistą dłonią krótkie włosy.

Podchodzi kelnerka. Zgodnie z wyuczoną procedurą chce postawić na stole wodę i podać kartę, lecz kobieta odmawia ruchem dłoni. - Nie, zaraz idę, więc nie trzeba. Przepraszam, kochana.

Kelnerka uśmiecha się bez przekonania i odchodzi.

- Jesteś Mari Asai, zgadza się? - pyta kobieta.

- Tak...

- Takahashi mi o tobie powiedział. Mówił, że pewnie jeszcze tu będziesz.

- Takahashi?

- Tetsuya Takahashi. Wysoki, tyczkowaty, z długimi włosami. Gra na puzonie.

Mari kiwa głową. - A, on.

- No i Takahashi twierdzi, że podobno świetnie znasz chiński.

- W codziennych sprawach się dogadam - odpowiada Mari ostrożnie. - Ale nie mówię świetnie.

- W takim razie przepraszam, że ci zawracam głowę, ale nie poszłabyś ze mną, kochana? Mam u siebie chińską dziewczynę, której przydarzyło się coś ciutką nieprzyjemnego. Ale ani w ząb nie kuma po japońsku. I nie mamy pojęcia, co jest grane.

Nie bardzo wiedząc, o co chodzi, Mari zaznacza czytaną stronę zakładką, zamyka książkę i odsuwa na bok. - Coś nieprzyjemnego?

- Jest trochę poharatana. To niedaleko stąd. Parę kroków. Niewielki kłopot. Wystarczy, że nam z grubsza przetłumaczysz, co się stało. Będę ci bardzo wdzięczna.

Mari waha się chwilę, lecz spogląda na kobietę i decyduje, że dobrze jej z oczu patrzy.

Wsuwa książkę do torby, wkłada kurtkę baseballową. Sięga po rachunek, ale kobieta pierwsza wyciąga po niego rękę.

- Ja zapłacę.

- Nie trzeba. Przecież to ja zamówiłam.

- Odsuść sobie. Nie kłóć się, kochana, i daj mi zapłacić.

Kiedy wstają, widać, że dziewczyna jest drobna, a kobieta wielka jak stodoła. Musi mieć z metr siedemdziesiąt pięć. Mari poddaje się i pozwala jej uregulować rachunek.

Wychodzą razem z Denny's. Nawet o tej porze na ulicy nadal panuje zgiełk. Elektroniczne dźwięki z salonu gier, nawoływania naganiaczy z barów karaoke, warkot motocykli. Trzech mężczyzn siedzi beczynn timer przed zasuniętymi żaluzjami. Na widok Mari i kobiety, podnoszą głowy i przyglądają im się z zainteresowaniem, bo tworzą dość dziwną parę. Mężczyźni nic nie mówią, tylko patrzą. Żaluzja jest pokryta graffiti.

- Mam na imię Kaoru. Nie wyglądam na typową Kaoru, no ale tak mi od urodzenia na imię\* [\*Imię Kaoru pochodzi od słowa „pachnący, wonny”, lecz zwykle w tym znaczeniu występuje w formie „Kaori”. „Kaoru” robi eleganckie, wyrafinowane wrażenie, choć może być także imieniem męskim - przyp. tłum.].

- Miło mi - odpowiada Mari.

- Przepraszam, że tak cię znienacka wyciągnęłam. Trochę się przestraszyłaś, co, kochana?

Mari milczy, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Może ci poniosę torbę, co? - pyta Kaoru. - Wygląda na strasznie ciężką.

- Poradzę sobie.

- Co tam masz?

- Książki, ubranie na zmianę...

- Nie uciekłaś chyba z domu, co?

- Nie, nie o to chodzi.

- Skoro tak, to nie ma sprawy.

Idą przed siebie. Oddalają się od strefy handlowo-rozrywkowej, wchodzą w wąską uliczkę, idą pod górę. Kaoru maszeruje szybko, Mari dotrzymuje jej kroku. Wspinają się po pustych, ciemnych schodach i dochodzą do następnej ulicy. Schody najwyraźniej stanowią

skróót łączący dwie przecznice. Kilka szyldów nocnych barów jeszcze świeci, ale odnosi się wrażenie, że nie ma tu żywego ducha.

- To ten lovehot. - mówi Kaoru.

- Lovehot?

- Love hotel. To znaczy hotel dla par, do schadzek. Widzisz ten neon z napisem „Alphaville”? To tam.

Na dźwięk tej nazwy Mari odruchowo spogląda na Kaoru. - Alphaville?

- Spokojnie, nic się nie martw, kochana. To nie jest żadne podejrzane miejsce. Ja ten hotel prowadzę.

- I tam jest ta ranna osoba?

Kaoru odwraca się, ale nie przystaje. - Uhm. Mamy z tym ciutkę zawracania głowy.

- I Takahashi też tam jest?

- Nie, tu go nie ma. Będzie do rana ćwiczył z zespołem w podziemiu budynku, tu niedaleko. Studenci to mają normalnie rajskie życie.

Wchodzą do hotelu Alphaville. Pokoje wynajmuje się tu w następujący sposób: goście oglądają po wejściu tablicę ze zdjęciami, wybierają pokój, który im się podoba, wciskają guzik z numerem i wypada klucz. Wsiadają prosto do windy i jadą do pokoju. Nie muszą się z nikim widzieć ani rozmawiać. Są dwa rodzaje opłat: za tak zwany odpoczynek i za nocleg. Przyciemnione niebieskie oświetlenie. Mari przygląda się wszystkiemu z zaciekawieniem. Kaoru rzuca jakieś słówko powitania kobiecie za ladą recepcji w głębi. - A może ty nigdy przedtem nie byłaś w takim miejscu, co, kochana? - pyta.

- Jestem po raz pierwszy.

- No tak, są na świecie różne sposoby zarabiania na życie.

Jadą na górę windą dla gości. Przechodzą wąskim, krótkim korytarzem do drzwi z numerem 404. Kaoru puka lekko dwa razy, a ktoś natychmiast otwiera. Ukazuje się zaniepokojona twarz młodej kobiety z włosami ufarbowanymi na rudo. Jest chuda i blada, ubrana w za obszerny różowy podkoszulek i dziurawe dżinsy. W uszach ma duże kolczyki.

- Ach, dobrze, że pani wróciła! Długo pani nie było. Czekaliśmy i czekałyśmy - mówi.

- No, jak tam? - pyta Kaoru.



- Bez zmian.
- Przestała krwawić?
- Uhm, jakoś w końcu. Zużyłam górę papierowych ręczników.

Kaoru wprowadza Mari do pokoju. Zamyka drzwi. Prócz rudej dziewczyny jest tu jeszcze jedna pracownica. Drobna, z czarnymi włosami upiętymi do góry, wyciera mopem podłogę. Kaoru przedstawia je Mari.

- To jest Mari. Ta, o której wam mówiłam, umie po chińsku. Ta ruda to Pszeniczka. Dziwaczne imię, ale prawdziwe. Pracuje u nas od dawna.

Pszeniczka miło się uśmiecha. - Cześć.

- Cześć - mówi Mari.

- A tamta to Świerszczyk - ciągnie Kaoru. - To, dla odmiany, nie jest jej prawdziwe imię.

- Przepraszam. Prawdziwego się pozbyłam - wyjaśnia Świerszczyk z akcentem z Kansai\* [\*Łatwy do rozpoznania element z okolic Kioto, Osaka i Kobe.]. Wygląda na kilka lat starszą od Pszeniczki.

- Cześć - mówi Mari.

W pokoju nie ma okna. Przez to jest duszno. W stosunku do rozmiaru pomieszczenia łóżko i telewizor wydają się nadmiernie wielkie. W kącie na podłodze siedzi skulona naga kobieta okryta ręcznikiem. Zasłoniła twarz rękami i płacze bezgłośnie. Na łóżku leży poplamiony krwią ręcznik. Prześcieradła też są pokrwawione. Lampa przewrócona. Na stole do połowy opróżniona butelka piwa. Jedna szklanka. Telewizor jest włączony. Nadają jakiś program rozrywkowy. Słychać śmiech publiczności. Kaoru sięga po pilota i wyłącza odbiornik.

- Zdaje się, że nieźle ją pobił - mówi do Mari.

- Mężczyzna, który tu z nią przyszedł? - pyta Mari.

- Uhm, klient.

- Klient? To znaczy, że jest prostytutką?

- Tak, o tej porze mamy dużo dziewczyn, które to robią zawodowo - mówi Kaoru. - Dlatego czasem są kłopoty. Kłóca się z klientem o kasę, niektórzy faceci chcą robić coś zбочzonego.

Mari przygryza wargi i zbiera myśli.

- I ta kobieta mówi tylko i wyłącznie po chińsku, tak?

- Po japońsku tylko parę słów. Ale nie mogę wezwać policji. Większość z nich jest tu nielegalnie, a ja nie mam czasu na włóczenie się za każdym razem po komisariatach i spisywanie protokołów.

Mari zdejmuje z ramienia torbę, kładzie na stole, następnie podchodzi do skulonej kobiety. Pochyliła się i mówi po chińsku: - *Ni zenma le?* (Co się stało?)

Kobieta nie odpowiada, nie wiadomo, czy usłyszała. Jej ramiona drżą, wstrząsane łkaniem.

Kaoru kręci głową. - Jest normalnie w szoku. Porządnie jej dowalił.

Mari zwraca się do kobiety: - *Shi Zhongguoren ma?* (Jesteś z Chin?)

Kobieta nadal nie odpowiada.

- *Fangxin ba, wo gen jingcha mei guanxi.* (Nie martw się. Nie jestem z policji.)

Kobieta nadal nie dopowiada.

- *Ni bei ta da le ma?* (Mężczyzna cię pobił?) - pyta Mari.

Kobieta wreszcie przytakuje. Falują długie czarne włosy.

Mari mówi do niej cierpliwie, łagodnym tonem. Wielokrotnie powtarza te same pytania. Kaoru stoi z założonymi rękami i zmartwiona przygląda się rozmawiającym. W tym czasie Pszeniczka i Świerszczyk, dzieląc się obowiązkami, zaczynają doprowadzać pokój do ładu. Zbierają pobrudzone krwią papierowe ręczniki i wrzucają do plastikowej torby na śmieci. Zdejmują z łóżka poplamione prześcieradła, zmieniają ręczniki w łazience. Stawiają lampę, zabierają butelkę piwa i szklanekę. Sprawdzają, czy wszystko jest, sprzątajają łazienkę. Wygląda na to, że zawsze razem pracują, bo działają sprawnie i efektywnie.

Mari przykucnęła w kącie przed kobietą i rozmawia z nią. Zdaje się, że prostytutka trochę się uspokoiła, mogąc się z kimś porozumieć. Urywanymi zdaniami wyjaśnia Mari po chińsku, co się stało. Mówi strasznie cicho, więc żeby ją dosłyszeć, Mari musi się blisko przysunąć. Słucha uważnie, przytakując. Czasami rzuca parę słów, jakby chciała dodać kobiecie odwagi.

Stojąca za nimi Kaoru lekko trąca Mari w ramię: - Przepraszam, ale musimy zwolnić ten pokój dla innych klientów. Zabierzemy tę dziewczynę do biura na dół. Poszłabyś z nami?

- Ale ona jest zupełnie naga! Podobno ten mężczyzna zabrał jej wszystko, co miała na sobie. Od butów po bieliznę, absolutnie wszystko.

Kaoru potrząsa głową. - Żeby nie mogła nikogo od razu zawiadomić. Oskubał ją do czysta. Co za świnią! Normalnie przechodzi ludzkie pojęcie.

Kaoru wyjmuje z szafy cienki, byle jaki szlafrok i podaje Mari. - Na razie niech włoży to.

Kobieta podnosi się bezsilnie, na wpół przytomna zrzuca ręcznik, staje chwiejnie nagusienka i owija się szlafrokiem. Mari pośpiesznie odwraca wzrok. Jej ciało jest drobne, lecz piękne. Kształtne piersi, gładka skóra, dyskretny cień włosów łonowych. Jest pewnie mniej więcej w wieku Mari. Ma jeszcze w sobie coś z dziewczynki. Niepewnie trzyma się na nogach, więc Kaoru otacza ją ramieniem i wyprowadza z pokoju. Zjeżdżają na dół małą windą dla pracowników. Mari z nimi, niosąc swoją torbę. Pszeniczka i Świerszczyk zostają w pokoju i dalej sprzątają.

Trzy kobiety są w biurze hotelu. Wzdłuż ścian stoją ustawione jedne na drugich kartony. Jest tu zwykle metalowe biurko, prosty zestaw wypoczynkowy. Na biurku klawiatura komputera i monitor ciekłokrystaliczny. Na ścianie kalendarz, oprawiona kaligrafia Mitsuo Aidy\* [\*Mitsuo Aida (1924-1991) - poeta i mistrz kaligrafii.] oraz elektroniczny zegar. Jest też przenośny telewizor, na małej lodówce stoi kuchenka mikrofalowa. Kiedy wejdą tu trzy osoby, w pokoju robi się dość ciasno. Kaoru sadza chińską prostytutkę na kanapie. Kobieta owija się ciasno szlafrokiem, jakby jej było zimno.

W świetle lampy Kaoru ponownie bada rany na twarzy prostytutki. Przynosi apteczkę, starannie zmywa zakrzepłą krew wacikami zwilżonymi spirytusem. Skaleczenia zakleja plastrami. Obmacując palcami nos, upewnia się, czy nie jest złamany. Podnosi powieki i sprawdza, czy oczy są przekrwione. Dotyka głowy, szukając guzów. Zdaje się, że nawykła do takich czynności, bo wszystko robi zadziwiająco sprawnie. Wyjmuje z lodówki coś, co przypomina torebkę z lodem, owija niewielkim ręcznikiem i podaje kobiecie.

- Masz, potrzyj to se trochę pod oczami.

Przypomina sobie, że tamta nie rozumie japońskiego, więc pokazuje jej gestem, gdzie ma sobie przyłożyć. Kobieta kiwa głową i idzie za jej radą.

Kaoru zwraca się do Mari: - Krwawiła normalnie jak prosię, ale głównie z nosa. Na szczęście nie jest poważnie poharatana. Na głowie nie ma guzów, nos nie wygląda na

złamany. Kącik oka i wargę ma przeciętą, ale nie trzeba szyć. Przez jakiś tydzień będzie miała po tym pobiciu sińce wokół oczu. Pewnie nie będzie mogła brać klientów.

Mari kiwa głową.

- Ten facet pewnie jest silny, ale na biciu w ogóle się nie zna - mówi Kaoru. - Jak się tak na oślep bije, to ręka musi porządnie rozboleć. Jeszcze mu było mało, więc walił w ściany. W paru miejscach trochę się wgłęży. Normalnie szajba mu odbiła. Nie myślał, co będzie dalej.

Do pokoju wchodzi Pszeniczka i wyjmuje coś z jednego z pudeł pod ścianą. To nowy szlafrok do wyposażenia pokoju 404.

- Podobno ten mężczyzna wszystko jej zabrał: torebkę, pieniądze, komórkę - mówi Mari.

- Bo chciał się urwać bez płacenia? - wtrąca się z boku Pszeniczka.

- Nie, tylko, jakby to powiedzieć... zanim zaczęli, podobno nagle dostała miesiączki. Wcześniej niż powinna. I przez to ten mężczyzna się wściekł...

- Na coś takiego przecież nie ma rady - mówi Pszeniczka. - To się zawsze zaczyna nagle.

Kaoru cmoka ze zniecierpliwieniem. - Dobra, ty tu nie miel ozorem, tylko posprzątaj do końca w 404.

- Już lecę. Przepraszam - odpowiada Pszeniczka i wychodzi z biura.

- Myślał, że zaraz ją sobie puknie, ale ona dostała miesiączki, więc mu odbiło, sprął ją na kwaśne jabłko, obdarł z pieniędzy i ubrania i ulotnił się - mówi Kaoru.

- Coś z tym facetem nie tak.

Mari kiwa głową. - Mówi, że bardzo jej przykro, że pobrudziła prześcieradła krwią.

- Nie szkodzi. Przywykliśmy tu do tego. Nie wiem dlaczego wiele dziewczyn dostaje miesiączki w lovehotach. Bez przerwy dzwonią. Chciałabym pożyczyć podpaszkę, chciałabym pożyczyć tampon. Normalnie mam ochotę powiedzieć, że nie jestem apteką. No w każdym razie trzeba ją w coś ubrać. Tak nie może przecież zostać.

Kaoru przegląda zawartość jednego z kartonów, wyjmując z plastikowej torebki majtki. Są to proste, użyteczne majtki, które wkłada się do automatów w pokojach.

- To rzadkie badziewie i nie nadają się do prania, no ale na razie niech je włoży. Bez majtek pewnie ją podwiewa i nieswojo się czuje.

Potem Kaoru szuka czegoś w szafie, znajduje zielony spłowieły dres i podaje prostytutce.

- Został po dziewczynie, która tu przedtem pracowała. Był prany, więc jest czysty. Nie musi go zwracać. Z butów mam tylko gumowe klapki, ale lepsze to niż iść boso.

Mari tłumaczy wszystko kobiecie. Kaoru otwiera szafkę, wyjmując kilka podpasek. Podaje prostytutce.

- To też weź. Przebierz się tam, w toalecie - mówi i wskazuje brodą drzwi łazienki.

Prostytutka kiwa głową, mówi po japońsku „dziękuję”. Bierze otrzymane ubranie i wchodzi do łazienki.

Kaoru siada na krześle przy biurku, lekko kręci głową i głęboko wzdycha. - Człowiek robiąc w tym interesie, napatrzy się na różne rzeczy.

- Podobno przyjechała do Japonii niewiele ponad dwa miesiące temu - mówi Mari.

- Na pewno jest nielegalnie, co?

- O to nie pytałam, ale sądząc po tym, jak mówi, pochodzi gdzieś z północy.

- Czyli z dawnej Mandżurii?

- Pewnie tak.

- Aha - mówi Kaoru. - I co? Ktoś tu po nią przyjedzie?

- Podobno ktoś jej przydziela pracę.

- To chińska organizacja. Puszczają panienki w miasto w tym rejonie. Szmuglują je na statkach z Chin i każą odpracować własnym ciałem koszty podróży. Dostają zamówienia przez telefon i dowożą je motocyklami do hoteli. Jak gorącą pizzę do domu zamawiającego. To nasi stali klienci.

- Organizacja, to znaczy jakby *yakuza*, japońska mafia?

Kaoru potrząsa głową. - Nie, nie, ja długo zawodowo uprawiałam kobiece zapasy, jeździłam po kraju, mam kilku znajomych gangsterów. W porównaniu z chińską mafią japońscy gangsterzy to misiaczki. W każdym razie nie da się przewidzieć, do czego ci faceci się posuną. Ale gdzie ta dziewczyna ma się podziać? Musi iść do nich. Teraz już nie ma wyboru.

- Czy możliwe, że oni ją strasznie potraktują, bo dzisiaj nie udało jej się zarobić?

- Kto to może wiedzieć? Ale tak czy inaczej z taką facjatą przez pewien czas nie będzie mogła załatwiać klientów, a jak nie zarabia, to jest nic niewarta. Ładna dziewczyna.

Prostytutka wychodzi z łazienki. Ubrana jest w zielony dres i plastikowe klapki. Na piersi bluzy widnieje logo firmy Adidas. Sińce na twarzy są dalej wyraźne, ale włosy wyglądają na bardziej uładzone niż przedtem. Nawet w znoszonym dresie, ze spuchniętą wargą i sińcami na twarzy jest piękną kobietą.

Kaoru pyta prostytutkę po japońsku: - Pewnie chcesz zadzwonić?

Mari tłumaczy to na chiński. - *Yao da dianhua ma?* (Czy chcesz zadzwonić?)

Prostytutka odpowiada niepewną japońszczyzną: - Tak, dziękuję.

Kaoru podaje jej biały bezprzewodowy telefon. Prostytutka wybiera numer, ktoś się zgłasza, a wtedy ona cichym głosem składa po chińsku sprawozdanie. Tamten szybko coś odwrzaskuje, kobieta udziela krótkiej odpowiedzi. Potem odkłada słuchawkę. Z poważnym wyrazem twarzy oddaje Kaoru telefon i dziękuje niepewną japońszczyzną: - Dziękuję bardzo. - Następnie zwraca się do Mari:

- *Mashang you ren lai jie wo.* (Zaraz ktoś tu po mnie przyjedzie).

Mari wyjaśnia to Kaoru. - Podobno zaraz po nią przyjadą.

Kaoru krzywi się. - Zaraz, zaraz, pokój niezapłacony. Zwykle płaci klient, ale ten gość się zmył. Za piwo też się należy.

- Kaze pani zapłacić temu, kto po nią przyjedzie? - pyta Mari.

- Uhm... - mówi Kaoru i zamyśla się. - Jeżeli się uda.

Wsypuje do czajniczka herbatę, zalewa wodą z termosu. Napelnia trzy czarki, podaje jedną z nich chińskiej prostytutce. Kobieta dziękuje. Zdaje się, że trudno jej pić gorącą herbatę z powodu przeciętej wargi. Wypija łyk i marszczy brwi.

Kaoru popijając herbatę, zwraca się do niej po japońsku. - Lekko to ty nie masz! Przyjechałaś taki kawał do Japonii. Nielegalnie. Żeby cię na koniec takie typy tak wykorzystywały. Nie wiem, jakie tam u siebie miałaś życie, ale czy nie lepiej było tu nie przyjeżdżać?

- Mam przetłumaczyć? - pyta Mari.

Kaoru kręci głową. - Nie musisz. Tylko tak sama do siebie mówię.

Mari zwraca się do prostytutki: - *Ni ji sui le?* (Ile masz lat?)

- *Shiji.* (Dziewiętnaście).

- *Wo ye shi. Jiao shenma mingzi?* (Ja tak samo. Jak masz na imię?)

Prostytutka odpowiada po krótkim wahaniu: - *Guo Dongli.*

- *Wo jiao Mali* (A ja mam na imię Mari.)

Mari uśmiecha się lekko do dziewczyny. Jest to leciutki uśmiech, ale pierwszy jaki zagościł na jej twarzy od północy.

Przed wejściem do hotelu Alphaville zatrzymuje się motocykl. Jest to sportowy, groźnie wyglądający wielki model hondy. Mężczyzna w kasku osłaniającym twarz. Nie wyłącza silnika, tak by w razie czego móc w każdej chwili odjechać. Dopasowana czarna skórzana kurtka i dzinsy. Wysokie buty do koszykówki. Grube rękawice. Mężczyzna zdejmuje kask, kładzie na baku. Uważnie rozgląda się dookoła, ściąga jedną rękawicę i wyjmuje z kieszeni komórkę. Wybiera numer. Ma około trzydziestu lat. Rozjaśnione na brązowo włosy, koński ogon. Szerokie czoło, zapadnięte policzki, przenikliwy wzrok. Odbywa się krótka rozmowa. Mężczyzna wyłącza komórkę, wsuwa do kieszeni. Wkłada rękawicę i czeka nieruchomo.

Wkrótce z hotelu wychodzą we trzy: Kaoru, prostytutka i Mari. Plaskając gumowymi klapkami, prostytutka zmęczonym krokiem podchodzi do tyłu motocykla. Temperatura się obniżyła i zdaje się, że zimno jej w samym dresie. Mężczyzna coś do niej mówi ostrym głosem, kobieta cicho odpowiada.

Kaoru zwraca się do niego: - Słuchaj no, koleś, pokój jeszcze niezapłacony.

Mężczyzna przygląda się jej przez dłuższą chwilę. Potem oznajmia: - My nie płacimy za hotel. Klient płaci. - Mówi z obcym akcentem. Głos jest monotony, bez wyrazu.

- Wiem, z całym szacunkiem - odpowiada Kaoru ochryple. Chrząka. - Ale musimy sobie pomagać, pracujemy na tym samym niewielkim terenie. Ta afera i nam narobiła kłopotu. To są obrażenia odniesione wskutek napadu i mogłam zadzwonić na policję. Ale wtedy mielibyście ciutkę zawracania głowy, nie? Więc zapłaćcie mi tylko sześć osiemset za pokój, to wystarczy. Za piwo wam nie policzę. Będziemy kwita.

Mężczyzna przez dłuższą chwilę patrzy na Kaoru pozbawionymi wyrazu oczami. Podnosi wzrok i spogląda na neon hotelu Alphaville. Następnie jeszcze raz zdejmuje rękawice, wyciąga z kieszeni kurtki skórzany portfel, odlicza siedem banknotów tysiącejenowych i rzuca pod nogi. Nie ma wiatru, więc pieniądze spadają prosto na ziemię, po czym nieruchomieją. Mężczyzna wkłada rękawice. Podnosi rękę i spogląda na zegarek. Wszystkie czynności wykonuje nienaturalnie wolno. Wcale mu się nie spieszy. Wygląda to

tak, jakby chciał uświadomić trzem stojącym tam kobietom wagę swojej egzystencji. Na wszystko może poświęcić tyle czasu, na ile przyjdzie mu ochota. Silnik motocykla wydaje głęboki warkot jak niecierpliwe dzikie zwierzę.

- Odważna baba - mówi mężczyzna do Kaoru.

- Dziękuję - odpowiada ona.

- Jak zadzwonisz na policję, tu gdzieś w okolicy może się zdarzyć pożar - oznajmia mężczyzna.

Przez pewien czas panuje milczenie. Kaoru stoi z założonymi rękami, nie odwracając od niego wzroku. prostytutka z poranioną twarzą patrzy zaniepokojona to na jedno, to na drugie, nie rozumie, o czym rozmawiają.

Mężczyzna podnosi kask, zakłada go, wskazuje kobiecie miejsce za sobą, ona wsiada i chwytą go oburącz za kurtkę. Odwraca się, patrzy na Mari, na Kaoru. Potem znów na Mari. Zdaje się, że chce coś powiedzieć, lecz w końcu rezygnuje. Mężczyzna mocno kopie pedał, dodaje gazu i znika. Warkot rury wydechowej niesie się ciężkim echem po nocnych ulicach. Kaoru z Mari zostają same. Kaoru pochyla się i zbiera po jednym leżące na ulicy banknoty. Układa je równo w tę samą stronę, składa na pół i wsuwa do kieszeni. Bierze głęboki oddech, mocno pociera dłonią krótkie włosy.

- Normalnie przechodzi ludzkie pojęcie - mówi.

4



Pokój Eri Asai.

Nic się tu nie zmieniło. Tylko sylwetka mężczyzny siedzącego na krześle jest teraz bliższa niż przedtem. Możemy go dość wyraźnie zobaczyć. Są jeszcze pewne zakłócenia w odbiorze, chwilami obraz nagle drży, kontury się zniekształcają, jakość wizji spada. Wzrastają też szумы. Czasami pojawia się na moment jakaś inna, niezwiązana z niczym scena. Lecz ten chaos szybko się uspokaja, wszystko wraca do normy i ukazuje się poprzedni obraz.

Eri Asai nadal leży cicho w łóżku pogrążona w głębokim śnie. Sztuczne światło telewizora rzuca na jej policzek ruchome cienie, ale to nie zakłóca snu dziewczyny.

Mężczyzna na ekranie ma na sobie ciemnobrązowy garnitur. Być może kiedyś był to



wspaniały elegancki garnitur, lecz teraz wygląda na znoszony. Do rękawów i pleców tu i ówdzie przylgnał jakiś biały kurz. Ma czarne buty z zaokrąglonymi nosami, ale i one są zakurzone. Czyżby po drodze tak się zakurzył? Do białej koszuli z kołnierzykiem czarny wełniany krawat. I koszula, i krawat wyglądają na równie sfatygowane. We włosach widać białe nitki siwizny. A może to są nie siwe włosy, tylko zakurzone czarne? Tak czy inaczej wyglądają, jakby od dawna nie widziały grzebienia. A mimo to mężczyzna o dziwo nie wygląda niechlujnie. Ani nie sprawia wrażenia wynędzniałego. Zdarzyło się coś nieuniknionego, w rezultacie czego całe ubranie ma zakurzone i bardzo podniszczone.

Twarzy nie możemy zobaczyć. W tej chwili kamera pokazuje tylko jego plecy albo całą postać z wyjątkiem twarzy. Nie wiadomo, czy to dlatego, że tak pada światło, czy też celowo twarz ciągle pozostaje w cieniu, tam, gdzie nasz wzrok nie może jej dostrzec.

Mężczyzna nie porusza się. Czasami bierze długi, głęboki wdech i wtedy widać, jak lekko unoszą się i opadają mu ramiona. Wygląda trochę jak zakładnik, który był długo zamknięty w jakimś pomieszczeniu. Unosi się wokół niego jakby atmosfera długotrwałej rezygnacji. Ale nie jest związany. Siedzi wyprostowany na krześle i patrzy nieruchomo w jakiś punkt w przestrzeni, spokojnie oddychając. Nie możemy ocenić, czy sam postanowił się nie ruszać, czy też z jakiegoś powodu naprawdę nie może tego zrobić. Dłonie ma złożone równo na kolanach. Nie wiadomo, która godzina. Nie wiadomo nawet, czy to dzień, czy noc. Ale dzięki rzędowi jarzeniówek na suficie w pokoju jest jasno jak w letnie popołudnie.

Wkrótce kamera obraca się i zaczyna pokazywać twarz mężczyzny z przodu. Mimo to nie wyjaśnia się, kim jest. Zagadek raczej jest coraz więcej. Całą jego twarz pokrywa półprzezroczysta maska. Przylgnęła jak błona, tak że nie wiadomo, czy można ją w ogóle nazwać maską. Lecz choć jest bardzo cienka, spełnia w wystarczającym stopniu swoją rolę. Odbijając światło, blado lśni i starannie skrywa rysy i wyraz jego twarzy. Z trudem udaje nam się tylko odgadnąć przypuszczalny ogólny jej zarys. W masce nie ma nawet otworów na nos, usta czy oczy. Mimo to zdaje się, że mężczyzna bez trudności oddycha, widzi i słyszy. Maska musi być wyjątkowo przewiewna i przepuszczalna. Lecz patrząc z zewnątrz, nie mamy pojęcia, z czego i jaką technologią wykonana została ta anonimowa zewnętrzna powłoka. Jest w równym stopniu pełna magii, co funkcjonalna. Została przekazana ze starożytności wraz z ciemnością, a jednocześnie przysłana z przyszłości ze światłem.

Złowieszczość maski tkwi w tym, że choć tak ciasno przylega do twarzy, w ogóle nie można sobie wyobrazić, co myśli, co czuje, co planuje (albo nie) ukryty za nią człowiek. Nie

ma żadnych wskazówek, by ocenić, czy obecność tego mężczyzny to rzecz pozytywna czy negatywna, czy jego myśli są prawidłowe czy skrzywione, czy ta maska ma go kryć, czy chronić. Mężczyzna nosi na twarzy przemyślnie wykonaną, anonimową maskę, siedzi spokojnie na krześle, fotografuje go kamera i on tworzy w ten sposób pewną sytuację. Na razie powstrzymujemy się od jej oceniania, pozostaje nam tylko zaakceptowanie jej. Nazwę go Mężczyzną bez Twarzy.

Kamera pozostaje w tej chwili w jednej pozycji. Ustawiona jest na Mężczyznę bez Twarzy od przodu, nieco od dołu, i ani drgnie. Mężczyzna w brązowym garniturze siedzi nieporuszony i patrzy w tę stronę przez szkło kineskopu. Innymi słowy wygląda to tak, jakby z tamtej strony zaglądał prosto do pokoju, w którym jesteśmy. Oczywiście jego twarz jest ukryta za tajemniczą, lśniącą maską, mimo to wyraźnie czujemy na sobie ten wzrok, jego ciężar. Mężczyzna wpatruje się w coś, co ma przed sobą, z niewzruszoną determinacją. Sądząc po kącie nachylenia jego twarzy, zdaje się patrzeć mniej więcej na łóżko Eri Asai. Uważnie idziemy śladem tego hipotetycznego wzroku. Tak, nie ma wątpliwości. Mężczyzna w masce obserwuje niewidzialnymi oczami postać Eri pogrążonej we śnie w łóżku po tej stronie. A raczej od samego początku przez cały czas patrzy tylko na nią. W końcu uświadamiamy sobie ten fakt. On widzi to, co jest tutaj. Ekran telewizora działa jak otwarte okno do pokoju po tej stronie.

Obraz co pewien czas drży i znów się stabilizuje. Chwilami wzmagają się też elektryczne zakłócenia. Brzmia trochę jak wzmocnione sygnały czyichś fal mózgowych. Zwiększa się ich natężenie, wzrastają, a kiedy dochodzą do pewnego punktu, osiągają szczyt i zaczynają opadać, wkrótce znikają. Potem jakby zmieniły zdanie, znów się pojawiają. Tak się to powtarza. Lecz wzrok Mężczyzny bez Twarzy ani drgnie. Nic nie rozprasza jego skupienia.

Piękna dziewczyna pogrążona we śnie. Proste czarne włosy rozsypane na poduszce jak pełen znaczenia wachlarz. Lekko zaciśnięte wargi. Serce zatopione na dnie morza. Za każdym razem, gdy skacze obraz na ekranie telewizora, drży światło na jej policzku, cienie tańczą, stając się niezrozumiałymi znakami. Mężczyzna bez Twarzy siedzi na prostym drewnianym krześle i obserwuje ją bez słowa. Jego ramiona co pewien czas podnoszą się i opadają prawie niezauważalnie w cichym oddechu. Jak pusta łódź unosząca się na łagodnych falach wczesnego poranka.

Nic innego się w pokoju nie porusza.



Mari z Kaoru idą opustoszałą uliczką. Kaoru prowadzi dokądś Mari. Dziewczyna ma głęboko nasuniętą na oczy granatową czapkę baseballową bostońskiej drużyny Red Sox. Wygląda w niej jak chłopiec. Pewnie dlatego zawsze ma ją przy sobie.

- Dobrze, że przyszedłeś - mówi Kaoru. - Bo nie wiedziałyśmy, co jest grane.

Schodzą po tych samych schodach, tym samym skrótem, co przyszły.

- Słuchaj, jeśli masz czas, może gdzieś na chwilę wstąpimy, co? - proponuje Kaoru.

- Gdzieś?

- W gardle mi zaschło. Mam ochotę na łyk zimnego piwa. A ty?

- Ja nie mogę pić alkoholu - odpowiada Mari.

- To napijesz się soku albo czegoś takiego. Przecież i tak musisz gdzieś wytracić czas do rana.

Wchodzą do niewielkiego lokalu i siadają przy barze. Są jedynymi klientkami. Gra stara płyta Bena Webstera. *My Ideal*. Wykonanie z lat pięćdziesiątych. Na półce zamiast płyt kompaktowych stoi czterdzieści, a może pięćdziesiąt starych longplayów. Kaoru pije piwo beczkowe z wysokiej wąskiej szklanki. Przed Mari stoi woda Perrier z sokiem z limonki. Starzejący się barman w milczeniu kruszy na barze lód.

- To była ładna dziewczyna, prawda? - mówi Mari.

- Chodzi ci o tę Chinkę?

- Tak.

- No. Ale jak dalej popracuje w tym zawodzie, nie będzie długo ładna. Wyniszczy się, postarzeje. Naprawdę. Niejedną taką widziałam.

- Ma dziewiętnaście lat, tak samo jak ja.

- Ale wiesz co, kochana - mówi Kaoru, pogryzając podane do piwa orzeszki. - Nie ma znaczenia, ile ma lat. Praca jest ciężka, trzeba mieć normalnie nerwy ze stali. A jak się zacznie ćpać, to koniec.

Mari milczy.

- A ty co? Studentka?

- Tak. Studiuję chiński na Uniwersytecie Języków Obcych\* [\*Jeden z najlepszych uniwersytetów w Tokio.].

- Na Uniwersytecie Języków Obcych? - powtarza Kaoru. - A co będziesz, kochana, robić po studiach?

- Jeżeli mi się uda, chciałabym prywatnie robić tłumaczenia pisemne i ustne. Nie nadaję się chyba do pracy w firmie.

- Pewnie jesteś zdolna, co?

- Nieszczęśliwie. Ale rodzice od dzieciństwa mi powtarzali: „Jesteś brzydka, więc musisz przynajmniej się dobrze uczyć, bo inaczej sobie nie poradzisz”.

Kaoru patrzy na Mari, mrużąc oczy. - Przecież jesteś zupełnie ładna. To nie jest żaden komplement, poważnie mówię. Brzydki to jest ktoś taki jak ja.

Mari nieco sztywna, wzrusza lekko ramionami. - Moja starsza siostra jest wyjątkowo ładna, zwraca uwagę, więc od dzieciństwa mnie z nią porównywano. „Niby siostry, a tak się różnią”. Rzeczywiście, jak nas porównać, to wypadam beznadziejnie. Jestem niewysoka, mam mały biust, włosy mi sterczą, usta mam za duże, a w dodatku jestem krótkowidzem z astygmatyzmem.

Kaoru śmieje się. - Ludzie zwykle nazywają coś takiego „indywidualnością”.

- Ale ja nie potrafię tak myśleć. Bo od dzieciństwa mi powtarzają, że jestem brzydka.

- I dlatego dużo się uczyłaś?

- Chyba tak. Ale nie lubiłam konkurować z innymi o stopnie. Nie jestem dobra w sportach, nie potrafiłam się z nikim zaprzyjaźnić, więc dzieciaki w szkole mi dokuczały i w trzeciej klasie podstawówki przestałam chodzić do szkoły. Nie mogłam.

- Fobia szkolna?

- Nie mogłam znieść myśli o pójściu do szkoły i rano wymiotowałam, zwracałam wszystko, co zjadłam, dostawałam strasznego rozwolnienia...

- Coś podobnego! Ja miałam beznadziejne stopnie, ale codzienne chodzenie do szkoły aż tak mi nie przeszkadzało. Bo jak mi się ktoś nie podobał, to lałam, gdzie popadło.

Mari uśmiecha się. - Szkoda, że ja tak nie umiałam.

- No, mniejsza o to. Nie ma się szczególnie czym chwalić... No i co było dalej?

- W Jokohamie była chińska szkoła, chodziła tam moja koleżanka z sąsiedztwa, którą znałam od wczesnego dzieciństwa. Połowa lekcji odbywała się po chińsku, ale w odróżnieniu od japońskiej szkoły nie trzeba było się zabijać o stopnie, i ta koleżanka tam chodziła, więc pomyślałam, że do tej szkoły mogłabym chodzić. Rodzice oczywiście byli przeciwni, ale ponieważ nie mieli innego sposobu zmuszenia mnie do nauki...

- Byłaś nieźle uparta, co?

- Może i tak - przyznaje Mari.

- A do tej chińskiej szkoły przyjmują też Japończyków?

- Tak. Nie było żadnych ograniczeń.

- Ale wtedy nie znałaś chińskiego?

- Nie, w ogóle nie znałam. Ale byłam jeszcze mała, koleżanka mi pomogła, szybko się nauczyłam. W każdym razie ta szkoła jest na luzie. Chodziłam tam od gimnazjum do końca liceum. Lecz rodzicom nie bardzo się to podobało. Mieli nadzieję, że pójdę do jakiejś znanej szkoły przygotowującej na studia i na koniec zostanę adwokatem albo lekarzem, zrobię karierę zawodową. Obmyślili taki podział ról, czy jak to nazwać... Starsza siostra istna Królowa Śnieżka, a młodsza genialna.

- Twoja siostra jest taka piękna?

Mari kiwa głową, popija łyk perrier. - Od gimnazjum jest modelką, pozuje do zdjęć. Dla czasopism takich dla nastolatków i dziewcząt z dobrych domów.

- No, no - mówi Kaoru. - Rzeczywiście pewnie ciężko mieć taką wspaniałą siostrę. To swoją drogą. Ale dlaczego taka dziewczyna jak ty włóczy się w środku nocy sama po zakazanych miejscach?

- Taka dziewczyna jak ja?

- Jakby to powiedzieć? Taka, co wygląda na porządną.

- Nie chciałam wracać do domu.

- Pokłóciłaś się z rodziną czy coś?

Mari potrząsa głową. - Nie o to chodzi. Chciałam tylko pobyc gdzieś sama, gdzieś poza domem. Do rana.

- Robisz to nie pierwszy raz?

Mari milczy.

Kaoru mówi dalej: - Nie chcę się wtrącać, ale szczerze mówiąc, ta dzielnica w nocy to nie miejsce dla porządnych dziewczyn. Kręcą się tu niebezpieczne typy. Nawet ja parę razy miałam kłopoty. Od odjazdu ostatniego pociągu do pierwszego rannego jest tu trochę inaczej niż w ciągu dnia.

Mari podnosi z kontuaru czapkę drużyny Boston Red Sox i przez chwilę bawi się daszkiem. Nad czymś rozmyśla. Ale w końcu odpędza tę myśl.

Odzywa się łagodnym lecz zdecydowanym tonem:-Przepraszam. Czy możemy porozmawiać na jakiś inny temat?

Kaoru bierze kilka orzeszków i wsypuje do ust. - Pewnie. Dobra. Pogadajmy o czymś innym.

Mari wyjmuje z kieszeni kurtki camele z filtrem, zapala jednego zapalniczką BIC.

- O! Ty palisz - mówi Kaoru z podziwem.

- Od czasu do czasu.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo to do ciebie pasuje.

Mari czerwieni się, uśmiecha trochę sztucznie.

- Mogę jednego? - pyta Kaoru.

- Proszę.

Kaoru wkłada do ust camela, przypala zapalniczką Mari. Faktycznie pali z dużo większą wprawą.

- Masz chłopaka?

Mari lekko potrząsa głową. - W tej chwili chłopcy nie bardzo mnie interesują.

- Wolisz dziewczyny?

- Nie, to też nie. Sama nie wiem.

Kaoru pali, słuchając muzyki. Kiedy się rozluźnia, na jej twarzy widać ślady zmęczenia.

- Już wcześniej chciałam zapytać - mówi Mari - dlaczego ten hotel nazywa się Alphaville?

- Hm, nie wiem dlaczego. Pewnie szef tak go nazwał. Wszystkie lovehoty mają dziwaczne nazwy. Mężczyźni przychodzą tam z kobietami tylko w jednym celu, więc jak jest łóżko i łazienka, to wszystko okay. Obojętne im, jak się nazywa hotel. Wystarczy, że ma jakąś nazwę w tym stylu. Dlaczego o to pytasz?

- Bo *Alphaville* to jeden z moich ulubionych filmów. Jean-Luca Godarda.

- Nigdy nie słyszałam.

- Bardzo stary film francuski. Z lat sześćdziesiątych.

- No to może dlatego szef tak nazwał hotel. Zapytam, jak następnym razem go zobaczę. A co znaczy „Alphaville”?

- To nazwa fikcyjnego miasta w niedalekiej przyszłości - mówi Mari. - Znajdującego się gdzieś w galaktyce Drogi Mlecznej.

- To znaczy, że to jest science fiction? Jak *Gwiazdne wojny*?

- Nie, to nie tego typu film. Nie ma efektów specjalnych ani scen akcji... Nie bardzo potrafię wytłumaczyć, ale to jest film światopoglądowy. Czarno-biały, dużo dialogów, z rodzaju tych filmów, które grają w kinach studyjnych.

- Światopoglądowy to znaczy jaki?

- Na przykład w *Alphaville* ludzie, którzy płaczą, zostają aresztowani i giną w publicznych egzekucjach.

- Czemu?

- Dlatego że w *Alphaville* nie wolno doznawać głębokich uczuć. Więc nie istnieje tam miłość. Nie ma też sprzeczności ani ironii. Wszystko jest rozwiązywane za pomocą wzorów matematycznych.

Kaoru marszczy brwi. - Co to jest ironia?

- Kiedy ludzie patrzą na siebie i na to, co ich dotyczy, z dystansem albo w krzywym zwierciadle, i znajdują w tym coś śmiesznego.

Kaoru zastanawia się trochę nad wyjaśnieniem Mari. - Nie bardzo rozumiem. A w tym *Alphaville* mają seks?

- Seks istnieje.

- Seks, do którego nie trzeba miłości i ironii?

- Uhm.

Kaoru śmieje się rozbawiona. - Jak się zastanowić, to świetnie pasuje na nazwę dla lovehotu.

Wchodzi dobrze ubrany drobny mężczyzna w średnim wieku, siada na końcu baru, zamawia drinka i cicho rozmawia z barmanem. Wygląda na stałego bywalca. Zawsze ten sam stółek, ten sam drink. Jeden z anonimowych budzących się nocą do życia mieszkańców miast.

- Pani uprawiała kobiece zapasy? - pyta Mari.

- Tak, dosyć długo. Był ze mnie kawał baby, byłam zadziorna, w szkole średniej mnie zwerbowali, więc weszłam prosto na ring i potem ciągle robiłam za czarny charakter. Całkiem utleniałam włosy, zgoliłam brwi, na ramieniu mam wytatuowanego czerwonego skorpiona. Byłam nawet parę razy w telewizji. Jeździłam na zawody do Hongkongu i na Tajwan. Miałam też fan club, nie za duży. Pewnie nie oglądasz kobiecych zapasów, co?

- Jeszcze nigdy nie oglądałam.

- No tak, to też ciężka praca. W końcu uszkodziłam sobie kręgosłup, mając dwadzieścia dziewięć lat przeszłam na emeryturę. Jak człowiek daje z siebie wszystko, nie oszczędza się, prędzej czy później zrujnuje sobie zdrowie. Choćby był nie wiem jaki silny, każdy ma granice swoich możliwości. Ja z natury się nie oszczędzam. Mam taki charakter, że lubię zadowolić klienta. Jak publiczność się rozochoci, ja też się rozgrzewam, niechcący tracę umiar. Przez to teraz jak popada, to mnie łamie w krzyżu. Wtedy mogę tylko leżeć bez ruchu. Normalnie beznadzieja.

Kaoru kręci energicznie głową i słysząc głośnie strzykanie w stawach.

- Kiedy byłam popularna, dużo zarabiałam, wszyscy wokół mnie skakali, ale jak zrezygnowałam z zapasów, prawie nic mi nie zostało. Zostałam bez grosza przy duszy. Postawiłam rodzicom dom w rodzinnej Yamagacie, i to dobrze, bo im się od córki należało, ale poza tym musiałam spłacać długi młodszego brata hazardzisty, wykorzystywali mnie jacyś mało znani krewni, straciłam pieniądze na podejrzanej inwestycji polecanej przez bankowca... A jak już nic nie zostało, to ludzie zaczęli się trzymać z daleka. Co ja robiłam przez te dziesięć lat, myślałam sobie i strasznie się podłamałam. Trzydziestka na karku, a ja: zdrowie zrujnowane i zero oszczędności. I kiedy zastanawiałam się, co dalej, dawni kibice skontaktowali mnie z obecnym szefem. On zapytał, czy nie poprowadziłabym lovehotu. Niby go prowadzę, ale jak sama widzisz, jestem w połowie czymś w rodzaju wykidajły.



Kaoru dopija resztkę piwa. Spogląda na zegarek.

- Czy nie musi pani wracać do pracy? - pyta Mari.

- W lovehocie o tej porze jest najmniej roboty. Pociągi już nie jeżdżą, więc większość gości zostaje w pokojach na noc, do rana naprawdę nic się nie będzie działo. Oficjalnie to są jeszcze moje godziny pracy, ale przecież nic się nie stanie, jak sobie wypiję piwko.

- Pracuje pani do rana, a potem wraca do domu?

- Zasadniczo wynajmuję mieszkanie w Yoyogi, ale nie mam tam po co wracać, nikt na mnie nie czeka, więc częściej śpię sobie na zapleczu w hotelu, wstaję i zabieram się znowu do pracy. A ty co teraz będziesz robić?

- Dla zabicia czasu poczytam gdzieś książkę.

- Słuchaj, jak chcesz, możesz przyjść do nas. Dzisiaj nie ma kompletu, mogę ci dać do rana pokój. Smutno człowiekowi samemu w pokoju w lovehocie, ale można się przespać, bo co jak co, ale łóżka zawsze są porządne.

Mari lekko przytakuje, lecz jest zdecydowana. - Dziękuję. Ale myślę, że sama sobie jakoś poradzę.

- Skoro tak, to nie ma sprawy - mówi Kaoru.

- Takahashi ćwiczy gdzieś tu niedaleko? Z tym zespołem?

- A, Takahashi. Hałasują w podziemiach budynku, tu niedaleko. Chcesz zajrzeć? Robią straszny zgiełk.

- Nie, nie o to chodzi. Tak tylko zapytałam.

- Aha. Ale to bardzo dobry chłopak. Wyjdzie na ludzi. Wygląda na oferwę, ale jest zadziwiająco do rzeczy. Nie jest taki straszny, na jakiego wygląda.

- A skąd pani go zna?

Kaoru wykrzywia wargi. - To bardzo ciekawa historia, ale chyba lepiej będzie, jak go sama zapytasz, niż żebym jak ci tu o tym nawijała.

Kaoru płaci za drinki.

- Nie będą na ciebie wściekli, kochana, że przez całą noc nie ma cię w domu?

- Powiedziałam, że zatrzymam się u koleżanki. Rodzice tak bardzo się mną nie przejmują. Choćbym nie wiem co robiła.

- Pewnie myślą, że jesteś rozsądna, poradzisz sobie, więc nie muszą cię pilnować.

Mari nie wypowiada się na ten temat.

- Ale bywa, że tak nie jest, co?

Mari lekko marszczy brwi. - Dlaczego pani tak myśli?

- Nie chodzi o to, co ja myślę, czy nie myślę. Dziewiętnaście lat to właśnie taki wiek. Nawet ja miałam kiedyś dziewiętnaście lat, więc wiem, jak to jest.

Mari patrzy na Kaoru. Chce coś powiedzieć, ale nie wie jak i zmienia zdanie.

- Tu niedaleko jest całodobowa restauracja Skylark. Zaprowadzę cię tam - mówi Kaoru. - Szef to mój kumpel, więc poproszę, żeby się tobą zajął. Pozwoli ci tam posiedzieć do rana. Dobra?

Mari kiwa głową. Płyta dobiega końca, igła automatycznie się unosi, ramię gramofonu wraca na widelki. Barman podchodzi zmienić płytę. Powoli ją zdejmuje, wsuwa w okładkę. Wyciąga nową, sprawdza w świetle rowki i kładzie na talerz gramofonu. Wcisną guzik, a igła opada na płytę. Słychać ciche trzaski. Potem rozlega się *Sophisticated Lady* Duke'a Ellingtona. Harry Carney gra leniwie solówkę na klarncie basowym. Niespieszne ruchy barmana powodują, że czas płynie w tym barze w szczególny sposób.

Mari zwraca się do barmana: - Puszczasz pan tylko longplaye?

- Nie lubię płyt kompaktowych - odpowiada on.

- Dlaczego nie?

- Bo za bardzo się świecą.

- A co, pan jest sroka, że panu robi różnicę? - wtrąca żartobliwie Kaoru.

- Ale z longplayami zawsze jest zawracanie głowy, prawda? Trzeba je zmieniać - mówi Mari.

Barman się śmieje. - Przecież jest środek nocy. Do rana i tak nie ma pociągów. Nie ma sensu się śpieszyć.

- Ten facet jest trochę szurnięty - rzuca Kaoru.

- W nocy czas płynie inaczej - wyjaśnia barman. Głośno pociera papierową zapałkę i przypala papierosa. - Nie ma sensu się temu przeciwstawiać.

- Mój wujek też miał dużo płyt - mówi Mari. - Twierdził, że za nic nie może przywyknąć

do dźwięku kompaktów. Miał prawie same jazzowe. Często je puszczał, kiedy go odwiedzaliśmy. Byłam mała, więc nie wiedziałam nic o muzyce, ale lubiłam zapach starych okładek i te trzaski, które słycać po opuszczeniu igły.

Barman w milczeniu przytakuje.

- Ten sam wujek powiedział mi o filmach Jean-Luca Godarda - mówi Mari do Kaoru.

- Lubiałaś tego wujka, co?

- Dosyć. Wykładał na uniwersytecie, ale był trochę typem bon vivanta. Umarł nagle na serce trzy lata temu.

- Proszę znowu zajrzeć, jeśli będzie pani miała ochotę. Otwieram codziennie o siódmej z wyjątkiem niedzieli - mówi barman.

- Dziękuję - odpowiada Mari.

Bierze z kontuaru pudełko zapalek z nadrukiem nazwy baru, wsadza do kieszeni kurtki. Zsuwa się z wysokiego stolka. Igła w rowku płyty. Leniwa, zmysłowa muzyka Ellingtona. Muzyka późnej nocy.



Skylark. Wielki neon. Widoczna przez okno jasna sala. Przy dużym stoliku grupa chłopców i dziewcząt wyglądających na studentów hałaśliwie się śmieje. Jest tu znacznie głośniejsze niż w Denny's, gdzie byliśmy wcześniej. Głębia nocy miasta aż tutaj nie dociera.

W łazience Skylarka Mari myje ręce. Nie ma teraz na głowie czapki. Ani okularów. Z głośnika pod sufitem cicho sączy się stary przebój Pet Shop Boys. *Jealousy*. Duża torba Mari stoi obok umywalki. Dziewczyna starannie myje ręce mydłem w płynie. Wygląda, jakby zmywała spomiędzy palców coś lepkiego, co do nich przyłgnęło. Czasami podnosi wzrok i patrzy na siebie w lustrze. Zakreca kran, bada w świetle dziesięć palców, wyciera mocno papierowym ręcznikiem. Potem zbliża się do lustra. Patrzy na swoją twarz. Wyraz jej oczu wskazuje, że spodziewa się jakiegoś wydarzenia. Jakby nie chciała przegapić nawet najdrobniejszej zmiany. A jednak nic się nie dzieje. Z rękami opartymi o umywalkę zamyka oczy, odlicza, otwiera. Jeszcze raz dokładnie bada swoją twarz. Lecz nie ma na niej żadnych zmian.

Szybko poprawia dłonią grzywkę. Układa kaptur bluzy pod kurtką. Potem zagryza wargi

i kilka razy kiwa lekko głową, jakby dodawała sobie odwagi. Jednocześnie ta druga dziewczyna w lustrze też zagryza wargi i kilka razy kiwa lekko głową. Mari wiesza torbę na ramieniu, wychodzi z łazienki. Drzwi się zamykają.

Kamera będąca naszym punktem widzenia zostaje jeszcze przez chwilę w łazience, pokazuje nam jej wnętrze. Mari już tam nie ma. Nikogo nie ma. Tylko z głośnika pod sufitem dobiega muzyka. Teraz jest to utwór Halla and Oatesa. *I Can't Go For That*. Lecz jeśli dobrze się przyjrzeć, widać jeszcze w lustrze odbicie Mari. Ta Mari w lustrze patrzy z tamtej strony tutaj. Poważnym wzrokiem, jakby czekała, aż coś się stanie. Ale po tej stronie nikogo nie ma. Tylko jej obraz pozostał w lustrze łazienki Skylarka.

Robi się ciemniej. W narastającym mroku rozlega się *I Can't Go For That*.

6



Biuro hotelu Alphaville. Kaoru siedzi przed komputerem z niezadowoloną miną. Na ekranie ciekłokrystalicznym widać obraz uchwycony kamerą umieszczoną przy wejściu do hotelu. Jest wyraźny. W rogu widnieje godzina. Kaoru porównuje czas zapisany na kartce z tym na ekranie, za pomocą myszy przewija film do przodu i zatrzymuje. Wygląda na to, że niezbyt jej to wychodzi. Czasami wznosi oczy do nieba i wzdycha.

Do biura wchodzi Pszeniczka i Świerszczyk.

- Co pani robi? - pyta Pszeniczka.

- Z taką strasznie niechętną miną? - dodaje Świerszczyk.

- To DVD z kamery przy wejściu - odpowiada Kaoru, nie odrywając wzroku od ekranu. - Jak sprawdzę film mniej więcej z tamtej godziny, to się dowiem, co to za facet pobił tę dziewczynę.

- Ale wtedy wchodziło i wychodziło dość dużo gości. Pozna pani, który to mógł zrobić? - pyta Pszeniczka.

Kaoru niezręcznie stuka w klawisze grubym palcem. - Wszyscy inni wchodziłi parami. A ten facet przyszedł sam i czekał na nią w pokoju. O 22:52 wziął klucze do pokoju 404. To dokładnie wiadomo. Pani Sasaki z recepcji mówi, że kobietę dostarczyli na motorze jakieś dziesięć minut później.

- Czyli trzeba znaleźć nagranie z około 22:52 - mówi Pszeniczka.
- Ale to nie takie proste - odpowiada Kaoru. - Nie bardzo sobie radzę z tymi różnymi cyfrowymi gadżetami.
- Bo tu siłą mięśni nic się nie poradzi - mówi Pszeniczka.
- Właśnie.
- Za późno się pani urodziła - oznajmia Świerszczyk z poważną miną.
- O jakieś dwa tysiące lat - dodaje Pszeniczka.
- Nie da się ukryć - zgadza się Świerszczyk.
- Co tak się mnie czepiacie? - pyta Kaoru. - Przecież wy też byście tego nie umiały?
- Nie umiałybyśmy! - odpowiadają chórem.

Kaoru wpisuje czas w okienko z napisem „Szukaj” na ekranie, klika i próbuje odtworzyć nagranie, ale za nic jej to nie wychodzi. Z pewnością coś robi w złej kolejności. Cmoka ze zniecierpliwieniem. Wyjmuje instrukcję, przegląda ją, lecz niczego się nie dowiaduje i zrezygnowana odkłada ją na biurko.

- Normalnie przechodzi ludzkie pojęcie. Dlaczego to nie wychodzi? Tym sposobem powinno się pokazać, ale się nie pokazuje. Jakby tu był Takahashi, od razu by sobie z tym poradził.

- A co pani właściwie robi, kiedy się pani dowie, jak ten facet wygląda? Nie zawiadomi pani chyba policji, prawda? - pyta Pszeniczka.

- Nie ma się czym chwalić, ale staram się mieć jak najmniej do czynienia z policją.

- No to co pani robi?

- Potem się pomalutku zastanowię. Ale z natury taka jestem, że nie mogę przepuścić takiej świni, tak czy inaczej. Wykorzystał słabość kobiety, zlał ją, zabrał jej cały dobytek i na dodatek jeszcze zwiął, nie płacąc za hotel. Co za bydlę!

- Takiego psychola ze zgniłymi jajami trzeba złapać i tak załatwić, żeby prawie ducha wyzionął - mówi Świerszczyk.

Kaoru zdecydowanie kiwa głową. - Chciałoby się to zrobić, ale pewnie nie będzie aż taki głupi, żeby drugi raz się pokazać w tym hotelu. Przynajmniej przez dłuższy czas. No a ja też nie mam czasu go szukać.

- No to co pani zrobi? - pyta Pszeniczka.

- No przecież mówiłam, że potem się zastanowię.

W połowie zdesperowana Kaoru dwukrotnie klika na jakąś ikonę i po chwili na ekranie ukazuje się obraz z 22:48.

- Udało się.

Pszeniczka: - To dopiero! Jednak co to znaczy się postarać.

Świerszczyk: - Na pewno komputer ma pietra.

We trzy w milczeniu wpatrują się w ekran, wstrzymując oddech. O 22:50 wchodzi para młodych ludzi. Chyba studenci. Oboje wyglądają na spiętych. Wahają się przez pewien czas przed tablicą ze zdjęciami pokoiów, wciskają numer 302, biorą klucz i wsiadają, do windy. Najpierw nie wiedzą, gdzie jest winda i chodzą to tu, to tam.

Kaoru: - To ci z pokoju 302.

Pszeniczka: - Ci z 302. Wyglądają na takich niewinnych, ale nieźle sobie używali. Poszłam tam posprzątać, był straszny bałagan.

Świerszczyk: - A co to szkodzi? Są młodzi, niech sobie używają, ile chcą. Po to tu przychodzą, za to płacą.

Pszeniczka: - No ja niby też jestem jeszcze młoda, ale ostatnio nic z tych rzeczy, wcale sobie nie używam.

Świerszczyk: - Bo brak ci woli, Pszeniczko.

Pszeniczka: - Woli, mówisz?

Kaoru: - Hej, zaraz będzie ten z 404. Nie gadajcie głupot, tylko dobrze się przyjrzyjcie.

Na ekranie pojawia się mężczyzna. Jest 22:52.

Ubrany jest w jasnoszary prochowiec. Ma około trzydziestu paru lat, może dobiegać czterdziestki. Krawat, skórzane buty - wygląda na pracownika jakiejś firmy. Nosi niewielkie okulary w złotych oprawkach. Nie ma przy sobie żadnej torby, ręce trzyma w kieszeniach. Nie wyróżnia się ani wzrostem, ani wagą, ani fryzurą. Należy do typu ludzi, których mijamy na ulicy i nie robią na nas prawie żadnego wrażenia.

- Co za wyjątkowo zwyczajny facet! - mówi Pszeniczka.

- Tacy niby zwyczajni są najgorsi - wyjaśnia Kaoru, głaszcząc brodę. - Bo są zestresowani.

Mężczyzna spogląda na zegarek, sprawdza czas i bez wahania bierze klucz do 404. Potem szybkim krokiem kieruje się do windy. Jego postać znika z pola widzenia kamery. Kaoru wciska pauzę.

- No i co, dowiedziałyście się czegoś z tego filmu? - pyta dziewczyn.

- Wygląda na pracownika jakiejś firmy - mówi Pszeniczka.

Kaoru patrzy na nią zniechęcona i potrząsa głową. - Nie musisz mi mówić, że o tej porze facet w garniturze i krawacie to pracownik jakiejś firmy w drodze z pracy do domu.

- Przepraszam - mówi Pszeniczka.

- On zdaje się jest do tego dość przyzwyczajony - wyraża opinię Świerszczyk. - Ma praktykę, czy jakby to powiedzieć. Wyglądało na to, że wcale się nie wahał.

Kaoru zgadza się z nią: - Tak, masz rację. Od razu wziął klucz, poszedł prosto do windy. Najkrótszą trasą, na nic nie tracił czasu, nie rozglądał się.

Pszeniczka: - Czyli był tu nie po raz pierwszy?

Świerszczyk: - Tak zwany stały klient?

Kaoru: - Pewnie tak. I pewnie już wcześniej tak samo sobie zamawiał kobietę.

Pszeniczka: - Możliwe też, że to specjalista od Chinek.

Kaoru: - Dużo facetów na nie leci. Ale jeżeli pracuje w firmie i był tu wiele razy, to by znaczyło, że ta firma może być niedaleko stąd.

Pszeniczka: - Na to wygląda.

Świerszczyk: - I pracuje głównie na nocną zmianę.

Kaoru patrzy na nią podejrzliwie: - Dlaczego tak myślisz? Możliwe przecież, że kończy pracę, idzie gdzieś na drinka, wpada w dobry humor i zachciewa mu się dupy.

Świerszczyk: - Ale nic przy sobie nie miał, prawda? Zostawił wszystko w pracy. Gdyby był w drodze do domu, powinien coś przy sobie mieć. Teczkę albo aktówkę. Nikt nie chodzi do pracy z pustymi rękami. To by znaczyło, że znowu miał wrócić do firmy i jeszcze trochę popracować. Tak mi się wydaje.

Pszeniczka: - Pracuje w firmie w środku nocy?

Świerszczyk: - Dość dużo ludzi zostaje w firmie do rana. Szczególnie często programiści albo tego typu ludzie. Inni kończą pracę, idą do domu, a oni zostają sami w pustym biurze i grzebią w komputerach. Bo nie mogą wyłączyć całego systemu i coś tam z nim robić, kiedy inni pracują. Więc biorą nadgodziny do drugiej, trzeciej w nocy i wracają taksówkami. Firma daje im vouchery na taksówki.

Pszeniczka: - Aha. Rzeczywiście teraz jak to powiedziałaś, zdaje mi się, że wyglądał trochę na takiego świra od komputerów. Ale skąd ty wiesz takie rzeczy?

Świerszczyk: - Może na to nie wyglądam, ale przedtem pracowałam w firmie. W porządnej firmie, byłam urzędniczką.

Pszeniczka: - Poważnie?

Świerszczyk: - No, w firmie to trzeba poważnie.

Pszeniczka: - Coś ty?! To dlaczego teraz...

Kaoru przerywa im zniecierpliwionym tonem: - Hej, poczekajcie chwilę, teraz jest mowa o czym innym. Takie skomplikowane gadki o sprawach osobistych to sobie prowadźcie gdzie indziej.

Pszeniczka: - Przepraszamy.

Kaoru cofa film na ekranie do 22:52 i tym razem puszcza po jednej klatce. Wybiera odpowiednie miejsce, zatrzymuje i powiększa fragment z postacią mężczyzny. Drukuje. Z drukarki wyłania się znacznie powiększona twarz w kolorze.

Pszeniczka: - Super.

Świerszczyk: - Takie rzeczy są naprawdę możliwe! Zupełnie jak w *Łowcy androidów*.

Pszeniczka: - Niby to wygodne, ale jak się zastanowić, strach na takim świecie żyć. Nie można sobie nawet spokojnie iść do lovehotu.

Kaoru: - Dlatego lepiej, żebyście nigdzie nic złego nie robiły. Nie wiadomo, gdzie dziś może być kamera.

Pszeniczka: - Ściany mają uszy, ściany mają kamery cyfrowe...

Świerszczyk: - To prawda. Trzeba uważać.

Kaoru drukuje pięć takich samych portretów. Wszystkie trzy dokładnie przyglądają się twarzy mężczyzny.



Kaoru: - Po tym powiększeniu zdjęcie zrobiło się ziarniste, ale mimo to mniej więcej widać, jak facet wygląda, co?

Pszeniczka: - Uhm, jakbym go spotkała na ulicy, to bym na pewno poznała.

Kaoru kręci głową, w szyi jej głośno strzyka. Nad czymś w milczeniu rozmyśla. Wkrótce coś jej przychodzi do głowy.

- Czy po moim wyjściu korzystałyście tu w biurze z telefonu? - pyta dziewczyny.

Obie potrząsają głowami.

Pszeniczka: - Nie korzystałam.

Świerszczyk: - Ja też nie.

Kaoru: - To znaczy, że po tym, jak ta Chinka dzwoniła, nikt nie wykręcał innego numeru?

Pszeniczka: - Ja nie dotykałam.

Świerszczyk: - Nawet palcem nie tknęłam.

Kaoru podnosi słuchawkę, bierze oddech i wciska guzik ponownego wybierania numeru.

Dwukrotnie odzywa się sygnał, potem odbiera jakiś mężczyzna. Mówi coś szybko po chińsku.

Kaoru odzywa się: - Eeee... dzwonię z hotelu Alphaville. Koło jedenastej przyszła do nas wasza kobieta zamówiona przez klienta i została pobita, zgadza się? I ja mam tu zdjęcie tego faceta. Zrobione kamerą przy wejściu. Czy przypadkiem byście go nie chcieli?

Facet po drugiej stronie milczy przez kilka sekund. Potem odzywa się po japońsku: - Mam czas.

- Zaczekam - mówi Kaoru. - Nie spieszy mi się.

Po drugiej stronie słuchawki odbywa się jakaś narada. Kaoru ze słuchawką przy uchu obraca w palcach długopis. W tym czasie Pszeniczka z kijem od szczotki udającym mikrofon śpiewa starą popularną piosenkę, przyjmując przesadne pozy: - *Jak ten śnieg paaaaada, nie zostałeś ze mną dziiiiiiiiiiiś, zaczeeeeekam, nie spieszy miiiiiiiiiii się...*

Mężczyzna znów odzywa się do słuchawki. - Zdjęcie teraz tam jest?

- Świeżutkie, prosto z pieca - odpowiada Kaoru.

- Skąd masz ten numer?

- Ostatnio urządzenia elektroniczne mają różne sprytne funkcje - mówi Kaoru.

Mężczyzna milczy przez kilka sekund. - Będę u was za dziesięć minut.

- Poczekam przy wejściu.

Tamten się wyłącza. Kaoru krzywi się i odkłada słuchawkę. Znow kręci głową na grubej szyi. W pokoju zapada milczenie. Pszeniczka odzywa się nieśmiało: - Proszę pani...

- Co chcesz?

- Naprawdę im pani da to zdjęcie?

- Przecież przedtem już mówiłam, że nie znoszę facetów, którzy leją niewinne kobiety. Wściekłam się, że zwiął bez płacenia za hotel, ta galaretowata morda pracownika firmy też mi się nie widzi.

Pszeniczka: - Ale czy jak oni go znajdą, to nie utopiają go w Zatoce Tokijskiej z kamieniem u szyi? Z takimi lepiej się nie zadawać.

Kaoru nadal jest skrzywiona. - No, pewnie go nie zabiją. Jak się Chińczycy zabijają między sobą, policja się nie przejmuje, ale jak zabiją porządnego Japończyka, to będzie inna rozmowa. Mieliby zawracanie głowy. Złapią go, dadzą mu nauczkę i obetną najwyżej ucho.

Pszeniczka: - Och! To musi boleć!

Świerszczyk: - Jak van Gogha.

Pszeniczka: - Ale myśli pani, że z takim jednym zdjęciem uda się kogoś znaleźć? To w końcu duże miasto.

Kaoru: - Oni jak się zavezma, to tak łatwo nie rezygnują. W takich sprawach są bardzo uparci. Jak taki amator robi z nich głupków, to jest zły przykład dla tych kobiet, co u nich pracują, a poza tym tracą autorytet. W tym środowisku jak się nie ma autorytetu, do niczego się nie dojdzie.

Kaoru podnosi z biurka papierosy, wkłada jednego do ust, przypala zapalką. Stula wargi i zwrócona w stronę monitora wypuszcza na niego długą smugę dymu.

Na ekranie widnieje powiększona, nieruchoma twarz mężczyzny.

Dziesięć minut później. Kaoru i Pszeniczka czekają przy wejściu do hotelu. Kaoru nałożyła tę samą skórzaną kurtkę co przedtem, głęboko nasunęła na czoło wełnianą czapkę.

Pszeniczka ma na sobie gruby obszerny sweter. Założyła ręce na piersi, jakby jej było zimno. Wkrótce nadjeżdża na wielkim motocyklu ten sam mężczyzna, który przyjechał wcześniej po Chinę. Zatrzymuje się w niewielkim oddaleniu od kobiet. Znow nie wyłącza silnika. Zdejmuje kask, kładzie na baku, ostrożnie ściąga prawą rękawicę. Wsadza ją do kieszeni kurtki i tak zastyga. Nie zamierza wykonać pierwszego ruchu. Kaoru podchodzi do niego wielkimi krokami. Podaje mu trzy zdjęcia i mówi: - To zdaje się pracownik którejś z firm tu niedaleko. Często pracuje nocami, wcześniej już chyba zamawiał do nas kobiety. Może jest waszym stałym klientem.

Mężczyzna bierze zdjęcia i przygląda im się kilka sekund. Nie wygląda na szczególnie zainteresowanego.

- No i? - mówi, patrząc na Kaoru.

- No i co?

- Dlaczego specjalnie dajesz zdjęcia?

- Bo pomyślałam, że może przypadkiem będziecie chcieli. Nie chcecie?

Mężczyzna nie odpowiada, odpina suwak kurtki, składa zdjęcia na pół i wsuwa do torebki na dokumenty, którą ma zawieszoną na szyi. Potem zapina suwak aż pod brodę. Przez ten cały czas nie przestaje patrzeć na Kaoru. Ani na chwilę nie odwraca wzroku.

Mężczyzna chce się dowiedzieć, czego Kaoru się spodziewa w zamian za dostarczenie informacji. Ale sam o to nie pyta. Nieruchomy, milczący czeka na odpowiedź. Kaoru stoi z założonymi rękami i mierzy go chłodnym wzrokiem. Ona też nie ustępuje. Trwa pełne napięcia wpatrywanie się w siebie nawzajem. Wkrótce Kaoru wybiera odpowiednią chwilę, chrząka i przerywa milczenie: - Słuchaj, jeśli go znajdziecie, szepniecie mi słówko?

Mężczyzna trzyma lewą rękę na kierownicy, prawa lekko spoczywa na kasku.

- Jeśli znajdziemy tego faceta, mamy ci dać znać? - powtarza mechanicznie.

- O to chodzi.

- Wystarczy dać znać?

Kaoru kiwa głową. - Wystarczy, że mi szepniecie do ucha. Nic poza tym nie chcę wiedzieć.

Mężczyzna rozmyśla nad czymś przez pewien czas. Potem dwukrotnie lekko stukną pięścią w kask.

- Jak znajdziemy, damy znać.

- Będę czekała - mówi Kaoru. - Czy dziś się jeszcze obcina uszy?

Mężczyzna leciutko krzywi wargi. - Życie ma się tylko jedno. Uszu dwoje.

- Może i tak, ale jak się jedno straci, nie da się nałożyć okularów.

- Niewygoda - mówi mężczyzna.

Na tym rozmowa się kończy. Mężczyzna nakłada kask. Mocno kopie pedał, zawraca i znika.

Kaoru i Pszeniczka stoją na ulicy i długo w milczeniu patrzą za motocyklem.

- Ten facet jakoś przypomina ducha - odzywa się w końcu Pszeniczka.

- Bo teraz jest pora duchów - mówi Kaoru.

- Straszno się robi, prawda?

- Ano straszno.

Wracają do hotelu.

Kaoru jest sama w biurze. Położyła nogi na biurku. Jeszcze raz bierze do ręki zdjęcie i wpatruje się w nie. Zbliżenie twarzy mężczyzny. Kaoru mruczy coś i wznosi oczy do nieba.

7



Mężczyzna pracuje na komputerze. To człowiek, którego sfotografowała kamera przy wejściu hotelu Alphaville. Miał na sobie jasnoszary prochowiec i wziął klucz do pokoju 404. Píše, nie patrząc na klawiaturę. Z przerażającą szybkością. A mimo to dziesięć palców z trudem nadąża za jego myślami. Usta ma zaciśnięte. Twarz niezmiennie pozbawiona wyrazu nie rozjaśnia się uśmiechem, gdy coś mu wychodzi, a kiedy nie wychodzi, nie wyraża rozczarowania. Rękawy białej koszuli są podwinięte do łokcia, górny guzik koszuli rozpięty, krawat rozluźniony. Czasami mężczyzna musi zapisać ołówkiem w notesie obok jakiejś liczby czy znaki. Jest to długi srebrny ołówek z gumką. Wytłoczono na nim nazwę firmy: „veritech”. Sześć takich samych ołówków leży równo rzędem na tacce. Wszystkie mniej więcej tej samej długości. Są ostre jak igły, chyba nie mogłyby być bardziej zatemperowane.

Duże pomieszczenie. Wszyscy koledzy poszli już do domu, tylko on został popracować.

Z głośnika niewielkiego odtwarzacza płyt kompaktowych stojącego na biurku dobiega niezbyt głośna muzyka fortepianowa Bacha. To suita angielskie w wykonaniu Ivo Pogorelicia. W całym pokoju panuje półmrok, jarzeniówka na suficie oświetla tylko biurko mężczyzny. Tę scenę mógłby namalować Edward Hopper i zatytułować ją *Samotność*. Lecz mężczyzna nie czuje się chyba szczególnie samotny w tej sytuacji. Raczej woli, kiedy wokół nie ma ludzi. Nic nie rozprasza jego uwagi i może pracować, słuchając ulubionej muzyki. Praca wcale go nie męczy. Kiedy jest skupiony, nie musi przynajmniej myśleć o różnych rzeczywistych sprawach i jeżeli tylko nie pożałuje wysiłku i czasu, uda mu się, logicznie analizując, rozwiązać problemy. Na wpół świadomie śledząc w myślach utwór muzyczny, wpatruje się w ekran komputera. Jego palce poruszają się z prędkością nieustępującą Pogorelicowi. Nie wykonuje zbędnych ruchów. Istnieją dla niego jedynie osiemnastowieczna delikatna muzyka, on sam oraz techniczny problem, jaki mu dano do rozwiązania.

Czasami tylko dolega mu ból grzbietu prawej dłoni. Co pewien czas przerywa pracę, kilka razy otwiera i zamyka dłoń, porusza nadgarstkiem. Masuje lewą ręką grzbiet prawej. Bierze głęboki oddech, spogląda na zegarek. Leciutko się krzywi. Przez ten ból prawej dłoni praca idzie mu nieco wolniej niż zwykle.

Ubrany jest czysto i schludnie. Jego strój nie jest szczególnie oryginalny ani wyrafinowany, ale na swój sposób mężczyzna przywiązuje wagę do tego, co nosi. Gust też ma niezły. I koszula, i krawat wyglądają na kosztowne. Prawdopodobnie są markowe. Twarz robi inteligentne wrażenie, pewnie mężczyzna pochodzi z dość dobrej rodziny. Zegarek na lewej ręce jest elegancki, płaski. Okulary jak od Armaniego. Dłonie ma duże, długie palce. Paznokcie zadbane, na serdecznym palcu wąska ślubna obrączka. Rysy twarzy niezbyt charakterystyczne, ale można się dopatrzeć znamion silnej woli. Prawdopodobnie jest koło czterdziestki, przynajmniej na twarzy skórę ma jędrną. Z wyglądu przypomina starannie sprzątnięty pokój. Nie sprawia wrażenia człowieka, który sprowadziłby sobie do love hotelu chińską prostytutkę. Co więcej, nie wygląda na człowieka, który by ją bez powodu pobił, zdarł z niej i zabrał ubranie. Ale w rzeczywistości to zrobił, musiał to zrobić.

Dzwoni telefon, lecz on nie odbiera. Nie zmienia wyrazu twarzy, pracuje z tą samą szybkością. Pozwala mu dzwonić. Ani na chwilę nie odrywa wzroku od komputera. Po czterech dzwonekach zgłasza się automatyczna sekretarka.

„Mówi Shirakawa. Nie mogę w tej chwili podejść do telefonu. Proszę zostawić wiadomość po sygnale”.

Sygnal.

- Halo - odzywa się kobiecy głos. Jest niski, niewyraźny, nieco zaspany. - To ja, jeśli tam jesteś, to odbierz.

Shirakawa wpatrzony w ekran komputera wyłącza pilotem muzykę i odbiera. Telefon ma włączony odsłuch zewnętrzny, więc można rozmawiać, nie podnosząc słuchawki.

- Jestem - mówi Shirakawa.

- Przedtem dzwoniłam i cię nie było, więc pomyślałam, że może przypadkiem dziś uda ci się wcześniej wrócić - mówi kobieta.

- Przedtem to znaczy o której?

- Chyba po jedenastej. Zostawiłam ci wiadomość.

Shirakawa spogląda na telefon. Rzeczywiście mruga czerwona lampka wskazująca, że jest wiadomość.

- Przepraszam. Nie zauważyłem. Skupiłem się na pracy - mówi. - Po jedenastej? Wtedy wyszedłem coś zjeść. Potem wstąpiłem do Starbucks i wypiliśmy macchiato. A ty jeszcze nie śpisz?

Choć Shirakawa rozmawia przez telefon, jego palce nieprzerwanie uderzają w klawisze.

- Zasadniczo poszłam spać o pół do dwunastej, ale miałam zły sen, przed chwilą się obudziłam i zobaczyłam, że cię jeszcze nie ma... A co dziś było?

Shirakawa nie rozumie tego pytania. Przestaje pisać i patrzy na telefon. Zmarszczki w kącikach oczu na chwilę się pogłębiają. - Co dziś było?

- Chodzi mi o to, co jadłeś na kolację.

- Aha. Coś chińskiego. Jak zwykle. Bo to na dłużej zaspokaja głód.

- Smaczne?

- Nie... niezbyt.

Kieruje wzrok z powrotem na ekran i znów zaczyna pisać.

- No a praca?

- Sytuacja jest dość skomplikowana. Pewien facet wybił piłeczkę w zarośla. Jak ktoś tego do rana nie naprawi, to nie będą mogli rano odbyć konferencji przez internet.

- I tym kimś znowu musisz być ty?

- Zgadza się - mówi Shirakawa. - Sprawdziłem i nie ma tu nikogo innego.

- I da się do rana naprawić?

- Oczywiście. Przecież jestem najwyższej klasy profesjonalistą. Nawet po strasznym dniu jakoś wyrównam wynik do remisu. A jeśli rano nie będzie się mogła odbyć konferencja internetowa, może nic nie wyjść z wykupienia Microsoftu...

- Z wykupienia Microsoftu?

- Żartuję - mówi Shirakawa. - Ale zajmie mi to jeszcze z godzinę. Potem wezwę taksówkę, w domu pojawię się chyba koło pół do piątej.

- Pewnie będę już wtedy spała. Bo muszę wstać po szóstej i zrobić dzieciom drugie śniadania.

- Jak będziesz wstawiała, ja pewnie będę głęboko spał.

- A kiedy ty wstaniesz, ja będę jadła w firmie lunch.

- A kiedy ty wrócisz do domu, ja będę się właśnie poważnie zabierał do pracy.

- To znaczy, że znowu się miniemy.

- W przyszłym tygodniu powinienem znowu pracować w normalnej szych godzinach. Ktoś wróci z delegacji, nowy system się ustabilizuje.

- Naprawdę?

- Prawdopodobnie - mówi Shirakawa.

- Jeśli się nie mylę, miesiąc temu słyszałam dokładnie to samo.

- Prawdę mówiąc, wyciąłem i wkleiłem to samo.

Żona wzdycha. - Mam nadzieję, że się uda. Chciałabym czasem zjeść z tobą kolację i iść spać razem o tej samej porze.

- Uhm.

- Nie przepracowuj się.

- W porządku, jak zwykle pięknie wceluję ostatnią piłeczkę i wrócę do domu żegnany burzą oklasków.

- To na razie.

- Na razie.

- Zaczekaj chwilę.

- Uhm?

- Niezręcznie mi prosić o coś takiego profesjonalistę najwyższej klasy, ale czy mógłbyś po drodze wstąpić do sklepu nocnego i kupić mleko? Jeśli będzie, to niskotłuszczowe Takanashi.

- Dobrze. Żaden kłopot. Jedno niskotłuszczowe Takanashi.

Shirakawa wylącza się. Spogląda na zegarek, sprawdza czas. Ujmuje kubek stojący na biurku i wypija łyk wystygłej kawy. Na kubku jest logo „Intel inside”. Włącza odtwarzacz CD, rozlega się muzyka. W rytm Bacha Shirakawa rozprostowuje i zaciska palce prawej ręki. Oddycha głęboko, wymieniając powietrze w płucach. Potem przestawia się na inny tryb i wraca do przerwanej pracy. Znowu najważniejsze staje się, jak konsekwentnie znaleźć najkrótszą drogę od punktu A do punktu B.

Wnętrze sklepu nocnego. W lodówce stoją kartony z niskotłuszczowym mlekiem Takanashi. Pogwizdując lekko temat z *Five Spot After Dark*, Takahashi wybiera mleko. Nie ma przy sobie żadnej torby. Sięga po karton Takanashi, ale zauważa, że jest niskotłuszczowe, krzywi się. Dla niego może to być podstawowy problem moralny, a nie tylko kwestia tego, czy w mleku jest mniej czy więcej tłuszczu. Odstawia niskotłuszczowe na miejsce i bierze stojące obok zwykle. Sprawdziwszy termin przydatności do spożycia, wkłada do koszyka.

Podchodzi do pojemnika z owocami, bierze jabłko. Bada je w świetle pod różnymi kątami. Coś mu się nie podoba. Odkłada jabłko, bierze inne, poddaje je takim samym oględzinom. Powtarza to kilkakrotnie, w końcu wybiera jedno, które jest w miarę do przyjęcia - choć on bynajmniej nie wygląda na przekonanego. Wydaje się, że mleko i jabłka są dla niego pożywieniem o specjalnym znaczeniu. Kieruje się do kasy, lecz po drodze jego wzrok pada na kotlety rybne sprzedawane na tackach pokrytych plastikową folią i bierze jedną. Sprawdza datę przydatności do spożycia wydrukowaną w rogu opakowania, wrzuca do koszyka. Płaci w kasie, byle jak wrzuca do kieszeni spodni resztę i wychodzi ze sklepu.

Przysiada na barierce niedaleko, starannie wyciera jabłko brzegiem koszuli. Temperatura chyba spadła, w powietrzu widać białe chmurki oddechu. Prawie jednym haustem wypija łączywie mleko, potem zaczyna jeść jabłko. Rozmyślając nad czymś, żuje starannie każdy



kęs i zjedzenie całego owocu trwa dość długo. Kończy, ociera usta wymiętą chusteczką do nosa, wrzuca karton po mleku oraz ogryzek jabłka do reklamówki, niesie do kosza przed sklepem i wyrzuca. Kotlety rybne wkłada do kieszeni płaszcza. Sprawdza czas na pomarańczowym swatchu, podnosi ramiona w górę i przeciąga się. Potem rusza w jakimś kierunku.

8



Kamera, nasz punkt widzenia, powraca do pokoju Eri Asai. Po rozejrzeniu się odnosimy wrażenie, że nic się tu nie zmieniło. Upłynął jedynie czas, o tyle samo pogłębiła się noc. I cisza stała się o stopień cięższa.

A nie, mylimy się. Jest różnica. Coś wygląda tu zupełnie inaczej niż przedtem.

Zauważamy zmianę. Łóżko jest puste. Nie ma Eri Asai. Kołdra nie jest odrzucona, więc nie wygląda na to, że pod naszą nieobecność Eri obudziła się, wstała i dokądś poszła. Łóżko jest pięknie posłane. Nie ma nawet śladu po tym, że jeszcze niedawno tu spała. To przedziwne. Co się mogło stać?

Rozglądamy się dookoła.

Telewizor nadal jest włączony. Na ekranie to samo pomieszczenie co przedtem. Wielki pusty pokój bez mebli. Bezosobowe jarzeniówki, pokryta linoleum podłoga. Lecz teraz obraz jest nieprawdopodobnie stabilny. Nie słychać szumów, kontury są wyraźne, nie śnieży. Gdzieś - wszystko jedno gdzie - nastąpiło połączenie obwodu, tak że nie ma drgań. Jasny obraz telewizora oświetla pokój niczym księżyc w pełni zalewający blaskiem bezludną łąkę. Wszystkie bez wyjątku sprzęty w pokoju są pod wpływem pola magnetycznego wytwarzanego przez kineskop.

Ekran telewizora. Mężczyzna bez twarzy siedzi na tym samym krześle co przedtem. Brązowy garnitur, skórzane buty, biały kurz, lśniąca maska przylegająca do twarzy. Jego pozycja też się nie zmieniła. Jest wyprostowany, obie dłonie złożył równo na kolanach, z nieco pochyloną głową patrzy na coś przed sobą. Oczy są ukryte za maską, lecz wyczuwamy, że jest w coś wpatrzony. Na co może z takim natężeniem patrzeć? Jakby w odpowiedzi na nasze pytanie kamera telewizyjna zaczyna się poruszać, idąc za jego wzrokiem. Okazuje się, że on patrzy na stojące łóżko. Proste, drewniane, jednoosobowe łóżko. Śpi w nim Eri Asai.

Porównujemy puste łóżko w pokoju po tej stronie z tym widocznym na ekranie telewizora. Zestawiamy oba ze sobą szczegół po szczególe. Wydają się identyczne pod każdym względem. Narzuta też jest identyczna. Lecz jedno jest na ekranie telewizora, a drugie w pokoju po tej stronie. I w tym łóżku na ekranie śpi Eri Asai.

Przypuszczamy, że tamto jest prawdziwe. Pod naszą nieobecność (minęły już ponad dwie godziny od czasu naszej bytności w tym pokoju) przeniesiono je razem ze śpiącą Eri na drugą stronę. Tu zostało tylko łóżko zastępcze. Prawdopodobnie jako znak mający wypełnić pustkę, która została po tamtym.

Eri śpi głęboko w owym innym świecie, tak, jak spała w tym pokoju. Jest równie piękna, tak samo intensywnie. Nie zauważyła, że ktoś przeniósł ją (a może raczej należałoby powiedzieć: jej ciało) na ekran telewizora. Rażące światło jarzeniówek na suficie też nie dochodzi do dna tego rowu oceanicznego snu.

Mężczyzna bez Twarzy niewidocznymi oczami obserwuje Eri zza kurtyny. Niewidocznymi uszami nasłuchuje pilnie dochodzących od niej dźwięków. I Eri, i Mężczyzna bez Twarzy przez cały czas pozostają w tych samych pozycjach. Upodabniając się do otoczenia jak zwierzęta, oddychają rzadziej, obniżają temperaturę ciała, zachowują milczenie, rozluźniają mięśnie, kamuflują portal świadomości. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że patrzymy na klatkę zatrzymanego filmu. Lecz w rzeczywistości tak nie jest. To prawdziwy obraz transmitowany do nas bezpośrednio, w rzeczywistym czasie. I w pokoju po tej stronie, i w tym po tamtej czas płynie równomiernie. Oba pokoje są w tej samej strefie czasowej. Poznajemy to po tym, że niekiedy ramiona Mężczyzny bez Twarzy powoli się unoszą i opadają. I choć każde z nas ma swoją własną wolę, jesteśmy wszyscy razem z tą samą prędkością unoszeni w dół strumienia czasu.

9



Wnętrze restauracji Skylark. Goście są mniej liczni niż przedtem. Zniknęła już grupa hałaśliwych studentów. Mari siedzi przy oknie i znów czyta książkę. Nie włożyła okularów. Czapka leży na stoliku. Torba i kurtka baseballowa na sąsiednim krześle. Przed Mari talerz kanapek i filiżanka herbaty ziołowej. Kanapki są zjedzone do połowy.

Do restauracji wchodzi Takahashi. Nie ma nic przy sobie. Rozgląda się, zauważa Mari i

podchodzi prosto do niej.

- Cześć - mówi.

Mari podnosi głowę, widzi Takahashiego i lekko kiwa głową. Nic nie mówi.

- Będzie ci przeszkadzało, jeżeli sobie tu na chwilę przysiądę?

- Proszę - mówi Mari obojętnym tonem.

Takahashi siada naprzeciw niej. Zdejmuje kurtkę, podciąga rękawy swetra. Podchodzi kelnerka, żeby przyjąć zamówienie. Takahashi zamawia kawę.

Potem spogląda na zegarek. - Trzecia nad ranem. Teraz jest najciemniej i najtrudniej wytrzymać bez snu. No jak, nie chce ci się spać?

- Niespecjalnie - odpowiada Mari.

- Ja wczoraj prawie nie spałem. Musiałem napisać straszny referat.

Mari się nie odzywa.

- Kaoru powiedziała, że pewnie tu będziesz.

Mari kiwa głową.

Takahashi mówi dalej: - Przepraszam cię. Za tę Chinkę. Mieliliśmy właśnie próbę, kiedy Kaoru zadzwoniła na moją komórkę i zapytała czy nie znam kogoś mówiącego po chińsku, no ale nikt znajomy nie mówi i wtedy nagle pomyślałem o tobie. I powiedziałem jej, że jak pójdzie do Denny's, znajdzie tam dziewczynę, Mari Asai, która tak a tak wygląda i mówi świetnie po chińsku. Mam nadzieję, że nie miałaś z tym dużo zwracania głowy?

Mari pociera palcami ślad po okularach - Nie szkodzi, to nic takiego.

- Kaoru mówiła, że bardzo jej pomogłaś. Była ci wdzięczna. I zdaje się, że strasznie jej się spodobałaś.

Mari zmienia temat. - Próba już się skończyła?

- Mamy przerwę - odpowiada Takahashi. - Chciałem się napić gorącej kawy i trochę otrzeźwieć, a poza tym pomyślałem, że muszę ci podziękować. Martwiłem się, że ci przeszkodziłem.

- Przeszkodziłeś w czym?

- Nie wiem. Wszystko jedno w czym, w każdym razie, że może ci w czymś

przeszkodziłem...

- Przyjemnie jest grać muzykę? - zadaje pytanie Mari.

- Uhm. Jest prawie tak przyjemnie jak latać po niebie.

- A latałeś kiedyś po niebie?

Takahashi z uśmiechem na ustach milczy chwilę. - Nie, nigdy nie latałem po niebie - odpowiada. - To tylko przykład.

- Chcesz zostać zawodowym muzykiem?

Takahashi potrząsa głową. - Nie mam dość talentu. Strasznie przyjemnie jest grać, ale nie mógłbym się z tego utrzymać. Jest duża różnica między robieniem czegoś dobrze a robieniem czegoś naprawdę twórczo. Myślę, że gram zupełnie nieźle. Niektórzy mnie chwala i oczywiście cieszą się z tego. Ale to wszystko. Dlatego z końcem miesiąca zamierzam odejść z zespołu i pożegnać się z muzyką.

- Co to konkretnie znaczy, że robi się coś naprawdę twórczo?

- Hm... Wchłaniając muzykę całym sercem, nagle fizycznie coś w sobie poruszasz, a jednocześnie tak samo poruszasz coś w słuchaczu. Czyli tworzy się taki wspólny stan. Chyba o to chodzi.

- To wydaje się trudne.

- Bardzo trudne - mówi Takahashi. - Dlatego wysiadam. Na następnej stacji przesiadam się w inny pociąg.

- I nie tkniesz więcej instrumentu?

Odwraca swoje dłonie leżące na stole wnętrzem do góry. - Może się na tym skończyć.

- Pójdiesz do pracy?

Takahashi znów potrząsa głową. - Nie, do pracy nie pójdę.

- A co będziesz robił? - pyta Mari po chwili.

- Zamierzam poważnie studiować prawo. Chcę zdać egzamin adwokacki.

Mari milczy, lecz wydaje się nieco zaintrygowana.

- No, pewnie zajmie mi to dużo czasu - mówi on. - Niby jestem na Wydziale Prawa, ale do tej pory interesował mnie tylko zespół i uczyłem się wszystkiego po łebkach. Nawet jeśli

teraz zmienię nastawienie i porządnie zabiorę się do nauki, nie tak łatwo mi będzie nadrobić. Życie nie zna litości.

Kelnerka przynosi kawę. Takahashi dodaje śmietanki, miesza, dzwoniąc łyżeczką, wypija.

Mówi dalej: - Prawdę mówiąc, pierwszy raz w życiu nabrałem ochoty, żeby się czegoś poważnie uczyć. Zawsze miałem niezłe stopnie. Nie były może rewelacyjne, ale niezłe. Jakoś opanowuję najważniejsze rzeczy i mam nie najgorsze wyniki. Jestem w tym dobry. Dlatego dostałem się na przyzwoitą uczelnię i jak tak dalej pójdzie, mógłbym się dostać do przyzwoitej firmy. Potem zawarłbym przyzwoite małżeństwo, miałbym przyzwoitą rodzinę... prawda? Ale odechciało mi się tego. Nagle.

- Dlaczego? - pyta Mari.

- Chodzi ci o to, dlaczego nagle zachciało mi się poważnie uczyć?

- Uhm.

Trzymając oburącz filiżankę kawy, patrzy na nią zmrużonymi oczami. Jakby zaglądał do pokoju przez szparę w oknie. - Pytasz dlatego, że naprawdę chcesz usłyszeć odpowiedź?

- Oczywiście. Przecież chyba zwykle zadaje się pytania, bo chce się usłyszeć odpowiedź.

- Teoretycznie tak. Ale są i tacy, którzy pytają tylko z grzeczności.

- Nie bardzo wiem, dlaczego miałabym cię o coś pytać z grzeczności?

- No, to też prawda.

Po krótkim namyśle Takahashi odstawia filiżankę na spodeczek. Rozlega się stuknięcie. - Mam długą i krótką wersję wyjaśnienia. Którą wolisz?

- Średnią.

- Dobra. Odpowiedź w rozmiarze medium.

Takahashi porządkuje sobie z grubsza w myślach to, co zamierza powiedzieć. - W tym roku, od kwietnia do czerwca, kilka razy byłem w sądzie. W Tokijskim Sądzie Rejonowym w Kasumigaseki. Musiałem wysłuchać paru spraw, żeby potem napisać referat na seminarium. Hm... byłaś kiedyś w sądzie?

Mari kręci głową.

Takahashi mówi dalej: - Sąd przypomina multiplex. Na tablicy przy wejściu podane są

sprawy odbywające się danego dnia i godziny ich rozpoczęcia, jak program filmów. Wybiera się taką, która człowieka interesuje, i idzie się posłuchać. Każdy może sobie tam wejść. Nie wolno tylko wносить aparatów fotograficznych ani urządzeń do nagrywania. Jedzenia też nie wolno. Zabronione są również rozmowy. Siedzenia są wąskie, jak się człowiek zdrzemnie, to woźny zwraca uwagę. No ale w końcu wstęp jest bezpłatny, więc nie można narzekać. Takahashi przerywa na chwilę.

- Głównie chodziłem na sprawy kryminalne. Napady, obrażenia cielesne, podpalenia, rabunki i morderstwa. Jest jakiś zły człowiek, robi coś złego, zostaje złapany, postawiony przed sądem i ukarany. To łatwiej zrozumieć, prawda? W przypadku przestępstw ekonomicznych czy ideologicznych tło komplikuje sprawę. Trudniej jest odróżnić dobro od zła, a to zawracanie głowy. Miałem zamiar szybciotko napisać referat, dostać przyzwoity stopień i na tym koniec. Jak dziennik obserwacji wzrostu fasolki, który trzeba prowadzić w podstawówce podczas wakacji.

Takahashi przestaje mówić. Patrzy na wnętrze swoich dłoni leżących na stole.

- Ale kiedy tak chodziłem do sądu i przysłuchiwałem się procesom, zaczęły mnie dziwnie interesować sądzone sprawy i związani z nimi ludzie. Czy też stopniowo zaczęło mi się wydawać, że to wszystko mnie dotyczy. To było przedziwne uczucie. Przecież tam sądzi się ludzi, którzy, jakkolwiek by na to patrzeć, są inni niż ja. Żyją w innym świecie, między moim światem a ich jest solidny wysoki mur. Tak myślałem na początku. Przecież mało prawdopodobne, że popełnię jakieś brutalne przestępstwo. Jestem pacyfistą, jestem łagodny, od dzieciństwa na nikogo nie podniosłem ręki. Dlatego byłem tylko obserwatorem, mogłem przyglądać się procesowi z dystansu. Jako czemuś, co mnie nie dotyczy.

Podnosi głowę i patrzy na Mari. Szuka odpowiednich słów.

- Ale gdy tak chodziłem regularnie do sądu, słuchałem zeznań świadków, mów prokuratorów i obrońców, oświadczeń oskarżonych, zacząłem tracić pewność siebie. Czyli zacząłem myśleć tak: być może nie istnieje mur dzielący od siebie dwa światy. A jeśli nawet istnieje, może to tylko być jakiś mur z papier m@ache. Gdyby się o niego lekko oprzeć, być może by się go przebiło i wypadło na drugą stronę. Czy też może tamta strona wślizgnęła się już po cichu do naszego wnętrza, tylko my jeszcze tego nie zauważyliśmy? Tak mi się zaczęło wydawać. Trudno to wyrazić słowami.

Takahashi wodzi palcem po brzegu filiżanki.

- Kiedy raz się tak pomyśli, różne rzeczy zaczynają inaczej wyglądać. Sam system

sądowy zaczął mi się jawić jako jakiś szczególny, dziwny stwór.

- Dziwny stwór?

- Na przykład, powiedzmy, jak ośmiornica. Olbrzymia ośmiornica żyjąca na dnie oceanu. Ma niespożyte siły witalne, wiele pokreconych ramion i gdzieś podąża po dnie ciemnego morza. Przyglądając się tym procesom, nie mogłem przestać sobie tego wyobrażać. Ośmiornica przyjmuje różne kształty. Czasami kształt państwa, a czasami kształt prawa. Zdarza się też, że przybiera bardziej skomplikowane, kłopotliwe formy. Choćby obcinać jej ramiona jedno po drugim, i tak odrastają. Nikt nie jest w stanie zabić tego stworzenia. Jest na to za silne i mieszka zbyt głęboko. Nie wiadomo nawet, gdzie ma serce. Czuję wtedy przejmujący strach. I coś w rodzaju rozpacz, że choćby uciekać na koniec świata, nie da się uciec. Ten stwór nawet przez chwilę się nie zastanowi nad tym, że ja jestem mną, a ty tobą. W jego oczach wszyscy ludzie tracą imiona, tracą twarze. Stajemy się wszyscy jedynie znakami. Jedynie numerami.

Mari wpatruje się w niego.

Takahashi wypija łyk kawy. - Ta historia nie jest zbyt ponura?

- Uważnie cię słucham - mówi Mari.

Takahashi odstawia filiżankę na spodek. - Dwa lata temu w Tachikawie miało miejsce morderstwo i podpalenie. Pewien mężczyzna zabił małżeństwo starszych, zrabował im książeczkę oszczędnościową oraz pieczętkę\* [\*W Japonii zamiast podpisu używa się oficjalnie zarejestrowanych pieczętek z nazwiskiem.], i żeby zniszczyć dowody, podpalił dom. Tej nocy wiał silny wiatr i spłonęły cztery sąsiednie. Facet dostał wyrok śmierci. W świetle obecnie znanych japońskich precedensów prawnych to oczywista kara. Jeżeli zamorduje się dwie lub więcej osób, w większości przypadków zapada wyrok śmierci. Przez powieszenie. A ten jeszcze podpalił. Facet był naprawdę bydlakiem. Miał sadystyczne skłonności, już przedtem kilka razy siedział. Rodzina dawno się go wyrzekła, był narkomanem, za każdym razem jak tylko go wypuszczali, popełniał kolejne przestępstwo. Nie okazywał ani krzty żalu. Gdyby złożył apelację, zostałaby na sto procent odrzucona. Obróncę miał z urzędu, ten od razu się poddał. Dlatego nikt się nie zdziwił, kiedy skazali faceta na śmierć. Ja też się wcale nie zdziwiłem. Usłyszałem, jak sędzia czyta wyrok, i robiąc notatki, myślałem, no tak, to oczywiste. Proces się zakończył, wsiadłem w Kasumigaseki do metra, wróciłem do domu, siadłem przy biurku, zacząłem porządkować notatki i nagle ogarnęło mnie przygnębienie. Jak to określić? Poczuję się tak, jakby na całym świecie spadło

napięcie. Wszystko stało się o stopień ciemniejsze, o stopień chłodniejsze. Ogarnęły mnie dreszcze, nie mijały. Wkrótce zaczęły płynąć łzy. Ciekawe dlaczego. Nie potrafię tego wyjaśnić. Dlaczego tak mnie zdenerwowało, że ten facet dostał wyrok śmierci? Przecież to drań, nie było nadziei, że się poprawi. Nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego, nic nas nie powinno łączyć. A mimo to dlaczego tak głęboko to mną wstrząsnęło?

Pytanie pozostaje bez odpowiedzi przez około trzydzieści sekund. Mari czeka na dalszy ciąg opowiadania.

Takahashi mówi dalej: - Chyba próbuję powiedzieć następującą rzecz: pewien człowiek, wszystko jedno jaki, zaplątuje się w macki ogromnego stworzenia przypominającego ośmiornicę, zostaje wciągnięty w ciemność. Bez względu na to, jakie się tu dorobi wyjaśnienie, obserwowanie tego jest nie do zniesienia.

Takahashi patrzy w przestrzeń nad stolikiem, bierze głęboki oddech.

- W każdym razie od tego dnia zacząłem tak myśleć: poważnie zabiorę się do nauki prawa. Być może tam znajdę to, czego szukam. Być może studiowanie prawa nie będzie tak przyjemne jak granie muzyki, ale nie ma rady, takie jest życie. Na tym polega bycie dorosłym.

Milczenie.

- To było wyjaśnienie w rozmiarze medium? - pyta Mari.

Takahashi kiwa głową. - Może było trochę zbyt długie. Nigdy przedtem nikomu o tym nie mówiłem, więc trudno mi było ocenić rozmiar... Słuchaj, jeśli nie będziesz jadła tych kanapek, mogę jedną wziąć?

- Zostały tylko z tuńczykiem.

- To dobrze. Lubię tuńczyka. Ty nie lubisz?

- Lubię. Ale jak się je tuńczyka, w organizmie może się kumulować rtęć.

- Coś podobnego.

- A kiedy rtęć zgromadzi się w organizmie, po czterdziestce wzrasta prawdopodobieństwo zawału. I włosy mogą wypadać.

Takahashi krzywi się. - Czyli kurczak jest niedobry, tuńczyk też jest niedobry?

Mari kiwa głową.

- Akurat tak się składa, że lubię jedno i drugie.



- Przykro mi - mówi Mari.

- Prócz tego lubię też sałatkę kartoflaną. Czy z sałatką kartoflaną też mogą być jakieś poważne problemy?

- Myślę, że z sałatką kartoflaną nie ma żadnych specjalnych problemów - odpowiada Mari. - Nie licząc tego, że jeśli się je za dużo, można utyć.

- Tycie mi specjalnie nie przeszkadza. Jestem z natury chudy.

Takahashi bierze jedną kanapkę z tuńczykiem i zjada ze smakiem.

- Czyli do czasu egzaminu adwokackiego będziesz studentem? - pyta Mari.

- No tak. Będę brał jakieś prace na zlecenia i biedował przez pewien czas.

Mari zastanawia się nad czymś.

- Widziałaś *Love Story*? Taki stary film - pyta Takahashi.

Mari potrząsa głową.

- Ostatnio był w telewizji. Bardzo ciekawy. Ryan O'Neal jest jedynym synem zamożnego człowieka z szacownej rodziny. Jeszcze na studiach żeni się z biedną dziewczyną włoskiego pochodzenia i przez to zostaje z miejsca wydziedziczony. Rodzice przestają mu też płacić czesne, ale młodzi żyją sobie we dwoje, klepiąc biedę, on się pilnie uczy, kończy z wybitnymi wynikami studia prawnicze na Harvardzie.

Takahashi przerywa na chwilę. Potem mówi dalej: - Bieda w wykonaniu Ryana O'Neala potrafi być wyrafinowana. Ma na sobie gruby biały sweter, rzuca się śnieżkami z Ali MacGraw, a w tle rozbrzmiewa sentymentalna muzyka Francisa Lai. Ale zdaje mi się, że w moim wykonaniu to nie będzie tak samo wyglądało. W moim przypadku bieda będzie tylko zwykłą biedą. Śniegu też pewnie tak ładnie nie napada.

Mari znów nad czymś rozmyśla.

- I na koniec tego wszystkiego Ryan O'Neal zostaje prawnikiem, ale widz prawie niczego się nie dowiaduje o jego pracy. Wiemy jedynie, że zostaje zatrudniony w jednej z najlepszych firm prawniczych i zarabia tak dużo, że można mu tylko zazdrościć. Mieszka w wieżowcu z odzwiercym w jednej z najelegantszych części Manhattanu, należy do klubu sportowego dla WASP-ów i kiedy ma czas, gra w squasha z kolegami w typie yuppies.

Takahashi pije wodę ze szklanki.

- I co się dalej dzieje? - pyta Mari.

Takahashi podnosi wzrok i próbuje sobie przypomnieć treść filmu. - Happy end. Żyją długo i szczęśliwie. Miłość zwycięża. Dawniej było ciężko, ale teraz jest świetnie, w tym stylu. Jeździ lśniącym jaguarem, gra w squash, zimą czasami bawi się w śnieżki. Ojciec, który go wydziedziczył, cierpi na cukrzycę, marskość wątroby oraz chorobę Meniere'a i umiera w samotności.

- Nie bardzo rozumiem, co jest w tym ciekawego?

Takahashi lekko przechyla głowę. - Hm, co w tym było ciekawego? Nie bardzo pamiętam. Miałem coś do załatwienia i nie oglądałem porządnie do samego końca... Słuchaj, nie masz ochoty się przejść dla zmiany nastroju? Kawalek stąd piechotę jest niewielki skwerek, gdzie zbierają się koty. Zabierzemy te kanapki z ręką i nakarmimy je. Mam też kotlety rybne. Lubisz koty?

Mari lekko kiwa głową. Wkłada książkę do torby i wstaje.

Idą we dwoje ulicą. Teraz nie rozmawiają. Takahashi pogwizduje. Obok przejeżdża powoli czarny jak smoła motocykl Honda. To Chińczyk, który przyjechał do hotelu Alphaville po kobietę. Włosy ma związane w kucyk. Teraz jedzie bez kasku i uważnie rozgląda się dookoła. Ale nie dochodzi do żadnego kontaktu między mężczyzną a dwojgiem młodych. Niski warkot silnika zbliża się do nich, mija i oddala.

Mari zwraca się do Takahashiego: - A skąd znasz Kaoru?

- Pracowałem w tym hotelu przez prawie pół roku. W Alphaville. Czyściłem podłogi, wykonywałem wszystkie ciężkie prace. A poza tym rzeczy związane z komputerem. Instalowałem programy, naprawiałem, jak były problemy. Założyłem im nawet kamerę monitorującą wejście. Tam pracują same kobiety, więc nawet ja byłem ceniony jako mężczyzna do pomocy.

- A jak doszło do tego, że tam zacząłeś pracować?

Takahashi trochę się waha. - Jak doszło?

- Jakoś musiało do tego dojść - mówi Mari. - Ale Kaoru coś na ten temat niejasno mówiła.

- Trochę niezręcznie mi o tym opowiadać.

Mari milczy.

- A niech tam - rzuca Takahashi jakby zrezygnowany. - Prawdę mówiąc, poszedłem tam z pewną dziewczyną. To znaczy jako klient. A kiedy już po wszystkim wychodziliśmy, zdałem sobie sprawę, że mi nie starczy pieniędzy. Dziewczyna też przy sobie nie miała. Przyszliśmy tam pijani i nie myśleliśmy o tym, co będzie dalej. Nie było rady. Musiałem im zostawić legitymację studencką.

Mari nie komentuje tego.

- To naprawdę żalosna historia - mówi Takahashi. - Następnego dnia poszedłem dopłacić różnicę. Wtedy Kaoru zaproponowała herbatę, zaczęliśmy rozmawiać o różnych rzeczach i w rezultacie stanęło na tym, że zacznę tam od następnego dnia dorabiać. Jakby na siłę mnie w to wciągnęła. Nie zarabiałem dużo, ale często stawiała mi kolację. To miejsce, gdzie teraz robimy próby, też Kaoru nam znalazła. Wygląda na szorstką i twardą, ale jest bardzo życzliwa. Ciągle jeszcze czasami tam wpadam. Jak komputer im nawala, to mnie wzywają.

- A jak się skończyło z tą dziewczyną?

- Z tą, z którą byłem w hotelu?

Mari kiwa głową.

- Na tym był koniec - mówi Takahashi. - Od tamtego czasu jej nie widziałem. Pewnie się do mnie zniechęciła. To w końcu głupia wpadka. Ale tak bardzo mi na tej dziewczynie nie zależało. Więc szczególnie mnie to nie martwi. Nawet gdybyśmy dalej się spotykali, pewnie prędzej czy później coś by się między nami popsuło.

- Chodzisz do hoteli z osobami, na których ci specjalnie nie zależy? Często?

- Żartujesz. Nie mam tyle szczęścia. Wtedy po raz pierwszy byłem w love hotelu.

Idą dalej.

Takahashi mówi, jakby się usprawiedliwiał: - A poza tym wtedy to nie ja zaproponowałem. To ona powiedziała: „Chodźmy do hotelu”, naprawdę.

Mari milczy.

- No ale to też zrobiłaby się długa historia, jakbym zaczął opowiadać. Były pewne okoliczności - mówi Takahashi.

- Masz dużo długich historii do opowiadania.

- Może i tak - przyznaje Takahashi. - Ciekawe dlaczego.
- Słuchaj, wcześniej mówiłeś, że nie masz rodzeństwa, prawda?
- Uhm, jestem jedynakiem.
- Ale skoro chodziłeś do liceum z Eri, to znaczy, że jesteś z Tokio. Jeśli tak, to dlaczego nie mieszkasz z rodzicami? Chyba w ten sposób byłoby ci się łatwiej utrzymać?
- To też będzie długa historia, jak zacznę ci tłumaczyć.
- A nie ma krótkiej wersji?
- Jest. Bardzo krótka - odpowiada Takahashi. - Chcesz usłyszeć?
- Uhm.
- Moja matka nie jest moją biologiczną matką.
- Dlatego jesteście w złych stosunkach?
- Nie, nie jesteśmy w złych stosunkach. Ja nie jestem z tych, którzy próbują specjalnie pogarszać sytuację. Ale nie mam też ochoty zasiadać z nimi codziennie przy stole, śmiać się i gadać. A poza tym z natury jestem samotnikiem. Do tego nie da się powiedzieć, że mam szczególnie przyjazne stosunki z ojcem.
- Czyli masz z nim złe układy?
- Raczej różnimy się charakterami, mamy inne systemy wartości.
- A co robi twój ojciec?

Takahashi idzie powoli w milczeniu, patrząc pod nogi. Mari też się nie odzywa.

- Nie bardzo wiem, co robi. Prawdę mówiąc. Ale tak czy inaczej mam graniczące z pewnością przypuszczenia, że nie robi nic szczególnie godnego pochwały. A poza tym... zwykle nikomu o tym nie mówię, gdy byłem dzieckiem, przez kilka lat siedział w więzieniu. Krótko mówiąc, był typem aspołecznym, przestępcą. To też jedna z przyczyn, dla których nie chcę mieszkać w domu. Martwi mnie kwestia genów.

Mari mówi jakby zniechęcona: - To ma być bardzo krótka wersja? - i śmieje się.

Takahashi spogląda na nią. - Po raz pierwszy się roześmiałaś.



Eri Asai nadal śpi.

Nie ma już Mężczyzny bez Twarzy, który niedawno siedział obok na krześle i wpatrywał się w nią w skupieniu. Zniknęło też krzesło. Zniknęło bez śladu. Z tego powodu pokój jest jeszcze bardziej nieprzyjazny, bardziej pusty niż przedtem. Mniej więcej pośrodku stoi łóżko, w nim Eri. Wygląda jak ktoś unoszący się samotnie w szalupie ratunkowej na powierzchni spokojnego morza. My patrzymy na to z tej strony, to znaczy z rzeczywistego pokoju Eri przez ekran telewizora. Kamera, która chyba jest po tamtej stronie, fotografuje śpiącą Eri i pokazuje nam ten obraz. W regularnych odstępach czasu zmienia się położenie i kąt ustawienia kamery. Odrobinę się zbliża, odrobinę oddala.

Czas mija, lecz nic się nie dzieje. Dziewczyna ani drgnie. Śpi całkiem cicho. Unosi się na plecach na pozbawionej fal i prądów powierzchni czystych myśli. Mimo to nie możemy oderwać wzroku od tego obrazu. Dlaczego tak jest? Nie znamy przyczyny, ale intuicyjnie wyczuwamy, że tam coś jest. Coś żywego. Ukryło się pod powierzchnią wody i udaje, że go nie ma. Wpatrujemy się uważnie w nieruchomy ekran, chcąc dostrzec niewidzialne.

Teraz chyba odrobinę poruszył się kącik ust Eri. A może nawet nie da się tego nazwać ruchem. Było to leciutkie drżenie, mogło nam się jedynie wydawać. Może tylko drgnął obraz na ekranie. Albo to było przywidzenie. Całym sercem pragniemy jakiejś zmiany i może to życzenie wywołało takie złudzenie optyczne. Chcemy się upewnić, więc jeszcze bardziej wyęźamy wzrok.

Kamera, jakby wyczuwała nasze intencje, zbliża się do fotografowanego obiektu. Zbliżenie ust Eri. Wstrzymując oddech, wpatrujemy się w ekran telewizora. Cierpliwie wyczekujemy, co będzie dalej. Znowu drżenie warg. Momentalny skurcz mięśni. Tak, taki sam ruch jak przedtem. Nie ma wątpliwości. To nie było żadne przywidzenie. Coś się dzieje w ciele Eri Asai.

Stopniowo przestaje nam wystarczać bierne wpatrywanie się z tej strony w ekran telewizora. Chcielibyśmy na własne oczy zobaczyć, bezpośrednio sprawdzić, co jest w tamtym pokoju, z bliska obserwować te drobne ruchy Eri, podobne do ruchów płodu świadomości. Chcielibyśmy bardziej konkretnie odczytywać ich znaczenie. Dlatego

postanawiamy przenieść się na drugą stronę ekranu.

Gdy już podejmie się decyzję, nie jest to wcale takie trudne. Wystarczy oddalić się od ciała, zostawić za sobą rzeczywistą formę i przeobrazić się w niematerialny, pojęciowy punkt widzenia. Wtedy można przejść przez każdą, nawet najgrubszą ścianę. Przelecieć nad każdą, nawet najgłębszą przepaścią. I rzeczywiście przeobrażamy się całkowicie w pojedynczy punkt i przenikamy przez ekran telewizora dzielący oba światy. Przenosimy się z tej strony na tamtą. Kiedy przechodzimy przez ten mur, przelatujemy nad przepaścią, świat ulega silnemu zniekształceniu, pęka i rozpada się, na chwilę znika. Przeradza się w drobny pył i rozwiewa się na wszystkie strony. Potem znów powstaje. Otaczają nas nowe rzeczywiste formy. A wszystko to odbywa się w mgnieniu oka.

I teraz jesteśmy po tamtej stronie. W pokoju, który był widoczny na ekranie telewizora. Rozglądamy się dookoła, oceniamy sytuację. Pachnie, jakby od dawna nikt tu nie sprzątał. Okna są pozamykane, powietrze stoi. Jest chłodno, lekki zapach pleśni. Cisza boleśnie dzwoni w uszach. Nikogo nie ma. Nie ma też wrażenia, że coś się tu kryje. Nawet jeżeli przedtem się kryło, musiało już gdzieś zniknąć. Teraz jesteśmy tu tylko my i Eri Asai.

Eri Asai wciąż śpi na pojedynczym łóżku na środku pokoju. Pamiętamy to łóżko i kapę. Podchodzimy i patrzymy na twarz śpiącej. Niespiesznie, dokładnie badamy wszystkie jej szczegóły. Jak wiadomo, jesteśmy jedynie punktem widzenia, możemy tylko obserwować. Obserwować, zbierać informacje i, jeżeli to będzie możliwe, wnioskować. Nie wolno nam jej dotknąć. Nie możemy też się do niej odezwać. Ani nawet pośrednio zasugerować naszej obecności.

Wkrótce na twarzy Eri znowu coś się porusza. To odruch, skurcz mięśni, jakby odpędzała małego owada, który przysiadł na policzku. Kilka razy leciutko drży jej prawa powieka. Chwieją się fale myśli. W kąciku mrocznej świadomości Eri pewien drobny fragment bezgłośnie nawołuje inny fragment, łączą się, na wodzie powstają zmarszczki. Ten proces odbywa się na naszych oczach. Tak powstają jednostki myśli. Potem łączą się z innymi, uformowanymi gdzie indziej. Tworzy się podstawowy system samoświadomości. Innymi słowy dziewczyna krok po kroku zmierza do przebudzenia.

To budzenie się jest tak powolne, że wywołuje zniecierpliwienie, lecz nie zatrzymuje się ani nie cofa. System co pewien czas wykazuje wahania, ale krok po kroku niewątpliwie posuwa się naprzód. Przerwy między jednym zdarzeniem a drugim też stopniowo się skracają. Ruchy mięśni najpierw ograniczają się jedynie do twarzy, lecz z upływem czasu

rozchodzą się po całym ciele. W pewnej chwili spokojnie unosi się ramię, spod kołdry ukazuje się drobna biała dłoń. Lewa. Lewa dłoń budzi się pierwsza, o krok przed prawą. Palce odmarzają w tej nowej czasowości, rozluźniają się, poruszają, niezdarnie czegoś szukają. Wkrótce przesuwiają się po kołdrze, jak drobne stworzonka, które się uniezależniły, i dotykają szczupłej szyi. Jakby Eri niepewnie szukała znaczenia swego ciała.

Niedługo unoszą się powieki. Lecz zaatakowane światłem jarzeniówek na suficie zaledwie po sekundzie znów się zamykają. Zdaje się, że świadomość Eri unika przebudzenia. Pragnie odrzucić realny świat i spać w nieskończoność w miękkiej, pełnej zagadek ciemności. Za to jej organizm domaga się całkowitego przebudzenia. Tęskni za nowym, naturalnym światłem. I tak te dwie siły walczą w niej ze sobą, trwa konflikt. W końcu wygrywa siła zmierzająca do przebudzenia. Powieki ponownie się unoszą. Powoli, z wahaniem. Światło jednak razi. Jarzeniówki są zbyt jasne. Dziewczyna podnosi rękę i osłania oczy. Przekręca głowę, kładzie policzek na poduszce.

Eri Asai leży w tej pozycji przez trzy czy cztery minuty. Z zamkniętymi oczami. Czas sobie płynie. Czyżby znów usnęła? Nie, nie śpi. Niespiesznie przyzwyczajają świadomość do jawy. Czas jest tu ważny tak samo jak dla ludzi, którzy, gdy znajdują się w strefie zupełnie innego ciśnienia, a muszą dostosować do niego funkcje organizmu. Jej świadomość zdaje sobie sprawę, że zaszła niedająca się uniknąć zmiana i, choć niechętnie, stara się ją zaakceptować. Dziewczyna czuje lekkie mdłości. Żołądek się kurczy, Eri ma uczucie, że coś próbuje się z niego wydostać. Udaje jej się to powstrzymać za pomocą kilku głębokich oddechów. Mijają mdłości, ale zastępuje je kilka nieprzyjemnych doznań innego rodzaju: ścierpięte nogi i ręce, lekkie dzwonięcie w uszach, ból mięśni. Za długo spała w jednej pozycji.

Znów upływa czas.

Wkrótce dziewczyna podnosi się na łóżku i nieprzytomnie rozgląda dookoła. Bardzo duży pokój. Szuka w pamięci. Wszystkie wspomnienia od razu się urywają jak nitki. Nikogo nie ma. Gdzie ja właściwie jestem? Co ja tu robię? Wiem tylko, że najwyraźniej tu spałam. Dowodzi tego fakt, że jestem w łóżku i mam na sobie piżamę. To moje łóżko, moja piżama. Nie ma wątpliwości. Ale to nie jest moje miejsce. Całe ciało mam zdrętwiałe. Jeżeli spałam, musiałam spać bardzo długo, bardzo głęboko. Ale nie mam pojęcia jak długo. Kiedy usilnie się nad tym zastanawia, czuje dotkliwe klucie w skroniach.

Zdecydowanie odrzuca kołdrę. Ostrożnie opuszcza bosc stopy na podłogę. Ma na sobie

piżamę. Niebieską, bez wzorów. Materiał jest błyszczący. W pokoju panuje chłód, więc Eri podnosi cienką kapę i owija się nią jak peleryną. Próbuje ruszyć, lecz nie może iść prosto przed siebie. Mięśnie nie bardzo potrafią sobie przypomnieć, jak się chodzi. Z wysiłkiem posuwa się krok za krokiem. Pokryta jakimś linoleum podłoga ocenia ją, przesłuchuje strasznie urzędowo. Kim jesteś, co tu robisz, pyta chłodno. Ale ona oczywiście nie umie odpowiedzieć na to pytanie.

Podchodzi do szyby, kładzie dłoń na ramie okiennej i wyężając wzrok, wygląda na zewnątrz. Lecz za oknem nie ma nic przypominającego krajobraz. Jest tam jedynie bezbarwna przestrzeń, jak czyste abstrakcyjne pojęcie. Eri pociera rękami oczy, bierze głęboki oddech i jeszcze raz spogląda przez okno. Nie ma za nim nic prócz pustki. Próbuje otworzyć okno, ale bez skutku. Sprawdza po kolei wszystkie okna, lecz żadne nawet nie drgnie, jakby zostały zabite gwoździami. A może to jest statek, myśli Eri. Ta myśl przychodzi jej do głowy, bo czuje w sobie łagodne kołysanie. Może jestem na wielkim statku? I nie można otworzyć okien, żeby woda nie dostała się do kabiny. Wyęża słuch i próbuje dosłyszeć pomruk silnika albo odgłos fal przecinanych dziobem. Ale do jej uszu dociera jedynie jednolite echo ciszy.

Niespiesznie obchodzi pokój, dotyka ścian, wyłączników. Włącza i wyłącza wszystkie, lecz jarzeniówki na suficie nie gasną. Nic się nie dzieje. W pokoju jest dwoje drzwi. Zwykle drzwi z płyty pilśniowej. Przekręca klamkę. Klamka obraca się luźno, niczego nie otwierając. Eri ciągnie i popycha, ale drzwi nawet nie drgną. Drugie tak samo. Wszystkie drzwi i okna, zupełnie niezależnie jakby były żywymi stworzeniami, wysyłają jej sygnał odrzucenia.

Eri zdecydowanie wali pięściami w drzwi. Ma nadzieję, że może ktoś usłyszy i otworzy je z zewnątrz. Choć uderza bardzo mocno, rozlega się zadziwiająco cichy dźwięk. Jest tak wąty, że prawie nie dociera do jej uszu. Tego nikt nie usłyszy (nawet zakładając, że ktoś tu jest). Tylko ręce ją rozboleły. Czuje zawrót w tyle głowy. Kołysanie wewnątrz stało się silniejsze.

Zauważamy, że pomieszczenie to przypomina biuro, w którym pracował późno w nocy Shirakawa. Jest do niego bardzo podobne. Może to ten sam pokój? Tylko w tej chwili jest zupełnie pusty. Zabrano wszystkie meble, urządzenia, ozdoby. Zostały jedynie jarzeniówki na suficie. Wszystko wyniesiono, ostatnia osoba zamknęła za sobą drzwi i od tego czasu cały świat zapomniał o istnieniu tego pokoju, a on zatonął na dnie oceanu. Cisza i zapach pleśni, jakie wnikały w ściany, sugerują nam upływ czasu.

Dziewczyna kuca na podłodze, opierając się o ścianę. Opuszcza powieki, czeka, aż miną



zawroty głowy i kołysanie. Wkrótce otwiera oczy i podnosi coś z podłogi. To ołówek. Ma na końcu gumkę i napis: „veritech”. Takiego samego srebrnego ołówka używał Shirakawa. Grafit jest zaokrąglony. Dziewczyna ujmuje ołówek i długo mu się przygląda. Nie przypomina sobie słowa „veritech”. Czy to nazwa jakiejś firmy? Czy może jakiegoś produktu? Nie wie. Lekko kręci głową. Oprócz ołówka, nie dostrzega nic, co mogłoby dostarczyć informacji o tym pokoju.

Nie może zrozumieć, dlaczego zostawiono ją samą w takim miejscu. Nie pamięta go, z niczym jej się nie kojarzy. Kto mógł mnie tu sprowadzić i w jakim celu? Czyżbym umarła? Czyżby to był świat zmarłych? Siada na łóżku i zastanawia się nad tą możliwością. Ale nie wydaje jej się, że umarła. I świat zmarłych nie powinien być taki. Jeżeli po śmierci miałyby się zostawać zamkniętym w pustym pokoju opuszczonego biurowca, nie byłoby żadnego ratunku. Czyżby to był sen? Nie, to nie sen. Jak na sen wszystko jest zbyt logiczne. Szczegóły są zbyt konkretne i jasne. Wszystkiego mogę tu dotknąć. Mocno wbija ołówek we wnętrze dłoni i upewnia się, że czuje ból. Liże gumkę, sprawdzając, czy smakuje jak gumka.

Dochodzi do wniosku, że to rzeczywistość. Innego rodzaju rzeczywistość z jakiejś przyczyny zastąpiła moją zwykłą. Nie ma znaczenia, skąd się wzięła, kto mnie tu sprowadził, w każdym razie jestem tu zupełnie sama, opuszczona i zamknięta w tym dziwnym zakurzonej pokoju bez widoku za oknem i bez wyjścia. Czyżbym zwariowała? I przez to zostałam umieszczona w jakimś szpitalu? Nie, nie mogło tak być. Logicznie biorąc, nikt nie idzie do szpitala z własnym łóżkiem. A przede wszystkim to nie wygląda na szpitalny pokój. Nie wygląda też na więzienie. To po prostu... tak, to duży pusty pokój.

Wraca do łóżka i gładzi kołdrę. Lekko klepie poduszkę. To zwykła kołdra i zwykła poduszka. Nie są symbolami ani pojęciami. Rzeczywista kołdra i rzeczywista poduszka. I nie dają jej żadnej wskazówki. Eri wodzi palcami po twarzy. Przez piżamę przykłada ręce do piersi. Upewnia się, że jest tą samą sobą co zawsze. Piękna twarz, kształtne piersi. Jestem bryłą ciała, jestem kapitałem - myśli bez związku. I nagle to, że jest naprawdę sobą, przestaje jej się wydawać takie pewne.

Zawroty głowy ustały, lecz kołysanie trwa nadal. Ma uczucie, że grunt usuwa jej się spod nóg. Wnętrze ciała traci konieczny ciężar, zmienia się w pustkę. Organy, zmysły, mięśnie, wspomnienia, które się na nie składały, są za czyjąś sprawą jedne po drugich wydzierane. W rezultacie staje się niczym, czuje, że zostaje zredukowana do wygodnego bytu, który przepuszcza tylko przez siebie to, co jest na zewnątrz. Ogarnia ją gwałtowne poczucie

samotności, które sprawia, że cała pokrywa się gęsią skórą. - Nie chcę! Nie chcę się tak zmieniać! - zamiast krzyku z jej gardła wydobywa się jedynie ledwo dosłyszalny głos.

Chciałabym znów zapaść w głęboki sen, błaga w myślach. Jak cudownie byłoby usnąć, a po obudzeniu wrócić do poprzedniej rzeczywistości. W tej chwili jest to jedyny sposób wydostania się z tego pokoju, jaki przychodzi Eri do głowy. Warto chyba spróbować. Ale taki sen łatwo nie przychodzi. A to dlatego, że przecież dopiero się obudziła. I spała bardzo długo i bardzo głęboko. Tak głęboko, że zostawiła gdzieś za sobą poprzednią rzeczywistość.

Obraca w palcach znaleziony na podłodze srebrny ołówek. Ma niejasną nadzieję, że dotykając go przywoła jakieś wspomnienie. Ale czuje pod palcami jedynie bezgraniczne pragnienie serca. Nieświadomie upuszcza ołówek na podłogę. Kładzie się do łóżka. Owija się kołdrą, zamyka powieki.

Nikt nie wie, że tu jestem, myśli. Nikt nie wie, że tu jestem.

My wiemy. Lecz nie mamy prawa do niczego się mieszać.

Patrzymy z góry na nią leżącą w łóżku. Potem, skoro jesteśmy punktem widzenia, zaczynamy się stopniowo cofać. Przebijamy sufit, cofamy się coraz bardziej. Cofamy się nieustannie. Jednocześnie postać Eri Asai robi się stopniowo coraz mniejsza, staje się kropką, wkrótce znika. Ciągłe zwrócenie ku ziemi zwiększamy prędkość i przebijamy stratosferę. Ziemia zmniejsza się, w końcu i ona znika. Punkt widzenia cofa się w nieskończoność w próżni nicości. Nie możemy zapanować nad tym ruchem.

Następnie orientujemy się, że wróciliśmy do pokoju Eri Asai. W łóżku nikogo nie ma. Widać ekran telewizora. Na nim tylko śnieg. Irytujący szum. Przez pewien czas bez powodu wpatrujemy się w tę zawieruchę.

W pokoju szybko się ściemnia. Światło błyskawicznie ginie. Znika też śnieg z ekranu. Nadchodzi całkowity mrok.



Mari i Takahashi siedzą obok siebie na ławce w parku. To mały, wąski i długi skwerek w środku miasta. Jest tu stare osiedle mieszkaniowe, w rogu zbudowano plac zabaw dla dzieci.

Są różne huśtawki i źródło z wodą pitną. Latarnie rtęciowe jasno oświetlają okolicę. Ciemne drzewa wyciągają nad głową gałęzie, są krzewy. Opadłych liści jest tak wiele, że prawie nie widać pod nimi ziemi. Szeleszczą pod stopami. Tuż przed czwartą rano prócz nich dwojga nie ma w tym parku żywego ducha. Na niebie jak wyostrzony sierp wisi biały księżyc późnej jesieni. Mari ma na kolanach białego kociaka i karmi go przyniesionymi w papierowej serwetce kanapkami. Kociak je ze smakiem. Mari lekko głaszcze go po grzbiecie. Cztery inne koty przyglądają się temu z pewnego oddalenia.

- Kiedy pracowałem w Alphaville, często przychodziłem tu w czasie przerwy głaskać koty, przynosiłem im jedzenie - mówi Takahashi. - Wynajmuję teraz mieszkanie i nie mogę chować kota, więc tęsknię za dotykiem kociego futerka.

- A kiedy mieszkałeś u rodziców, miałeś kota? - pyta Mari.

- Nie miałem rodzeństwa, więc kot był zamiast.

- Nie lubisz psów?

- Psy też lubię. Miałem kilka. Ale jakoś wolę koty.

- Ja nigdy nie miałam ani psa, ani kota - mówi Mari. - Siostra jest uczulona na sierść i jak zacznie kichać, nie może przestać.

- Aha.

- Od dzieciństwa jest uczulona na różne rzeczy. Pyłki cedrów, bylicę, makrelę, krewetki, świeżą farbę. I wiele innych rzeczy.

- Na świeżą farbę? - powtarza Takahashi i krzywi się. - Nigdy nie słyszałem o takim uczuleniu.

- No ale ona je ma. Ze wszystkimi objawami.

- Jakimi objawami?

- Wysypka, trudności z oddychaniem. Kiedy pojawia się obrzęk oskrzeli, trzeba jechać do szpitala.

- Za każdym razem jak przechodzi koło czegoś świeżo malowanego?

- Nie zawsze, czasami.

- Nawet czasami to straszna sprawa.

Mari w milczeniu głaszcze kota.

- No a ty? - pyta Takahashi.

- Chodzi ci o uczulenie?

- Uhm.

- Ja nie mam nic takiego - mówi Mari. - Nigdy nie chorowałam... Dlatego u nas siostra jest wrażliwą Królową Śnieżką, a ja krzepką pasterką.

- No bo dwie Śnieżki nie są potrzebne w jednej rodzinie.

Mari kiwa głową.

- Ale zdrowa pasterka to wcale niezła rzecz. Nie musisz się przy każdej okazji przejmować świeżą farbą.

Mari patrzy na Takahashiego. - To nie jest takie proste.

- Oczywiście, że nie jest takie proste - odpowiada Takahashi. - Rozumiem, ale... słuchaj, nie jest ci zimno?

- Nie, nie jest zimno. W porządku.

Mari odrywa kawałek kanapki z tuńczykiem i daje kociakowi. Zwierzątko zajada z apetytem, jakby było bardzo głodne.

Takahashi waha się przez chwilę, czy poruszyć pewien temat. W końcu decyduje się coś powiedzieć. - Prawdę mówiąc, kiedyś, tylko raz, dość długo z twoją siostrą poważnie rozmawiałem.

Mari patrzy na niego. - Kiedy to było?

- Chyba jakoś w kwietniu tego roku. Późnym popołudniem szedłem do Tower Records, bo chciałem tam czegoś poszukać, i przed sklepem wpadłem na Eri Asai. Byłem sam, ona też. Przez chwilę zwyczajnie pogadaliśmy, ale okazało się, że na stojąco nie da się wszystkiego omówić, więc poszliśmy do kawiarni niedaleko. Na początku gadaliśmy o tym i owym, nieszkodliwie. Taka rozmowa jak między kolegami z liceum, którzy się dawno nie widzieli. Kto co robi i gdzie. Ale potem ona zaproponowała, żebyśmy się przenieśli gdzieś, gdzie można się napić alkoholu, i zrobiła się z tego poważna rozmowa o sprawach osobistych. Jakby to powiedzieć? Ona chciała się porządnie wygadać.

- Poważna rozmowa o sprawach osobistych?

- Uhm.

Mari ma minę, jakby nie bardzo rozumiała. - Dlaczego rozmawiała o takich rzeczach właśnie z tobą? Miałam wrażenie, że nie byliście szczególnie zaprzyjaźnieni.

- Oczywiście, że nie byliśmy szczególnie zaprzyjaźnieni. Kiedy dwa lata temu poszliśmy wtedy z tobą na ten basen hotelowy, pierwszy raz naprawdę z nią rozmawiałem. Mam podejrzenia, że nie pamiętała nawet, jak się nazywam.

Mari w milczeniu głaszcze kotka na kolanach.

Takahashi mówi dalej: - Ona pewnie wtedy po prostu chciała z kimś pogadać. Myślę, że normalnie rozmawia się o takich rzeczach z bliskimi przyjaciółkami. Ale może twoja siostra nie ma przyjaciółek, którym mogłaby zaufać. Dlatego zastępczo wybrała mnie na powiernika. Trafiłem się przypadkiem. Było jej wszystko jedno, z kim rozmawia.

- Ale dlaczego wybrała ciebie? O ile wiem, nigdy nie brakowało jej kolegów.

- Na pewno jej nie brakowało.

- A mimo to zwierzyła się z osobistych spraw człowiekowi przypadkowo spotkanemu na ulicy, komuś, z kim nie była szczególnie zaprzyjaźniona. Ciekawe dlaczego.

- No tak... - zastanawia się Takahashi. - Może wydawałem się nieszkodliwy?

- Nieszkodliwy?

- Chodzi mi o to, że mogła mi raz zaufać, wydawałem się niegroźny.

- Nie bardzo rozumiem.

- To znaczy... - Takahashi mówi z trudem, trochę się jąka. - To dziwna sprawa, ale czasem ludzie biorą mnie za geja. Obcy zaczepiają mnie na ulicy, zapraszają.

- Ale naprawdę nie jesteś gejem?

- Myślę, że prawdopodobnie nie... Tak czy inaczej, od dawna ludzie mi się zwierniają. Ludzie, z którymi nie jestem szczególnie zaprzyjaźniony, bywa, że prawie ich nie znam, mężczyźni i kobiety zwierniają mi się z nieprawdopodobnych, najgłębszych sekretów. Ciekawe dlaczego. Wcale nie mam ochoty tego słuchać.

Mari przetrawia w myślach, co usłyszała. - No w każdym razie Eri zaczęła ci się zwierzać.

- Uhm. Zwierzać, czy raczej mówić o sprawach osobistych.

- Na przykład o jakich? - pyta Mari.

- Na przykład... na przykład na temat swojej rodziny.

- Na temat swojej rodziny?

- Na przykład - mówi Takahashi.

- O mnie też mówiła?

- Uhm, tak.

- Co mówiła?

Takahashi zastanawia się chwilę, jak o tym opowiedzieć. - Na przykład... że chciałaby być z tobą bardziej zżyta.

- Ze mną bardziej zżyta?

- Czują, że świadomie zachowujesz do niej dystans. Od pewnego momentu zaczęłaś to robić.

Mari lekko otula dłonią kotka. W jej wnętrzu czuje jego drobne ciepłe ciało.

- Ale przecież można być zżytym, nawet jeżeli jest między ludźmi odpowiedni dystans? - mówi Mari.

- Oczywiście. Oczywiście, że to możliwe. Jednak może się tak zdarzyć, że to, co dla jednej osoby stanowi odpowiedni dystans, dla innej jest trochę za dużą rezerwą.

Nie wiadomo skąd pojawia się duży brązowy kot i ociera głowę o nogi Takahashiego. Chłopak pochyła się, by go pogłaskać. Potem wyjmując z kieszeni kotlety rybne, rozrywa foliowe opakowanie i daje kotu połowę jednego. Zwierzątko zjada ze smakiem.

- I to był ten osobisty problem Eri? - pyta Mari. - Że nie może się zbliżyć do młodszej siostry?

- To był jeden z jej osobistych problemów. Miała też inne.

Mari milczy.

Takahashi ciągnie dalej: - Podczas rozmowy ze mną Eri łykała tabletki, jak popadło. Torebkę od Prady miała nimi wypełnioną. Brała jedną po drugiej, jakby jadła orzeszki, i popijała Krwawą Mary. Oczywiście myślę, że to były legalne specyfiki, ale i tak te ilości nie wydawały się normalne.

- Ona jest lekomanką. Od zawsze, a ostatnio bardzo jej się pogorszyło.

- Ktoś ją powinien powstrzymać.

Mari kręci głową. - Lekarstwa, wróżby i dieta... od żadnej z tych rzeczy nie da się jej powstrzymać.

- Staralem się zasugerować, że powinna się poradzić specjalisty. Psychologa albo psychiatry. Ale ona chyba wcale nie miała takiego zamiaru. Czy raczej w ogóle nie zdaje sobie sprawy, że coś w niej nie gra. Dlatego, jakby to powiedzieć, ja też się dosyć przejąłem. Co się stało Eri Asai?

Mari krzywi się. - Mógłbyś zadzwonić i sam ją o to zapytać. Jeżeli naprawdę się o nią martwisz.

Takahashi lekko wzdycha. - Teraz wracamy do naszej pierwszej rozmowy dziś wieczorem. Gdybym zadzwonił i odebrała by Eri Asai, nie bardzo bym wiedział, co właściwie mam powiedzieć.

- No ale przecież wtedy długo rozmawialiście szczerze, przy drinkach? O poważnych, osobistych sprawach.

- Uhm. To prawda, ale chociaż powiedziałem, że rozmawialiśmy, tak naprawdę ja się prawie nie odzywałem, prawie cały czas mówiła ona, ja tylko przytakiwałem. A poza tym prawdę powiedziawszy, mam wrażenie, że niewiele mógłbym dla niej w rzeczywistości zrobić. To znaczy... przynajmniej tak długo, jak nie jestem z nią głębiej, bardziej osobiście związany.

- A nie masz ochoty aż tak się angażować?

- To znaczy... myślę, że nie potrafiłbym - mówi Takahashi. Wyciąga rękę i drapie kota za uchem. - Można powiedzieć, że nie mam do tego kwalifikacji.

- Mówiąc bardziej zrozumiale, chodzi ci o to, że nie jesteś nią na tyle głęboko zainteresowany.

- No skoro o tym mowa, to Eri Asai przecież też nie jest mną głęboko zainteresowana. Tak jak wspominałem, po prostu chciała z kimś pogadać. Z jej punktu widzenia nie różniłem się od ściany, trochę przypominającej człowieka, przytakującej w odpowiednich momentach.

- Mniejsza o to. Jesteś głęboko zainteresowany Eri czy nie? Gdybyś musiał odpowiedzieć *yes* albo *no*.

Takahashi pociera lekko obie dłonie, jakby zakłopotany. Delikatne pytanie. Trudno mu na

nie odpowiedzieć.

- *Yes*. Myślę, że jestem zainteresowany Eri Asai. Ma w sobie jakiś naturalny blask. Urodziła się z takim szczególnym darem. Na przykład kiedy piliśmy i rozmawialiśmy tak poufale, wszyscy się na nas gapili. Co taka piękna dziewczyna robi z takim nijakim facetem.

- Ale...

- Ale?

- Zastanów się - mówi Mari. - Ja zapytałam, czy jesteś głęboko zainteresowany Eri. Ty na to odpowiedziałeś, że „myślisz, że jesteś zainteresowany”. Brakowało tam słowa „głęboko”. Mam wrażenie, że nie wszystko mi mówisz.

Takahashi jest pełen podziwu. - Jesteś bardzo spostrzegawcza.

Mari bez słowa czeka, co powie dalej.

Takahashi waha się trochę, jak odpowiedzieć. - Ale... no tak, kiedy tak siedziałem naprzeciw twojej siostry i długo rozmawialiśmy, zacząłem doznawać przedziwnego uczucia. Najpierw nie zwróciłem uwagi na to, jakie było przedziwne. Ale wraz z upływem czasu zacząłem to wyraźnie odczuwać. Jak by to powiedzieć? Miałem wrażenie, że jestem poza tą sytuacją. Eri Asai siedzi przede mną, a jednocześnie jest oddalona o wiele kilometrów.

Mari dalej się nie odzywa. Lekko przygryzając wargi, czeka na dalszy ciąg. Takahashi powoli szuka odpowiednich słów.

- Innymi słowy, nic z tego, co mówiłem, nie docierało do jej świadomości. Przegradzała nas przezroczysta gąbczasta warstwa, która wysysała większość składników odżywczych z wypowiedzianych przeze mnie słów. Więc tak naprawdę ona mnie nie słuchała. Podczas rozmowy to zrozumiałem. A wtedy jej słowa przestały do mnie wyraźnie docierać. To było bardzo dziwne uczucie.

Kiedy kotek orientuje się, że nie ma już kanapki z tuńczykiem, wrywa się z rąk Mari i zeskakuje z jej kolan na ziemię. Potem biegnie, nieomal wskakuje w zarośla i znika. Mari zwiija serwetkę, w którą zawinięte były kanapki, i chowa do torby. Strząsa z rąk okruszki.

Takahashi patrzy na Mari. - Rozumiesz, o czym mówię?

- Czy rozumiem... - powtarza Mari. - To wrażenie, które opisujesz, jest być może bliskie temu, co od dawna czuję w stosunkach z Eri. Przynajmniej od kilku lat.

- Że słowa nie całkiem do niej docierają?



- Uhm.

Takahashi rzuca resztę kotleta rybnego innemu kotu, który podszedł bliżej. Zwierzątko ostrożnie obwąchuje, a potem łapczywie pochłania jedzenie.

- Słuchaj, mam jedno pytanie, odpowiesz mi szczerze? - pyta Mari.

- Dobra.

- Czy ta dziewczyna, z którą poszedłeś do Alphaville, to przypadkiem nie była Eri?

Takahashi zdziwiony podnosi głowę i patrzy na Mari. Jakby przyglądał się kręgom rozchodzącym się na powierzchni stawu.

- Dlaczego tak myślisz? - pyta.

- Jakoś tak. Tak mi mówi intuicja. Mylę się?

- Nie, to nie była Eri Asai. To inna dziewczyna.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Mari zamyśla się na chwilę.

- Mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie?

- Oczywiście.

- Załóżmy, że poszedłeś do tego hotelu z moją siostrą i przespałeś się z nią. Teoretycznie.

- Teoretycznie.

- Teoretycznie. I co by było, gdybym ja potem zapytała: „Czy poszedłeś do tego hotelu z moją siostrą i przespałeś się z nią?”. Teoretycznie.

- Teoretycznie.

- Myślisz, że szczerze byś odpowiedział: *Yes*?

Takahashi zastanawia się nad tym przez chwilę.

- Myślę, że nie - odpowiada. - Pewnie powiedziałbym: *No*.

- Dlaczego?

- Bo to by dotyczyło prywatnych spraw twojej siostry.

- Obowiązywałaby cię tajemnica?

- W pewnym sensie.

- To czy odpowiedź w rodzaju; „Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie” nie byłaby właściwa? Gdyby obowiązywała cię tajemnica.

- Ale gdybym powiedział, że „Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie”, z kontekstu wynikałoby, że odpowiedź de facto brzmi: *Yes*. Prawda? Byłby to tak zwany zamiar ewentualny, *dolus eventualis*.

- Więc tak czy inaczej odpowiedź brzmiałaby: *No*?

- Teoretycznie tak.

Mari zagląda mu w oczy. - Słuchaj, mnie jest obojętne, czy byłeś z Eri, czy nie. Nawet jeżeli z nią spałeś. Pod warunkiem, że ona tego chciała.

- Myślę, że Eri Asai sama nie bardzo się orientuje, czego chce. Ale dajmy już ternu spokój. I teoretycznie, i w rzeczywistości byłem w Alphaville z inną dziewczyną, nie z Eri Asai.

Mari lekko wzdycha. Przez chwilę się nie odzywa.

- Żałuję, że nie jesteśmy sobie z Eri bliższe - mówi. - Myślałam tak często, kiedy miałam dwanaście, trzynaście lat. Chciałam, żeby siostra była moją najlepszą przyjaciółką. Oczywiście byłam w nią zapatrzona. Ale ona stała się wtedy nieprawdopodobnie zajęta. Pozowała wtedy do zdjęć w czasopismach dla dziewcząt, brała wiele różnych lekcji, wszyscy się nad nią rozpylali. Dla mnie nie było już miejsca. Innymi słowy, kiedy ja tego chciałam, Eri nie miała możliwości zaspokojenia mojego pragnienia.

Takahashi w milczeniu słucha opowiadania Mari.

- Jako siostry wychowałyśmy się pod tym samym dachem, ale w zupełnie różnych światach. Weźmy choćby jedzenie: nie jadłyśmy tego samego. No bo ona cierpi na te różne uczulenia, więc miała zupełnie inny jadłospis niż reszta rodziny.

Chwila przerwy.

Mari mówi dalej: - Ja jej nie krytykuję. Myślałam, że mama za bardzo ją rozpieszcza, ale teraz jest mi to obojętne. Próbuję tylko powiedzieć, że od dawna się różnimy, że takie były okoliczności naszego dorastania. I kiedy teraz mówisz mi, że ona chciała być ze mną bardziej zżyta, szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co zrobić. Rozumiesz, co czuję?

- Myślę, że rozumiem.

Mari nic nie mówi.

- Kiedy rozmawiałem z Eri Asai, nagle sobie pomyślałem - odzywa się Takahashi - że ona chyba ma kompleksy w stosunku do ciebie. Prawdopodobnie od dość dawna.

- Kompleksy? - powtarza Mari. - Eri w stosunku do mnie?

- Uhm.

- Nie na odwrót?

- Nie na odwrót.

- Dlaczego tak myślisz?

- Dlatego, że ty, jej młodsza siostra, zawsze miałaś jasny obraz tego, do czego dążysz. Kiedy było trzeba, umiałaś wyraźnie powiedzieć nie. Stale posuwałaś się naprzód w swoim własnym tempie. Ale Eri Asai tego nie potrafiła. Od wczesnego dzieciństwa jej zadaniem było wykonanie powierzonej roli, zadowalanie otoczenia. Posłużę się twoim wyrażeniem: starała się zostać wspaniałą Królową Śnieżką. Na pewno wszyscy się nad nią rozplýwali, ale myślę, że z czasem to się stało męczące. W najważniejszym okresie życia nie udało jej się stworzyć własnej osobowości. Jeżeli kompleks jest za mocnym słowem, to myślę, że może po prostu ci zazdrościła.

- Eri ci to powiedziała?

- Nie. Rozważyłem różne rzeczy, o których wspomniała między wierszami, i teraz tak to sobie wydedukowałem. Sądzę, że nie jestem daleki od prawdy.

- Myślę, że jest w tym trochę przesady - mówi Mari. - Rzeczywiście może w porównaniu z Eri prowadziłam dość niezależne życie. Wiem o tym. Ale prawdziwa, będąca rezultatem tego życia, jestem nieważna, prawie bezsilna. Brak mi wiedzy, nie jestem zbyt mądra. Nie jestem piękna, nikomu na mnie specjalnie nie zależy. Skoro o tym mowa, to mnie też się wcale nie udało stworzyć własnej osobowości. W swoim ograniczonym świecie ciągle niepewnie trzymam się na nogach. Czego Eri mi może zazdrościć?

- Bo dla ciebie to jest jeszcze okres przygotowań. Nie tak łatwo na razie wyciągnąć wnioski. Komuś twojego rodzaju pewnie zajmie to trochę czasu.

- Tamta dziewczyna też miała dziewiętnaście lat - mówi Mari.

- Tamta dziewczyna?

- Ta chińska dziewczyna w hotelu Alphaville, naga, pokrwawiona. Obcy facet pobił ją i

zdarł z niej ubranie. To była ładna dziewczyna. Ale w świecie, w którym żyje, nie ma żadnego okresu przygotowań. Nikt się nie zastanawia, czy należy do tych, którym zajmuje to trochę czasu. Prawda?

Takahashi w milczeniu przyznaje jej rację.

Mari ciągnie dalej: - Jak tylko ją zobaczyłam, pomyślałam, że chciałabym się z nią zaprzyjaźnić. Bardzo wyraźnie to poczułam. Gdybyśmy się spotkały w innym miejscu, w innym czasie, myślę, że na pewno byśmy się zaprzyjaźniły. Zwykle nie odczuwam tego w stosunku do ludzi. A raczej nie zwykle, tylko nigdy.

- Uhm.

- Ale choć tak myślę, nasze światy za bardzo się od siebie różnią. Nic na to nie mogę poradzić. Choćbym nie wiem jak się starała.

- Pewnie nie możesz.

- I chociaż widziałyśmy się tak krótko i prawie nie rozmawiałyśmy, mam teraz niejasne wrażenie, że ona we mnie zamieszkała. Jakby stała się częścią mnie. Nie bardzo potrafię to wyrazić.

- Czujesz jej ból.

- Może i tak.

Takahashi duma nad czymś głęboko. Potem mówi: - Pomyślałem sobie, że może powinnaś tak na to spojrzeć: twoja siostra jest w jakimś innym miejscu podobnym do Alphaville, nie wiem gdzie, i ktoś stosuje w stosunku do niej bezsensowną przemoc. Ona wydaje bezgłośny jęk i krwawi niewidzialną krwią.

- W przenośni?

- Prawdopodobnie - odpowiada Takahashi.

- Rozmawiając z nią, odniosłeś takie wrażenie?

- Ona ma różne problemy, nie wie, jak iść naprzód, i szuka pomocy. I wyraża to, zadając sobie ból. To nie było tylko wrażenie, a coś wyraźniejszego.

Mari podnosi się z ławki i spogląda na nocne niebo. Podchodzi do huśtawki, siada. Szelest liści deptanych żółtymi adidasami brzmi sucho, przesadnie głośno. Mari dotyka przez chwilę grubej liny huśtawki, jakby sprawdzała jej wytrzymałość. Takahashi też wstaje z ławki, idzie po suchych liściach i siada obok Mari.

- Eri teraz śpi - mówi Mari, jakby wyjawiała jakiś sekret. - Bardzo głęboko.
- O tej porze już wszyscy śpią.
- Nie o to chodzi - mówi Mari. - Ona się wogóle nie budzi.

12



Firma Shirakawy.

Shirakawa rozebrany do pasa leży na podłodze na macie do jogi i ćwiczy mięśnie brzucha. Koszula i krawat wiszą na oparciu krzesła, okulary i zegarek leżą równo obok siebie na biurku. Jest szczupły, lecz tors ma potężny, ani grama niepotrzebnego tłuszczu. Widać twarde wyrobione mięśnie. Rozebrany sprawia zupełnie inne wrażenie niż w ubraniu. Oddycha głęboko, lecz szybko, energicznie unosi tułów i skręca go to w lewo, to w prawo. Tors i ramiona lśnią drobnymi kroplami potu w odbijającym się w nich świetle jarzeniówek. Z przenośnego odtwarzacza płyt kompaktowych na biurku dobiega kantata Scarlattiego w wykonaniu Briana Asawy. Nieśpieszne tempo utworu zdaje się kłócić z gwałtownymi ćwiczeniami, lecz Shirakawa dopasowując się do rytmu muzyki, precyzyjnie kontroluje ruchy ciała. Zdaje się, że ma zwyczaj codziennie po skończeniu nocnej pracy i przed powrotem do domu wykonywać samotnie zestaw ćwiczeń na podłodze biura, słuchając muzyki klasycznej. Jego ruchy są systematyczne i pewne.

Kiedy kończy ustaloną liczbę skłonów i ćwiczeń rozciągających, zwija matę i wkłada do szafki. Bierze z półki niewielki biały ręcznik oraz plastikową kosmetyczkę, idzie do łazienki. Nadal rozebrany do pasa myje twarz, wyciera ją ręcznikiem, wyciera pot z ciała. Wszystkie ruchy są przemyślane. Drzwi do łazienki zostawił otwarte, więc słyszy arię Scarlattiego. Chwilami nuci do wtóru siedemnastowiecznej muzyce. Wyjmuje z kosmetyczki niewielki dezodorant i lekko spryskuje się pod pachami. Zbliża do nich nos, upewniając się, że nie czuć nieprzyjemnego zapachu. Potem kilka razy wyprostowuje i zaciska palce prawej dłoni, wykonuje na próbę kilka ruchów. Bada opuchliznę we wnętrzu dłoni. Nie rzuca się w oczy, lecz ból nadal dokucza mu z tym samym natężeniem.

Wyjmuje z kosmetyczki niewielką szczotkę i doprowadza włosy do porządku. Ich linia nieco się cofnęła, ale czoło ma niezły kształt, nie odnosi się wrażenia, że czegoś tam ubyło. Wkłada okulary. Zapina guziki koszuli, wiąże krawat. Do jasnoszarej koszuli granatowy

krawat w tureckie wzory. W lustrze prostuje kołnierzyk, poprawia wgłębienie pod węzłem krawata.

Bada własną twarz odbitą w lustrze łazienki - nie drga na niej żaden mięsień. Shirakawa długo przygląda się sobie surowym wzrokiem. Dłonie oparł o umywalkę. Wstrzymuje oddech, nawet nie mrugnie. W głębi serca ma nadzieję, że jeśli zrobi, co należy, być może pojawi się coś innego, toteż usiłuje zobiektywizować wszystkie zmysły, spłyścić świadomość, zamrozić logikę i choć na trochę wstrzymać bieg czasu. W miarę możliwości wtopić swój własny byt w tło. Sprawić, by wszystko wyglądało jak neutralna martwa natura.

Ale choć bardzo się stara udawać, że go nie ma, coś innego się nie pojawia. Postać Shirakawy w lustrze jest tylko tą samą rzeczywistą postacią. Jedynie wiernym odbiciem. Rezygnuje, bierze głęboki oddech, wypełnia płuca świeżym powietrzem, prostuje się. Rozluźnia mięśnie, kilka razy mocno kręci szyją. Potem zbiera do kosmetyczki wyjęte z niej rzeczy. Zwija ręcznik, którym się wytarł i wyrzuca do śmieci. Wychodząc, gasi światło. Zamykają się drzwi.

Po wyjściu Shirakawy my jako punkt widzenia zostajemy w łazience i nieruchoma kamera fotografuje ciemne lustro. Ciągłe odbija się w nim postać mężczyzny. Shirakawa - a może należałoby powiedzieć jego odbicie - patrzy na nas. Nie zmienia wyrazu twarzy, nie porusza się. Tylko nieruchomo patrzy się w tę stronę. Wkrótce jakby rezygnuje, rozluźnia mięśnie, bierze głęboki oddech i kręci głową. Potem podnosi ręce do twarzy, kilka razy gładzi się po policzkach, chyba sprawdzając, czy poczuje pod palcami skórę.

Shirakawa siedząc przy biurku, obraca w palcach srebrny ołówek z nadrukiem, jakby się nad czymś zastanawiał. Taki sam ołówek leżał na podłodze pokoju, w którym obudziła się Eri Asai. Jest na nim napis „veritech”. Grafit jest zaokrąglony. Shirakawa bawi się nim przez chwilę, a potem odkłada obok tacki. Leży na niej w rzędzie sześć identycznych ołówków. Są ostre jak igły, nie mogłyby być bardziej zatemperowane.

Shirakawa zaczyna przygotowania do wyjścia. Chowa do brązowej skórzanej teczki dokumenty, które zabierze do domu, wkłada marynarkę. Wsadza kosmetyczkę do szafki, podnosi z podłogi dużą torbę na zakupy, którą wcześniej tam postawił, i niesie ją na biurko. Siada na krześle, po kolei wyjmując z torby jakieś rzeczy i poddaje je oględzinom. To ubranie zdarte z chińskiej prostytutki w Alphaville.

Cienki kremowy płaszcz, czerwone buty na niskim obcasie. Podeszwy są nierównomiernie znoszone. Ciemnoróżowy sweter z okrągłym wycięciem obszyty

koralikami, biała haftowana bluzka, niebieska dopasowana minispódniczka. Czarne rajstopy. Bielizna w jaskraworóżowym kolorze. Ozdobiona tanią, niewątpliwie syntetyczną koronką. Wrażenie, jakie robi ten strój, nie ma nic wspólnego z seksem, jest raczej z rodzaju smutnych. Na bluzce i bieliźnie ciemne plamy krwi. Tani zegarek. Czarna torebka ze sztucznej skóry.

Oglądając te rzeczy, jedną po drugiej, Shirakawa ma przez cały czas minę, jakby się zastanawiał: „Skąd to się tutaj wzięło?”. Jego twarz wyraża zdziwienie z niewielką domieszką niezadowolenia. Oczywiście doskonale pamięta, co zrobił w pokoju w Alphaville. Nawet gdyby chciał zapomnieć, nie pozwoliłby mu na to ból prawej dłoni. A mimo to te wszystkie rzeczy wydają mu się prawie pozbawione właściwego znaczenia. Bezwartościowe śmieci, przedmioty, które nie mają prawa ingerować w jego życie. Lecz staranny, obojętny przegląd trwa. Shirakawa dalej odkopuje żalosne ślady niedalekiej przeszłości.

Odpina klamerkę torebki, wysypuje całą zawartość na biurko. Chusteczka do nosa, chusteczki jednorazowe, puderniczka, szminka, ołówek do oczu, kilka innych drobnych kosmetyków. Cukierki na kaszel. Małe opakowanie wazeliny, torebka kondomów. Dwa tampony. Niewielki pojemnik gazu łzawiącego do odstraszania zboczeńców (na szczęście nie miała czasu wyjąć tego z torebki i użyć przeciwko Shirakawie). Tanie kolczyki. Plaster. Pudełko na lekarstwa z kilkoma tabletkami. Brązowa skórzana portmonetka. W środku trzy banknoty po dziesięć tysięcy jenów, które dał jej na początku, kilka banknotów tysiącjenowych i trochę drobnych. Poza tym karta telefoniczna i karta do metra. Kupony zniżkowe do salonu fryzjerskiego. Nic, co pozwalałoby ustalić jej tożsamość. Po krótkim wahaniu Shirakawa wyjmuje z portmonetki pieniądze i wkłada do kieszeni spodni. W końcu od niego je dostała. Tylko je odbiera.

W torebce jest też niewielki składany telefon komórkowy. Na kartę. Nie można dotrzeć do właściciela. Nastawiony jest na pocztę głosową. Shirakawa włącza telefon i wciska odtwarzanie. Jest kilka wiadomości, ale wszystkie po chińsku. Ten sam męski głos. Mówi szybko, brzmi, jakby mężczyzna ją za coś rugał. Wiadomości są krótkie. Oczywiście Shirakawa nie może ich zrozumieć, ale na wszelki wypadek odsłuchuje każdą, następnie wyłącza pocztę głosową.

Przynosi skądś papierową torbę na śmieci, wrzuca do niej wszystko, prócz komórki, upycha mocno, szczelnie zawiązuje. Potem wkłada do plastikowej torby na śmieci, wypuszcza z niej powietrze i też szczelnie zawiązuje. Tylko komórka zostaje oddzielona od reszty i odłożona na biurko. Shirakawa podnosi ją, przygląda się chwilę i znów odkłada.

Wygląda na to, że zastanawia się, jak się jej pozbyć. Może można ją jakoś wykorzystać. Ale na razie nie podejmuje żadnej decyzji.

Shirakawa wyłącza odtwarzacz płyt, wkłada do najniższej szuflady biurka, zamyka ją na klucz. Starannie przeciera chusteczką okulary, podnosi słuchawkę telefonu na biurku i zamawia taksówkę. Podaje nazwę firmy oraz swoje nazwisko i prosi, żeby taksówka podjechała za dziesięć minut pod wyjście służbowe. Zdejmuje z wieszaka jasnoszary prochowiec, wkłada go, wsuwa do kieszeni leżącą na biurku komórkę kobiety. Zabiera skórzaną teczkę i worek na śmieci. Stojąc w drzwiach, rozgląda się po pokoju. Upewnia się, że wszystko w porządku, wyłącza światło. Choć gasną wszystkie jarzeniówki na suficie, w pokoju nie zapada zupełna ciemność. Przez szpary w żaluzjach wpada światło latarni ulicznych oraz neonów i nieco rozjaśnia pokój. Shirakawa zamyka drzwi biura, wychodzi. Idąc korytarzem, mocno postukuje obcasami i przeciągle ziewa. Jakby mówiąc, że wreszcie skończył się kolejny dzień, który nic nowego nie przyniósł.

Zjeżdża na dół windą. Otwiera drzwi służbowe, wychodzi i zamyka na klucz. Chmurki oddechu są zupełnie białe. Czeka, po chwili podjeżdża taksówka. Kierowca w średnim wieku otwiera okno i pyta o nazwisko. Potem rzuca spojrzenie na worek śmieci w ręce Shirakawy.

- W tym nie ma żadnych odpadków, więc nie cuchnie - mówi Shirakawa. - A poza tym zaraz niedaleko to wyrzucę.

- Dobrze. Proszę - mówi kierowca. Otwiera automatyczne drzwi.

Shirakawa wsiada do taksówki.

Kierowca spogląda w lusterko wsteczne i zagaduje go:

- Przepraszam pana, ale zdaje mi się, że już kiedyś pana wiozłem. Przyjechałem tu mniej więcej o tej samej porze. Zaraz, mieszka pan, zdaje się, w Ekoda?

- W Tetsugakudó - odpowiada Shirakawa.

- Słusznie, w Tetsugakudó. Dzisiaj też tam pan jedzie?

- Jadę. Czy mi się to podoba czy nie, tylko tam mogę wrócić.

- To wygodnie wracać zawsze w to samo miejsce - mówi kierowca. Rusza. - Ale ciężko musi być pracować aż do takiej późnej pory.

- Mamy recesję, więc pensja nie rośnie, tylko nadgodzin przybywa.

- U mnie jest to samo. Muszę wyrównywać niższe zarobki, pracując dłużej. Ale pan ma



jeszcze nie najgorzej, bo firma płaci panu za taksówkę po pracy w nadgodzinach. Poważnie mówię.

- Przecież jak mi każą pracować do takiej pory, muszą dać na taksówkę, bo nie miałbym jak wrócić do domu - mówi Shirakawa, uśmiechając się krzywo.

Potem nagle sobie coś przypomina: - Zaraz, chwileczkę. Prawie zapomniałem. Czy mógłby pan skrócić na następnym skrzyżowaniu w prawo i zatrzymać się przed sklepem Seven Eleven? Żona mnie prosiła, żebym coś kupił. Zajmie mi to tylko chwilę.

Kierowca zwraca się do wstecznego lusterka: - Proszę pana, jak tam skręcę w prawo, znajdę się na jednokierunkowej i będę musiał robić mały objazd. Po drodze jest kilka innych sklepów nocnych, nie może być inny?

- To, o co żona prosiła, sprzedają chyba tylko tam. I chcę też szybko się pozbyć tych śmieci.

- Dobrze. Mnie to nie przeszkadza. Tylko może trochę nabić licznik, dlatego zapytałem.

Kierowca skręca w prawo na skrzyżowaniu, jedzie kawałek prosto, zatrzymuje się w odpowiednim miejscu, otwiera drzwi. Shirakawa zostawia torbę na siedzeniu i wysiada z workiem na śmieci. Przed sklepem Seven Eleven leży stos worków. Shirakawa kładzie na wierzchu swój. Wmieszany między inne identyczne plastikowe worki w jednej chwili przestaje się wyróżniać. Rano pewnie przyjedzie śmieciarka i wszystkie zabierze. W środku nie ma żadnych odpadków, więc wrony nie powinny tego rozerwać. Shirakawa rzuca ostatnie spojrzenie na górę worków ze śmieciami i wchodzi do sklepu.

Wewnątrz nie widać klientów. Młody mężczyzna przy kasie pochłonięty jest rozmową przez komórkę. Słychać nowy utwór Southern All Stars. Shirakawa podchodzi prosto do lodówki z mlekiem i bierze niskotłuszczowe firmy Takanashi. Sprawdza datę ważności. W porządku. Przy okazji kupuje jogurt w dużym plastikowym pojemniku. Nagle przychodzi mu coś do głowy i wyjmując z kieszeni komórkę Chinki. Rozgląda się dookoła, upewnia się, że nikt na niego nie patrzy, i kładzie ją obok opakowań z serem. Mały srebrny telefon zadziwiająco naturalnie dopasowuje się do tego miejsca. Zupełnie jakby od dawna tam leżał. Oddala się od ręki Shirakawy i staje się częścią sklepu Seven Eleven.

Shirakawa płaci w kasie i szybkim krokiem wraca do taksówki.

- Dostał pan? - pyta kierowca.

- Dostałem - odpowiada Shirakawa.

- No to teraz jedziemy prosto do Tetsugakudó.

- Możliwe, że się zdrzemnę. Niech mnie pan obudzi, jak będziemy dojeżdżać - prosi Shirakawa. - Tam przy głównej ulicy będzie stacja beznynowa Showa Shell, to kawałek za nią.

- Dobrze. Proszę bardzo. Dobranoc.

Shirakawa stawia reklamówkę z mlekiem oraz jogurtem obok teczki, siada z założonymi rękami i zamyka oczy. Sen pewnie nie nadejdzie. Ale nie ma ochoty przez całą drogę do domu gawędzić z kierowcą. Z zamkniętymi oczami próbuje myśleć o czymś niedenerwującym. O codziennych sprawach, niemających większego znaczenia. Albo po prostu czysto abstrakcyjnych. Ale nic mu nie przychodzi do głowy. W pustce czuje tylko tępy ból prawej dłoni. Pulsuje w rytmie uderzeń serca, odbija się w uszach echem jak szum morza. To przedziwne, myśli Shirakawa. Przecież do morza jest stąd bardzo daleko.

Taksówka Shirakawy wkrótce zatrzymuje się na czerwonym świetle. To duże skrzyżowanie i długie światło. Obok taksówki czeka na zmianę światła Chińczyk na czarnym motocyklu Honda. Dzieli ich zaledwie metr. Lecz mężczyzna na motocyklu patrzy prosto przed siebie, nie zauważa Shirakawy, który zapadł głęboko w fotelu i siedzi z zamkniętymi oczami. Chce usłyszeć szum dalekiego morza. Światło zmienia się na zielone, motocykl rusza od razu, jedzie prosto. Taksówka jedzie powoli, by nie obudzić Shirakawy, skręca w lewo i oddala się od tej dzielnicy.

13



Mari i Takahashi siedzą obok siebie w środku nocy na huśtawkach w parku. Takahashi patrzy na profil Mari. Jest skonsternowany. Dalszy ciąg wcześniejszej rozmowy.

- Nie budzi się?

Mari milczy.

- Jak to? - pyta on.

Mari patrzy niezdecydowana na ziemię. Jeszcze nie jest gotowa o tym mówić.

- Słuchaj... nie przeszlubyśmy się trochę? - pyta.

- Dobra. Przejdźmy się. Dobrze jest pospacerować. Chodź powoli i pij dużo wody.

- Co to jest?

- Moje życiowe motto. Chodź powoli i pij dużo wody.

Mari patrzy na niego. Szczególne motto. Ale nie mówi, co o tym sądzi, nie zadaje pytań. Wstaje z huśtawki, rusza, a Takahashi za nią. Wychodzą z parku i kierują się w stronę jasnych świateł dzielnicy.

- Idziesz z powrotem do Skylarka? - pyta Takahashi.

Mari potrząsa głową. - Zmęczyło mnie już czytanie książek w czynnych całą dobę restauracjach.

- Chyba wiem, o co ci chodzi.

- Chciałabym pójść jeszcze raz do Alphaville.

- Odprowadzę cię. To niedaleko miejsca, gdzie robimy próby zespołu.

- Pani Kaoru powiedziała, że mogę zawsze przyjść, ale myślisz, że to nie sprawi jej kłopotu? - pyta Mari.

Takahashi potrząsa głową. - Wyraża się mało elegancko, ale jest szczerą. Jeżeli mówi, że możesz zawsze przyjść, to znaczy, że zawsze możesz. Więc weź to za dobrą monetę.

- Uhm.

- A poza tym o tej porze tam i tak zupełnie nie ma nic do roboty. Myślę, że ucieszy się, jak wpadniesz.

- A ty masz dalej próbę zespołu?

Takahashi patrzy na zegarek. - To pewnie moja ostatnia całonocna próba, więc chcę jeszcze raz dać z siebie wszystko.

Docierają do centrum dzielnicy. Jednak o tej porze nawet tutaj prawie nikogo nie ma. Czwarta nad ranem to czas, kiedy w miastach jest najciszej. Na ulicy poniewierają się śmieci: aluminiowe puszki po piwie, podeptane popołudniowe wydania gazety, pogięte pudła kartonowe, plastikowe butelki, niedopałki. Odłamki tylnych świateł samochodowych. Biała bawełniana rękawiczka. Jakiś zniżkowy kupon. Wymiociny. Duży brudny kocur gorączkowo obwąchuje worek ze śmieciami. Chce zapewnić udział kotom, zanim rozdrapią to myszy, zanim o świcie przylecą groźne wrony polować na jedzenie. Zgasła już ponad połowa

neonów. W ciemności rzucają się w oczy światła nocnych sklepów. Za wycieraczkami zaparkowanych samochodów tkwią byle jak wepchnięte pliki reklamowych ulotek. Od strony pobliskiej drogi przelotowej dobiega nieprzerwany odgłos przejeżdżających wielkich ciężarówek. Teraz, kiedy drogi są puste, kierowcy mogą zrobić najdłuższe trasy. Mari nasunęła na czoło czapkę baseballową drużyny Red Sox. Ręce wepchnęła głęboko do kieszeni kurtki. Kiedy oboje idą obok siebie, rzuca się w oczy duża różnica wzrostu.

- Dlaczego nosisz czapkę Red Sox? - pyta Takahashi.

- Bo ktoś mi ją dał - odpowiada Mari.

- Nie kibicujesz szczególnie tej drużynie?

- Nic nie wiem o baseballu.

- Mnie też baseball nie bardzo interesuje. Jestem raczej kibicem piłki nożnej - mówi Takahashi. - No, a co do twojej siostry, tego, o czym przedtem mówiliśmy...

- Uhm.

- Nie bardzo rozumiem. To znaczy, chodzi ci o to, że Eri Asai wcale się nie budzi? - pyta Takahashi.

Mari zadziera głowę, żeby na niego spojrzeć i mówi: - Przepraszam cię, ale nie chcę o tym rozmawiać, tak idąc. To dość delikatna sprawa.

- Rozumiem.

- Porozmawiajmy o czymś innym.

- O czym?

- Wszystko jedno. Powiedz coś o sobie - mówi Mari.

- O sobie?

- Tak. Opowiedz coś.

Takahashi zamyśla się na chwilę.

- Nie przychodzi mi do głowy żadna wesoła historia.

- Nie szkodzi. Może być smutna.

- Matka umarła, kiedy miałem siedem lat. Na raka piersi. Za późno go wykryli, więc umarła zaledwie trzy miesiące po zdiagnozowaniu choroby. Błyskawicznie. Choroba szybko

się rozwijała, nie było czasu na porządne leczenie. W tym okresie ojciec był ciągle w więzieniu. Tak jak ci wcześniej mówiłem.

Mari znowu podnosi wzrok na Takahashiego.

- Kiedy miałaś siedem lat, mama umarła ci na raka piersi, a ojciec był w tym czasie w więzieniu?

- Tak było.

- Czyli zostałeś zupełnie sam?

- Zgadza się. Ojciec został aresztowany za defraudację, dostał dwa lata. Zdaje się, że uczestniczył w jakiejś aferze ze sprzedażą w systemie tak zwanej piramidy, czymś takim, straty były stosunkowo duże, a za młodu brał udział w ruchu studenckim i był kilka razy aresztowany, więc nie mógł dostać wyroku w zawieszeniu. Podejrzewali go, że zbierał fundusze dla jakiejś organizacji. Choć w rzeczywistości nie miał z tym nic wspólnego. Pamiętam, jak matka mnie zabierała na widzenia. Było tam bardzo zimno. Jakieś pół roku po tym, jak znalazł się w więzieniu, wykryto u matki raka piersi i musiała od razu iść do szpitala. Innymi słowy zostałem na pewien czas sierotą. Ojciec w więzieniu, matka w szpitalu.

- Kto się przez ten czas tobą opiekował?

- Potem mi powiedzieli, że podobno rodzina ojca dawała pieniądze na szpital dla matki i na życie dla mnie. Ojciec miał z nimi złe układy, od dawna nie utrzymywali kontaktów, ale nie mogli jednak zostawić na lodzie siedmioletniego dziecka. Więc jedna krewna niechętnie przychodziła co drugi dzień. Ludzie z sąsiedztwa też się mną na zmianę zajmowali. Prali, robili zakupy, przynosili jedzenie. Pewnie dobrze się złożyło, że mieszkaliśmy w starej, tradycyjnej dzielnicy. Tam wtedy działała jeszcze „pomoc sąsiedzka”. Ale wydaje mi się, że większość sam robiłem. Przygotowywałem proste posiłki, sam się szykowałem do szkoły... Pamiętam to wszystko jak przez mgłę. Jakby to dotyczyło kogoś obcego, gdzieś daleko.

- A kiedy ojciec wrócił?

- Chyba jakieś trzy miesiące po śmierci matki. Z powodu sytuacji rodzinnej, zgodzili się zwolnić go wcześniej, warunkowo. Oczywiście ucieszyłem się, że ojciec wrócił. Bo już nie byłem sierotą. Przecież to w końcu duży, silny dorosły. Mogłem się odprężyć. Kiedy wrócił, miał na sobie starą tweedową marynarkę. Do dziś pamiętam jej szorstki materiał i zapach papierosów, którym przesiąkła.

Takahashi wyjmując rękę z kieszeni płaszcza i kilka razy pociera kark.

- Ale nawet wtedy, gdy ponownie zobaczyłem ojca, w głębi serca nie poczułem ulgi. Nie do końca. Nie bardzo umiem to wytłumaczyć, ale jakoś wszystko nie mogło się we mnie ułożyć. Jak by to powiedzieć? Zawsze mi się zdawało, że może ktoś mnie oszukuje. Miałem uczucie, że mój prawdziwy ojciec na zawsze gdzieś zniknął, i żeby rachunek się zgadzał, przysłano mi kogoś innego na jego miejsce. Rozumiesz?

- W pewnym sensie - mówi Mari.

Takahashi milknie na chwilę. Potem ciągnie dalej:

- Wtedy czułem coś takiego: bez względu na wszystko, ojciec nie powinien był mnie zostawiać. Nie powinien był robić ze mnie sieroty. Choćby nie wiem co, nie powinien był iść do więzienia. Oczywiście nie rozumiałem wtedy dokładnie, czym jest więzienie. Miałem dopiero siedem lat. Ale mniej więcej rozumiałem, że to jakby wielka szafa. Mroczne, wzbudzające strach, złowieszcze miejsce. Ojciec nie powinien był znaleźć się w takim miejscu.

Takahashi przerywa opowieść. - Twój ojciec był w więzieniu? - pyta.

Mari potrząsa głową. - Myślę, że nie.

- A matka?

- Myślę, że nie.

- To miałaś szczęście. Powinnaś się cieszyć, że w życiu się z tym nie zetknęłaś - mówi Takahashi. I uśmiecha się. - Prawdopodobnie nawet ci to nie przyszło do głowy.

- Nigdy tak o tym nie myślałam.

- Normalni ludzie nie myślą. Ja myślę.

Mari zerka na Takahashiego.

- No i... potem już twój ojciec nie poszedł do więzienia?

- Potem nigdy więcej nie wszedł w konflikt z prawem. A może i wszedł. A właściwie myślę, że na pewno wszedł. To człowiek, który nie jest w stanie żyć uczciwie. Ale nie wplątał się w nic na tyle złego, żeby iść za to do więzienia. Pewnie czegoś go ta odsiadka nauczyła. A może czuł - na tyle, na ile go było stać - coś w rodzaju odpowiedzialności w stosunku do zmarłej matki i mnie? W każdym razie został porządnym przedsiębiorcą, choć operował w szarej strefie. Miewał ekstremalne wzloty i upadki, niekiedy stawaliśmy się dosyć bogaci, a czasami nie mieliśmy grosza przy duszy. Zupełnie jakby codziennie siedział człowiek na

rollercoasterze. Bywało, że jeździliśmy wielkim mercedesem benzem z kierowcą, ale bywało też, że nie było nas stać nawet na rower. Raz uciekaliśmy ukradkiem nocą przed wierzycielami. Nie mogliśmy nigdzie zagrzać miejsca, więc prawie co pół roku zmieniałem szkołę. Oczywiście nie miałem przez to kolegów. Mniej więcej do gimnazjum ciągle tak było.

Takahashi znów wpycha ręce do kieszeni, kręci głową i odpędza gdzieś ponure wspomnienia.

- No ale teraz ustawił się na nie najgorszym poziomie. W końcu należy do pokolenia *babyboomers*, więc tak łatwo nie rezygnuje. To pokolenie, w którym Mick Jagger dostał szlachectwo. Trzymają się do ostatka, udaje im się przetrwać. Nawet jeśli nie ma wyrzutów sumienia, uczy się czegoś z tych doświadczeń. Nie bardzo wiem, czym ojciec się teraz zajmuje. Ja go nie pytam, on też mi nie próbuje wyjaśniać. W każdym razie bez żadnych opóźnień płaci mi chesne. A jak mu przyjdzie ochota, czasem daje mi jakieś kieszonkowe. Są na świecie rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć.

- I twój ojciec ponownie się ożenił, tak?

- W cztery lata po śmierci mamy. Nie jest na tyle bohaterki, żeby samemu wychowywać dziecko.

- A z nową żoną nie miał dzieci?

- Nie. Ma tylko jedno dziecko, mnie. I też z tego powodu ona wychowała mnie naprawdę jak własnego syna. Jestem jej za to bardzo wdzięczny. Dlatego problem tkwi we mnie.

- Jaki problem?

Takahashi spogląda na Mari z uśmiechem. - Po prostu ktoś, kto raz został osierocony, do śmierci pozostaje sierotą. Często śni mi się pewien sen. Mam siedem lat, znów zostaję sierotą. Jestem samotny, nie ma żadnego dorosłego, na którego mógłbym liczyć. Jest późne popołudnie, na dworze robi się coraz ciemniej. Noc nadciąga, jest tuż-tuż. Zawsze taki sam sen. Zawsze mam w nim siedem lat. Takiego programu nie da się zmienić, jak raz dostanie się do niego wirus.

Mari milczy.

- Ale zwykle staram się w miarę możliwości nie rozmyślać na takie męczące tematy - mówi Takahashi. - Bo myślenie i tak nic nie daje. Trzeba tylko normalnie żyć, z dnia na dzień.

- Trzeba dużo chodzić i powoli pić wodę.

- Nie - poprawia on. - Powoli chodzić i pić dużo wody.

- Zdaje się, że może być i tak, i na odwrót.

Takahashi poważnie rozważa to w myślach. - Tak, może i masz rację.

O niczym więcej nie rozmawiają. Idą w milczeniu. Wypuszczając białe chmurki oddechu, wchodzą po mrocznych schodach i docierają przed hotel Alphaville. Mari czuje nieomal, że stęskniła się za jego tandetnym fioletowym neonem.

Takahashi zatrzymuje się przy wejściu i patrzy Mari prosto w oczy niezwykłym u niego poważnym wzrokiem.

- Muszę ci się do czegoś przyznać.

- Do czego?

- Po głowie mi chodzi to samo co tobie. Ale dziś nic z tego. Bo nie nie włożyłem czystej bielizny.

Mari kręci głową jakby zniechęcona. - Przestań, takie bezsensowne dowcipy są męczące.

Takahashi śmieje się. - Przyjdę tu po ciebie koło szóstej. Jeśli chcesz, możemy razem zjeść śniadanie. Niedaleko jest jadalnia, gdzie podają dobre omlety. Gorące i puszyste... A czy omlety jako jedzenie są w porządku? Nie ma na przykład kwestii modyfikacji genetycznej, systematycznego okrucieństwa w stosunku do zwierząt, czegoś politycznie niepoprawnego?

Mari zastanawia się przez chwilę. - Nie wiem nic o kwestiach politycznych, ale jeśli problem dotyczy kur, to naturalnie dotyczy także jajek.

- No i co tu zrobić? - Takahashi marszczy brwi. - Zdaje się, że ze wszystkimi moim ulubionymi potrawami są jakieś problemy.

- Ale ja też lubię omlety.

- No to poszukajmy jakiegoś kompromisu - mówi Takahashi. - Bo to są wyjątkowo smaczne omlety.

Machając jej na pożegnanie, oddala się na próbę zespołu. Mari poprawia czapkę i wchodzi do hotelu.





Pokój Eri Asai.

Telewizor jest włączony. Ubrana w piżamę Eri patrzy z ekranu w naszą stronę. Grzywka opada jej na czoło. Odgarnia ją, potrząsając głową. Przycisnęła dłonie do szkła ekranu, coś do nas mówi. Zupełnie jak ktoś, kto zabłądziwszy, znalazł się w pustym zbiorniku na terenie oceanarium i próbuje przez grube szkło wyjaśnić innym zwiedzającym, w jak trudnym jest położeniu. Lecz jej głos nie dociera do naszych uszu. Nie może wywołać drgań powietrza po tej stronie.

Możemy w Eri Asai dostrzec jeszcze pozostałość przytępienia zmysłów. Jakby jej ręce i nogi były ciągle nieco bezsilne. Pewnie dlatego, że zbyt długo i głęboko spała. Mimo to stara się choć trochę zrozumieć niepojętą sytuację, w jakiej się znalazła. Ma zamęt w głowie, jest niepewna, lecz próbuje ze wszystkich sił jakoś zrozumieć logiczne podstawy, na jakich opiera się funkcjonowanie tego miejsca. Ten stan ducha udaje jej się przekazać nawet przez szkło.

Eri nie krzyczy. Niczego gwałtownie nie żąda. Chyba już zmęczył ją krzyk. Jej głos i tak nie dociera na tę stronę, sama zdaje sobie z tego sprawę.

Teraz próbuje przekazać za pomocą jak najodpowiedniejszych słów to, co widzi na własne oczy, co odczuwa tam zmysłami. Te słowa wypowiada w połowie do nas, w połowie do siebie samej. Oczywiście mówienie nie przychodzi jej łatwo. Jej wargi poruszają się ślamazarnie, urywają słowa. Zupełnie jakby mówiła w obcym języku - wszystkie zdania są krótkie, między słowami powstają niejednolite przerwy. Te przerwy rozciągają, rozrzedzają znaczenie, które powinno się zrodzić. Ze wszystkich sił wyteżamy wzrok po tej stronie, ale trudno nam nawet odróżnić słowa od milczeń formułowanych przez wargi Eri Asai. Rzeczywistość przesypuje się jej między szczupłymi palcami jak piasek w klepsydrze. Czas nie jest tam jej sojusznikiem.

Wkrótce męczy ją mówienie do świata na zewnątrz, zamyka usta jakby zrezygnowana. Na tym milczeniu powstaje nowe milczenie. Potem Eri lekko stuka pięścią w szkło. Próbuje wszystkiego, co się da. Ale i ten dźwięk wcale do nas nie dociera.

Zdaje się nam, że Eri widzi, co jest po naszej stronie ekranu. Można się tego domyślić po jej oczach. Zdaje się wodzić nimi po wszystkich sprzętach w swoim pokoju (po tej stronie). Po biurku, łóżku, regale. Ten pokój to jej miejsce, w rzeczywistości do niego należy. Powinna spokojnie spać w tym łóżku. Teraz jednak nie jest w stanie przeniknąć przezroczystej szklanej ściany i wrócić na tę stronę. W wyniku jakiegoś działania, czyjejś woli została podczas snu

przeniesiona do pokoju po tamtej stronie i bezlitośnie uwięziona. Jej oczy, jak szare chmury odbijające się na spokojnej powierzchni jeziora, mają kolor samotności.

Niestety (należy chyba tak powiedzieć) nic nie możemy dla Eri Asai zrobić. Powtarzam, że jesteśmy jedynie pewnym punktem widzenia. Nie możemy w żaden sposób ingerować w sytuację.

Ale - myślimy - kim właściwie był Mężczyzna bez Twarzy? Co zrobił Eri Asai? I dokąd sobie poszedł?

Nie otrzymujemy odpowiedzi, a obraz na ekranie telewizora nagle traci stabilność. Fale elektryczne zostają zakłócone. Kontury postaci Eri Asai nieco się zamazują, zaczynają lekko drżeć. Dziewczyna zauważa, że w jej ciele zachodzi jakaś zmiana, odwraca się za siebie i rozgląda. Podnosi wzrok na sufit, spuszcza oczy na podłogę, przygląda się własnym drżącym dłoniom. Wpatruje się w kontury, które tracą wyrazistość. Na jej twarzy odmalowuje się niepokój. Co się właściwie dzieje? Wzmaga się szum przypominający dzwonienie w uchu. Zdaje się, że gdzieś na dalekim wzgórzu znów zerwał się silny wiatr. Punkt styczności sieci dwóch obwodów gwałtownie się kołysze. Przez to kontur bytu Eri znów zanika. Znaczenie prawdziwego istnienia zaczyna ulegać erozji.

- Uciekaj! - krzyczymy. Niechcący zapominamy o zasadzie, że mamy zachować neutralność. Ten głos oczywiście do niej nie dociera. Lecz Eri sama zauważa niebezpieczeństwo. I próbuje uciec. Szybkim krokiem dokądś zmierza. Pewnie w stronę drzwi. Jej postać znika z kadru. Obraz błyskawicznie traci niedawną wyrazistość, wygina się, traci kształt. Światło ekranu stopniowo słabnie. Kurczy się do małego kwadratowego okienka, a na koniec znika całkowicie. Wszelkie informacje obracają się w nicość, świadomość miejsca zostaje zabrana, znaczenie rozpada się na kawałki, światy są oddzielane, aż pozostaje jedynie pozbawiona zmysłów cisza.

Inny zegar w innym miejscu. Elektryczny okrągły zegar ścienny. Wskazówki pokazują 4:31. Kuchnia w domu Shirakawy. Shirakawa siedzi sam przy stole z rozpiętym górnym guzikiem koszuli i rozluźnionym krawatem i je łyżeczką jogurt naturalny. Nie wyłożył go na talerzyk, a nabiera prosto z plastikowego pojemnika.

Ogląda program w niewielkim telewizorze zainstalowanym w kuchni. Obok pojemnika z jogurtem leży pilot. Na ekranie widać sceny z dna morza. Stworzenia o dziwnych kształtach żyjące na dnie oceanu. Brzydkie i piękne. Drapieżniki i ich ofiary. Niewielka łódź podwodna

przeznaczona do badań pełna urządzeń high-tech. Silne reflektory podwodne, precyzyjne ramię robota z końcówkami. Program dokumentalny pod tytułem *Stworzenia z głębi mórz*. Dźwięk jest wyłączony. Shirakawa z twarzą pozbawioną wyrazu wpatruje się w ekran, jedząc jedną łyżkę jogurtu za drugą. Jego myśli zaprzęta coś innego. Błądzą po wzajemnych stosunkach między logiką a działaniem. Czy działanie wywodzi się naturalnie z logiki, czy też logika jest rezultatem działania? Jego oczy wpatrzone są w ekran telewizora, ale naprawdę patrzy na coś daleko po jego drugiej stronie. Na coś, co jest prawdopodobnie o kilometr albo dwa dalej, w głębi.

Spogląda na zegar na ścianie. Wskazówki przesunęły się na 4:33. Wskazówka sekundnika gładko krąży po tarczy. Świat nieustannie posuwa się naprzód. Logika i działanie są ze sobą ściśle połączone. Przynajmniej w tej chwili.

15



Na ekranie nadal *Stworzenia z głębi mórz*. Ale to nie jest telewizor w domu Shirakawy. Ekran jest o wiele większy. To pokój hotelu Alphaville. Mari i Świerszczyk patrzą w niego bez większego przekonania. Siedzą na fotelach. Mari jest w okularach. Kurtka baseballowa i torba leżą na podłodze. Świerszczyk patrzy na *Stworzenia z głębi mórz* ze skrzywioną miną, lecz wkrótce traci zainteresowanie tym programem i zaczyna zmieniać pilotem kanały. Ponieważ jest wcześnie rano, nie znajduje nic ciekawego. Rezygnuje i wyłącza telewizor.

- No jak? Pewnie chce ci się spać? - mówi. - Lepiej się połóż i choć trochę prześpij. Pani Kaoru też usnęła niedawno; śpi na zapleczu jak zabita.

- Ale jeszcze nie bardzo chce mi się spać - odpowiada Mari.

- To może napijesz się gorącej herbaty? - pyta Świerszczyk.

- Jeśli ci to nie sprawi kłopotu.

- Herbaty mamy mnóstwo, więc nie musisz się kępować.

Świerszczyk i parzy dwie czarki zielonej herbaty. Zalewa torebki wrzątkiem

- Do której pracujesz?

- Razem z Pszeniczką pracujemy od dziesiątej wieczorem do dziesiątej rano. Nocni goście wychodzą, sprzątamy po nich i na tym koniec. Czasami w trakcie się zdrzemniemy.

- Od dawna tu pracujesz?
- Wkrótce będzie półtora roku. W takiej pracy nigdzie nie zagrzewa się długo miejsca.

Po krótkiej przerwie Mari pyta: - Czy... mogę ci zadać trochę osobiste pytanie?

- Proszę, proszę. Są co prawda pewne rzeczy, o których trudno mi mówić.
- Ale nie obrazisz się?
- Nie obrażę, nie obrażę.
- Mówiłaś, że pozbyłaś się prawdziwego imienia, prawda?
- Uhm. Mówiłam.
- Dlaczego się go pozbyłaś?

Świerszczyk wyjmuje z czarki torebkę, wrzuca do popielniczki i stawia herbatę przed Mari.

- Dlatego, że niebezpiecznie byłoby go używać. Są różne powody. No, mówiąc prosto z mostu: ja uciekam. Przed pewnymi osobami.

Świerszczyk wypija łyk herbaty.

- No, ty pewnie o tym nie wiesz, ale jak człowiek naprawdę chce przed czymś uciec, to praca w lovehocie jest bardzo wygodna. Co prawda pokojówka w tradycyjnym japońskim hotelu zarabia dużo więcej. Bo dostaje od gości napiwki. No ale w takiej pracy trzeba się jednak ludziom pokazywać, nie? Trzeba też z nimi gadać. A w lovehocie pracownik nie musi się wszystkim pokazywać. Można być w cieniu, pracować w ukryciu. Pozwalają też przenocować. I nie zawracają głowy, nie każą przynosić życiorysów, nie trzeba żadnych referencji. Nawet nazwiska. Powie się: „Wolałabym nie mówić, jak się naprawdę nazywam”, to odpowiedzą: „W takim razie będziemy cię nazywać Świerszczykiem” i to wystarczy. Zawsze im brakuje ludzi. Przez to w tym środowisku pracuje dużo ludzi mających coś do ukrycia.

- Dlatego nigdzie nie zagrzewa się długo miejsca?

- Właśnie. Jak się człowiek gdzieś zasiedzi, to prędzej czy później wyda się, kim jest. Przez to ciągle się przenoszę z miejsca na miejsce. Od Hokkaido po Okinawę, wszędzie są lovehoty, więc pracy nie brakuje. Ale tu jest przyjemnie, pani Kaoru to dobry człowiek i niechcący się zasiedziałam.

- Od dawna uciekasz?

- No, tak, zaraz będzie trzy lata.

- I cały czas pracujesz w takich miejscach?

- Tak. Tu i tam.

- A ten ktoś, przed kim uciekasz, jest groźny?

- Bardzo groźny. Nie na żarty groźny. Ale nie każ mi więcej opowiadać. Staram się w miarę możliwości o tym nie mówić.

Przez pewien czas obie milczą. Mari pije herbatę, Świerszczyk patrzy na pusty ekran telewizora.

- A co przedtem robiłaś? - pyta Mari. - To znaczy zanim zaczęłaś tak uciekać?

- Przedtem byłam zwyczajną urzędniczką. Skończyłam liceum, dostałam się do dość znanej firmy handlowej w Osace i w służbowym stroju pracowałam od dziewiątej rano do piątej po południu. Miałam mniej więcej tyle lat co ty. Wtedy przyszło trzęsienie ziemi w Kobe. Teraz mi się zdaje, że to było jak sen. A potem... zdarzyła się taka drobna rzecz. Naprawdę drobna. Najpierw myślałam, że to nic wielkiego. Ale nagle się zorientowałam, że nie mogę się wypłatać. Nie dało się iść naprzód ani cofnąć. Więc rzuciłam pracę, rzuciłam rodziców.

Mari w milczeniu patrzy na dziewczynę.

- Aaa... przepraszam, jak ty masz na imię? - pyta Świerszczyk.

- Mari.

- Wiesz, Mari, zdaje nam się zwykle, że mamy solidny grunt pod nogami, ale coś niewielkiego może spowodować, że spadniemy aż na sam dół. I jak się raz spadnie, to koniec. Już się nie da wrócić. Pozostaje tylko żyć samotnie w tym mrocznym świecie na dole.

Świerszczyk zastanawia się nad własnymi słowami. A potem cicho kręci głową, jakby coś sobie wyrzucała.

- Ale, oczywiście, to może tylko znaczyć, że byłam słabym człowiekiem. I ponieważ byłam słaba, zdałam się na bieg rzeczy. Powinnam była w trakcie się zorientować, obudzić, zatrzymać, ale nie umiałam. Nie mam prawa tobie prawić kazań...

- A co by się stało, gdyby cię znaleźli? To znaczy ci, którzy cię gonią?

- Hm, co by się stało? - mówi Świerszczyk. - Nie bardzo wiem. Nie mam wielkiej ochoty o tym myśleć.

Mari milczy. Świerszczyk podnosi pilota i bawi się przyciskami. Ale nie włącza telewizora.

- Kiedy po pracy wchodzę pod kołdrę, zawsze tak sobie myślę: „Nie chcę się obudzić. Chcę spać w nieskończoność. Wtedy nie będę musiała o niczym myśleć”. A mimo to mam sny. Zawsze ten sam sen. Ktoś mnie w nieskończoność goni, w końcu mnie znajduje, łapie i dokądś zabiera. Wpycha mnie do czegoś, jakby lodówki, i zamyka pokrywę. I wtedy nagle się budzę. Wszystko, co mam na sobie, jest mokre od potu. Jak nie śpię, gonią mnie, we śnie też mnie gonią, moje serce nie zna spokoju. Jedyne chwile, kiedy mi trochę lżej, to jak sobie nieszkodliwie gawędzę przy herbacie z panią Kaoru i Pszeniczką... No tak, tobie pierwszej o tym mówię. Nie mówiłam pani Kaoru ani Pszenicdze.

- O tym, że przed czymś uciekasz?

- Uhm. Oczywiście, trochę się pewnie domyślają.

Obie milkną na pewien czas.

- Wierzysz w to, co mówię? - pyta Świerszczyk.

- Wierzę.

- Naprawdę?

- Oczywiście.

- No ale przecież ja mogę gadać byle co. Nigdy nie wiadomo. Pierwszy raz mnie widzisz na oczy.

- Ale nie wyglądasz na kogoś, kto kłamie - mówi Mari.

- Cieszę się, że tak mówisz. Chcę ci coś pokazać.

Świerszczyk podwija koszulę i odsłania plecy. Symetrycznie po obu stronach kręgosłupa ma jakby odcisnięte znaki. Po trzy linie przypominające kurze łapki. Jakby wypalone rozżarzonym żelazem. Skóra wokół nich jest naciągnięta. To musiało straszliwie boleć. Na widok blizn Mari instynktownie się krzywi.

- To tylko jedna z rzeczy, które mi zrobili - mówi Świerszczyk. - Oznaczyli mnie. Mam też inne. W miejscach, których nie mogę ci pokazać. To nie żarty.

- Ale straszne!
- Nigdy tego nikomu nie pokazałam. Ale chciałam, żebyś mi wierzyła.
- Wierzę.
- Zdawało mi się jakoś, że tobie mogę zaufać. Nie wiem dlaczego...

Świerszczyk opuszcza koszulę. Potem bierze głęboki oddech, jakby stawiała kropkę nad „i” swoich uczuć.

- Słuchaj, Świerszczyku.
- Uhm?
- Ja też mam coś, o czym nikomu nie mówiłam. Mogę ci powiedzieć?
- Proszę, proszę, mów.
- Mam starszą siostrę. Jest nas tylko dwie, ona o dwa lata starsza.
- Uhm.

- No i ona dwa miesiące temu powiedziała: „Teraz będę przez pewien czas spała”. Ogłosiła to rodzinie przy kolacji. Ale nikt się nie przejął. Była dopiero siódma, siostra zawsze sypiała w nieregularnych porach, więc nie było się czemu specjalnie dziwić. Powiedzieliśmy: „Dobranoc”. Siostra prawie nic nie zjadła, poszła do swojego pokoju, położyła się. Od tego czasu ciągle śpi.

- Ciągle?
- Uhm.

Świerszczyk marszczy brwi. - Wcale nie wstaje?

- Zdaje się, że czasem wstaje - mówi Mari. - Jak się jej zostawi na biurku jedzenie, ubywa go, chodzi też chyba do toalety, czasami bierze prysznic, przebiera się. Czyli wstaje i robi w miarę potrzeb to, co absolutnie konieczne, żeby utrzymać się przy życiu. Naprawdę tylko to, co absolutnie konieczne. Ale ani ja, ani nikt z rodziny nie widział, jak wstaje. Kiedy wchodzimy do jej pokoju, zawsze śpi. Nie udaje, naprawdę głęboko śpi. Nie słyhać jak oddycha, nie porusza się, wygląda prawie, jakby nie żyła. Nie budzi się, nawet jak się głośno krzyczy, potrząsa nią.

- No i co...? Wezwaliście lekarza?
- Lekarz, który ją zawsze leczył, czasami wpada i sprawdza, jak się ma. To jakby lekarz

domowy, więc nie może jej naprawdę porządnie przebadać, ale z medycznego punktu widzenia nic jej szczególnego nie dolega. Temperaturę ma mniej więcej normalną. Puls i ciśnienie dość niskie, ale nie aż tak niskie, żeby się tym martwić. No i zasadniczo wystarczająco się odżywia, więc nie ma potrzeby dawać kroplówki. Tylko głęboko śpi. Oczywiście gdyby była nieprzytomna, byłby straszny problem, ale ponieważ co pewien czas się budzi i sama załatwia, co trzeba, więc nie ma potrzeby zapewniać jej żadnej specjalnej opieki. Byliśmy też u psychiatry. Lecz podobno takie objawy są niespotykane. Powiedział, że skoro sama ogłosiła, że „teraz będzie przez pewien czas spała”, i poszła spać, to znaczy, że w głębi serca potrzebuje snu, więc należy jej się dać przez pewien czas wyspać. Co do leczenia, to będzie mógł z nią porozmawiać dopiero, jak się obudzi. I dlatego pozwalamy jej po prostu spać.

- Nie macie zamiaru poddać jej dokładnym badaniom w szpitalu?

- Rodzice próbują w miarę możliwości dostrzegać w tym dobre strony. Niech sobie śpi, ile chce, pewnego dnia obudzi się jak gdyby nigdy nic i pewnie wszystko wróci do normy. Uczepili się tej myśli. Ale ja nie mogę tego znieść. To znaczy, czasami nie mogę znieść. Nie mogę żyć pod jednym dachem z siostrą, która bez powodu śpi już od dwóch miesięcy.

- Dlatego wyszłaś z domu i wędrujesz po mieście w środku nocy?

- Nie bardzo mogę spać - mówi Mari. - Kiedy chcę usnąć, w myślach pojawia mi się siostra śpiąca w pokoju obok. I kiedy to się pogłębia, nie mogę wytrzymać w domu.

- Aż dwa miesiące... To długo.

Mari w milczeniu przytakuje.

- Słuchaj, ja oczywiście nie orientuję się dokładnie we wszystkim, ale może twoja siostra nosi w sercu jakiś wielki problem, którego o własnych siłach nijak nie może rozwiązać? I dlatego chciała wejść pod kołdrę i usnąć. W każdym razie oddalić się od tego rzeczywistego świata. Ja wiem, jak to jest. Doskonale wiem, jak się musiała czuć.

- A ty masz rodzeństwo?

- Mam. Dwóch młodszych braci.

- Jesteś z nimi zżyta?

- Dawniej tak. Teraz sama nie wiem. Dawno ich nie widziałam.

- Ja, szczerze mówiąc, niezbyt dobrze znam swoją siostrę - mówi Mari. - Nie wiem, co



robiła na co dzień. Jak żyła, o czym myślała, z kim się zadawała. Nie wiem nawet, czy miała zmartwienia. To zabrzmiało chłodno, ale chociaż mieszkaliśmy w tym samym domu, ona była zajęta swoimi sprawami, ja swoimi, nigdy nie zwierzałyśmy się sobie jak siostry. Nie byłyśmy w złych stosunkach ani nic takiego. Od kiedy dorosłyśmy, nigdy się nie kłóciłyśmy. Tylko od dawna każda z nas żyje własnym życiem...

Mari patrzy na ciemny ekran telewizora.

- A jaka jest twoja siostra? Jak nie wiesz, jaka jest naprawdę, możesz opowiedzieć, co widać z wierzchu. Powiedz mi ogólnie, co o niej wiesz.

- Jest studentką. Na prywatnej uczelni założonej przez misjonarzy, na której uczą się bogate dziewczyny. Ma dwadzieścia jeden lat. Teoretycznie studiuje socjologię, ale nie wydaje mi się, żeby socjologia ją interesowała. Poszła na jakieś studia, żeby się nie wstydzić przed sąsiadami i jakoś sprytnie zalicza egzaminy. Czasami płaci mi za napisanie jakiegoś referatu. Poza tym pracuje jako modelka dla czasopism, zdarza się, że występuje w programach telewizyjnych.

- Występuje w telewizji?! W jakich programach?

- Nic wielkiego. Na przykład z uśmiechem prezentowała przed kamerami nagrody w jakimś teleturnieju. Ten program się już skończył, więc teraz w nim nie występuje. Poza tym grała też w kilku krótkich reklamach. Dla jakiejś firmy przeprowadzkowej, tego typu.

- Musi być ładna, co?

- Wszyscy tak mówią. Wcale nie jest do mnie podobna.

- Ja też chciałabym się choć raz urodzić jako taka piękność - mówi Świerszczyk i lekko wzdycha.

Mari waha się, a potem mówi, jakby wyjawiała sekret: - To trochę dziwna historia... Siostra jest naprawdę ładna, kiedy śpi. Chyba ładniejsza niż kiedy nie śpi. Zdaje się nieomal lśnić bielą. Nawet mnie, jej siostrze, zapiera dech.

- Jak Śpiąca Królewna.

- Uhm.

- Ktoś ją obudzi pocałunkiem - mówi Świerszczyk.

- Jak dobrze pójdzie.

Milkną na chwilę. Świerszczyk dalej trzyma w ręce pilota i bawi się nim bezmyślnie. W

oddali słychać syrenę karetki pogotowia.

- Słuchaj, Mari, wierzysz w reinkarnację?

Mari potrząsa głową. - Chyba nie wierzę.

- Myślisz, że nie ma przyszłego życia?

- Nigdy się nad tym głęboko nie zastanawiałam. Ale zdaje mi się, że nie ma powodu myśleć, że jest.

- To po śmierci jest tylko nicość?

- Zasadniczo tak myślę.

- A ja uważam, że powinno być coś takiego jak reinkarnacja. A raczej strasznie bym się bała, gdyby nie było. Bo nie mogę zrozumieć, co to nicość. Nie mogę zrozumieć i nie mogę sobie wyobrazić.

- Nicość oznacza, że nie ma absolutnie nic, więc nie ma szczególnie potrzeby tego rozumieć albo sobie wyobrażać.

- Ale co zrobić, jeżeli ta nicość wymaga, żeby ją zrozumieć albo sobie wyobrazić? Przecież nigdy nie umarłaś, prawda? Może dopiero jak się umrze, to się człowiek dowie.

- No, rzeczywiście, to prawda, ale...

- Jak zaczynam myśleć o takich rzeczach, to po trochu ogarnia mnie strach - mówi Świerszczyk. - Od samego myślenia zaczyna mi brakować tchu, cała sztywnieję. To już lepiej wierzyć w reinkarnację. W następnym życiu może się człowiek zmienić w coś okropnego, ale przynajmniej można to sobie konkretnie wyobrazić. Na przykład siebie jako konia albo ślimaka. I jeśli nawet następnym razem nie bardzo się uda, zawsze można liczyć na kolejną szansę.

- A mnie się wydaje naturalniejsze myślenie, że po śmierci nic nie ma - mówi Mari.

- To pewnie dlatego, że jesteś silna psychicznie.

- Ja?

Świerszczyk przytakuje. - Wyglądasz jak ktoś o silnym charakterze.

Mari kręci głową. - Nic podobnego! Wcale nie jestem silna. W dzieciństwie nie wierzyłam w siebie, byłam bojaźliwa, dlatego w szkole często mi dokuczano. Bez przerwy mi się to śni. Łatwo stawałam się obiektem drwin. Jeszcze noszę w sobie to uczucie.

- Ale starałaś się i z czasem po trochu przezwyciężyłaś takie rzeczy, prawda? Te nieprzyjemne wspomnienia tamtego czasu?

- Po trochu - mówi Mari. Kiwa głową. - Po trochu. Taka już jestem. Staram się.

- Sama się pracowicie starasz. Jak mrówka?

- Uhm.

- Moim zdaniem to wspaniale, że to potrafisz.

- Że się staram?

- Że potrafisz się starać.

- Chociaż nie mam innych zalet?

Świerszczyk uśmiecha się bez słowa.

Mari zamyśla się nad tym, co powiedziała. Po chwili dodaje: - Myślę, że z czasem, po trochu zbudowałam sobie jakby własny świat. I kiedy jestem w nim sama, jest mi nieco lżej na duszy. Ale fakt, że musiałam sobie taki świat zbudować, świadczy o tym, że jestem słabym człowiekiem, którego łatwo zranić. I ten mój świat w oczach innych ludzi jest bezwartościowy, nieważny. Jak domek z kart, który może znieść każdy silniejszy podmuch...

- Masz chłopaka? - zadaje pytanie Świerszczyk.

Mari potrząsa głową.

- Czy przypadkiem jesteś jeszcze dziewicą?

Mari czerwieni się i lekko kiwa głową. - Tak.

- Nie szkodzi, nie ma się czego wstydzić.

- Wiem.

- Nikt ci się jeszcze nie spodobał?

- Chodziłam z jednym chłopakiem. Ale...

- Nie podobał ci się na tyle, żeby aż do tego się posunąć.

- Uhm - mówi Mari. - Oczywiście byłam ciekawa, ale nie mogłam za nic nabrać na to ochoty... nie bardzo wiem dlaczego.

- To nic nie szkodzi. Jak nie mogłaś nabrać ochoty, nie było sensu się zmuszać. Szczerze mówiąc, ja do tej pory spałam z wieloma mężczyznami, ale jak się zastanowić, to dlatego, że

się bałam. Bałam się, jak nikt mnie nie obejmował, i nie umiałam wyraźnie powiedzieć nie, kiedy ktoś tego chciał. To wszystko. Z takiego seksu nie wynikło nic dobrego. Tylko po kawałeczku ubywało jakby sensu życia. Rozumiesz, o czym mówię?

- Chyba tak.

- I dlatego myślę, że ty też, jak znajdziesz dobrego faceta, nabierzesz więcej wiary w siebie niż teraz. Nie wolno się godzić na półśrodki. Są na świecie rzeczy, które da się zrobić tylko samemu i inne, które da się zrobić tylko we dwójkę. Ważne jest, żeby je właściwie połączyć.

Mari kiwa głową.

Świerszczyk drapie się małym palcem w płatek ucha. - W moim przypadku niestety już jest za późno.

- Słuchaj - mówi Mari z naciskiem.

- Uhm?

- Mam nadzieję, że uda ci się uciec.

- Czasami zdaje mi się, że ścigam się z własnym cieniem - mówi Świerszczyk. - Choćbym nie wiem jak szybko biegła, nie uda mi się uciec. Nie uda się oderwać od własnego cienia.

- Ale może naprawdę tak nie jest - mówi Mari. Waha się, a po chwili dodaje: - Może to nie jest twój własny cień, a coś zupełnie innego.

Świerszczyk rozmyśla nad tym przez chwilę, wkrótce przytakuje. - No tak. Muszę sobie jakoś poradzić. - Spogląda na zegarek, przeciąga się leniwie i wstaje.

- No, muszę się zaraz zbierać do pracy. Ty trochę tu sobie odpocznij, a jak się rozwidni, wracaj szybko do domu. Zrozumiano?

- Uhm.

- Z twoją siostrą na pewno będzie w porządku. Tak mi się coś wydaje. Sama nie wiem czemu.

- Dziękuję.

- Teraz nie jesteście zbyt zżyte, ale pewnie nie zawsze tak było. Przypomnij sobie chwile, kiedy czułaś, że siostra jest ci naprawdę bliska, że nic was nie dzieli. Od razu pewnie się nie

uda, ale jak się postarasz, przypomnisz sobie. Przecież w końcu z rodziną wiele człowiek przeżywa, i coś takiego pewnie przynajmniej raz się zdarzyło.

- Dobrze - mówi Mari.

- Ja często myślę o tym, co było dawniej. Szczególnie po tym, jak zaczęłam tak uciekać po całej Japonii. I kiedy próbuję sobie ze wszystkich sił przypomnieć, wracają do mnie żywo różne wspomnienia. Przy jakiejś okazji nagle przypominam sobie coś, o czym dawno temu zapomniałam. To bardzo ciekawe. Pamięć to coś naprawdę dziwnego. Szufladki ma wypchane kompletnie nieprzydatnymi, bezsensownymi rzeczami. A człowiek zapomina jedną po drugiej te ważne, naprawdę potrzebne.

Świerszczyk stoi, ciągle z pilotem w ręce.

I mówi dalej: - I tak sobie myślę, że może ludzie używają wspomnień jako paliwa do życia. To czy dane wspomnienie jest ważne czy nie, nie ma znaczenia dla utrzymania się przy życiu. To tylko paliwo. Czy to reklamowe wkładki w gazetach, czy książki filozoficzne, czy nieprzyzwoite zdjęcie, pęk banknotów po dziesięć tysięcy jenów - jeśli ich użyć na podpałkę, z punktu widzenia ognia wszystkie stają się takim samym papierem. A ogień paląc się, nie myśli sobie: „O, to Kant” albo „A to wydanie popołudniowe gazety «Yomiuri» „albo „Niezłe cycki”. I z tym jest tak samo. I ważne wspomnienia, i niezbyt ważne wspomnienia, zupełnie nieprzydatne wspomnienia, wszystkie bez różnicy są paliwem.

Świerszczyk kiwa głową. I ciągnie: - I gdybym nie miała w sobie takiego paliwa, gdybym nie miała takiej szufladki wspomnień, już dawno pękłabym na dwoje. Zwinęłabym się w kłębek w jakimś rowie i umarła. To dlatego że mogę czasami po trochu wyciągać te różne wspomnienia, ważne i do niczego niepotrzebne, jakoś udaje mi się dalej żyć, choć to życie przypomina zły sen. I nawet kiedy myślę, że już nie mogę, dłużej nie wytrzymam, jakoś udaje mi się to przetrwać.

Mari siedzi na krześle, podnosząc wzrok na stojącą dziewczynę.

- Dlatego postaraj się, Mari, rusz głową, przypomnij sobie różne rzeczy. O siostrze. To na pewno będzie ważne paliwo. Dla ciebie samej i pewnie dla twojej siostry.

Mari w milczeniu na nią patrzy. Świerszczyk jeszcze raz spogląda na zegarek. - Muszę lecieć.

- Dziękuję ci za wszystko - mówi Mari.

Świerszczyk macha ręką na pożegnanie i wychodzi z pokoju.

Mari zostaje sama, ponownie rozgląda się wokół. Mały pokój w love hotelu. Okna nie ma. Jeśli otworzyć żaluzję, znajdzie się za nią jedynie wnękę w ścianie. Tylko łóżko jest nieproporcjonalnie wielkie. Koło wezglowia mnóstwo nie wiadomo jakich przycisków, wygląda to zupełnie jak pulpit sterowniczy samolotu. W automacie obok realistycznie wyglądające wibratory i bielizna w ekstremalnych fasonach. Te rzeczy są Mari nieznane, dziwne, ale nie wzbudzają w niej niechęci. Sama w tym niezwykłym pokoju czuje się raczej bezpieczna. Uświadamia sobie, że po raz pierwszy od bardzo dawna wypełnia ją uczucie spokoju. Zapada głęboko w fotel i przymyka oczy. I od razu przychodzi sen. Krótki, lecz głęboki. To tego od dawna pragnęła.

16



Przypominająca magazyn piwnica, gdzie zespołowi pozwolono nocami odbywać próby. Nie ma okien. Sufit wysoko, rury odsłonięte. Ponieważ wentylacja jest słaba, w pomieszczeniu nie wolno palić. Noc niedługo minie, oficjalna próba już się zakończyła, teraz trwa jam session. W pomieszczeniu jest w sumie dziesięć osób. W tym dwie kobiety. Jedna gra na pianinie, druga odpoczywa z saksofonem tenorowym w dłoniach. Pozostali to mężczyźni.

Takahashi gra długą solówkę na puzonie z towarzyszeniem elektrycznego pianina, kontrabas i perkusji. *Sonny Moon For Two* Sonny'ego Rollinsa. Blues w niezbyt szybkim tempie. Nieźle gra. Uwagę słuchacza zwraca nie technika, a to, jak gra frazę po frazie, jaką historię opowiada. Być może przejawia się w tym jego osobowość. Z zamkniętymi oczami zatopił się w muzyce. Saksofon tenorowy, altowy i trąbka czasami dodają w tle proste riffy. Ci, którzy nie biorą udziału, popijają kawę z termosu, sprawdzają nuty, czyszczą instrumenty, czasami w przerwach solówki dopingują Takahashiego.

Muzyka rozlega się donośnie w pokoju o nagich ścianach, więc perkusista gra, używając praktycznie tylko miotełek. Na prowizorycznym stole zrobionym z długiej deski leżącej na metalowych składanych krzesłach stoją w nieładzie pudełka po zamówionej pizzy, termos z kawą, papierowe kubki. Są tam też nuty, mały magnetofon, stroiki do saksofonu. Ogrzewanie ledwo działa, toteż wszyscy ćwiczą w płaszczach i kurtkach. Niektórzy z chwilowo niegrających ponakładali szaliki i rękawiczki. Przedziwny widok. Kończy się długa solówka Takahashiego, kontrabas podchwytuje temat, a po nim cztery instrumenty dęte łączą się w głównej melodii.

Po zakończeniu utworu robią dziesięć minut przerwy. Długie próby są jednak męczące, wszyscy muzycy stali się bardziej małowólni niż zwykle. Jeden robi ćwiczenia rozciągające, inny pije coś ciepłego, ktoś je jakieś herbatniki, jeszcze inny wyszedł na zewnątrz na papierosa, i tak przygotowują się do następnego utworu. Tylko długowłosa pianistka siedzi w czasie przerwy przy instrumencie i próbuje sekwencję akordów. Takahashi siada na metalowym krześle, porządkuje nuty, rozkłada puzon, wylewa zgromadzoną w nim ślinę, pobieżnie przeciera szmatką instrument i zaczyna chować go do futerału. Wygląda na to, że nie zamierza grać w następnym utworze.

Podchodzi wysoki kontrabasista i klepie go w ramię.

- Hej, ta solówka była dobra. Przemawiała do człowieka.

- Dzięki - mówi Takahashi.

- Takahashi, dziś na tym kończysz? - woła długowłosa mężczyzna, który grał na trąbce.

- Uhm, mam coś do załatwienia - odpowiada Takahashi. - Przepraszam, że nie pomogę przy sprzątanii.



Kuchnia w domu Shirakawy. Rozlega się sygnał czasu i rozpoczynają się wiadomości NHK o piątej rano. Prezenter siedzi zwrócony prosto do kamery i pilnie odczytuje bieżące informacje. Shirakawa przy kuchennym stole ogląda cicho nastawiony telewizor. Tak cicho, że prawie go nie słyhać. Zdjęty krawat wisi na oparciu krzesła, rękawy koszuli ma podwinięte do łokci. Pojemnik po jogurcie jest pusty. Shirakawa nie ma szczególnej ochoty oglądać wiadomości. Nie ma w nich nic, co by go zainteresowało. Wie o tym od początku. Po prostu nie uda mu się jeszcze usnąć.

Kilka razy otwiera i zamyka prawą dłoń na stole. To nie zwykły ból, a ból zawierający wspomnienia. Wyjmuje z lodówki zieloną butelkę Perrier, przykładła do grzbietu dłoni i chłodzi go. Potem odkręca butelkę, wlewa wodę do szklanki, wypija. Zdejmuje okulary, starannie masuje skórę wokół oczu. Lecz senność nie nadchodzi. Ciało narzeka na zmęczenie, ale w głowie ma coś, co nie pozwala mu spać. Coś mu nie daje spokoju. Nie może się tego czegoś pozbyć. Poddaje się, znów wkłada okulary i kieruje wzrok na ekran telewizora. Problem dumpingowego eksportu stali. Rząd przeciwdziała gwałtownemu podrożeniu jena.

Matka zabiła siebie i dwoje dzieci. Oblała wnętrze samochodu benzyną i podpaliła. Obraz zwęglonego samochodu. Jeszcze dymi. Niedługo zaczną się w mieście przedświąteczna konkurencja wyprzedzaży.

Noc dobiega końca, ale dla niego tak łatwo się nie skończy. Niebawem wstanie rodzina. Chciałby koniecznie przedtem zasnąć.



Pokój w hotelu Alphaville. Mari drzemie, zapadła głęboko w fotel. Stopy w białych skarpetkach oparła na niskim szklanym stoliku. Uśpiona twarz pełna ulgi. Na stoliku leży też okładką do góry mniej więcej do połowy przeczytana gruba książka. Górne światło się pali. Lecz Mari nie przeszkadza światło w pokoju. Telewizor jest wyłączony i zachowuje milczenie. Pięknie posłane łóżko. Prócz monotonnego buczenia grzejnika pod sufitem nie słychać żadnych innych dźwięków.



Pokój Eri Asai.

Eri Asai nie wiadomo kiedy znalazła się po tej stronie. Wróciła do własnego łóżka we własnym pokoju i śpi. Z twarzą zwróconą ku górze, ani drgnie. Nie słychać nawet, jak oddycha. Taka sama scena jak ta, którą widzieliśmy, kiedy pierwszy raz byliśmy w tym pokoju. Nabrzmiała ciężarem cisza, przerażająco intensywny sen. Powierzchnia myśli jak lustro, bez najmniejszej zmarszczki. Eri Asai unosi się na niej na wznak. W pokoju nie da się dostrzec żadnego nieporządku. Telewizor jest zimny i wyłączony, stał się znów ciemną stroną księżycy. Czy Eri udało się wydostać z tego zagadkowego pokoju? Czy drzwi się dla niej otworzyły?

Nikt nam nie odpowiada. Nasze znaki zapytania nie stawiają oporu, zostają wessane w nieznoszącą sprzeciwu ciszę i ostatnią ciemność nocy. Jedyne fakty, jakiego jesteśmy pewni, to ten, że Eri Asai wróciła do własnego łóżka w tym pokoju. O ile nas wzrok nie myli, udało jej się jakoś bezpiecznie przejść na tę stronę, nie tracąc konturów. Na pewno w ostatniej chwili wymknęła się drzwiami. A może znalazła jakieś inne wyjście?

Tak czy inaczej wygląda na to, że dziwna seria wydarzeń, jakie zaszły tej nocy,



całkowicie dobiegła już końca. Cykl został zamknięty, nieprawidłowości skorygowane, dylematy zostały ukryte, wszystko wygląda, jakby powróciło do poprzedniego stanu. Wokół nas przyczyny i skutki podały sobie ręce, synteza i analiza zachowują równowagę. W rezultacie całość rozegrała się w niedostępnym miejscu przypominającym głęboką wyrwę. Między północą a porą, kiedy niebo blednie, otwierają się gdzieś sekretne drzwi prowadzące do takiego miejsca. To miejsce, w którym nasze zasady nie mają żadnej mocy. Nikt nie może przewidzieć, kiedy i gdzie ta przepaść kogoś pochłonie, kiedy i gdzie go wypluje.

Eri teraz śpi grzecznie w łóżku bez odrobiny wahania. Jej czarne włosy przeobraziły się w czarny wachlarz, rozpostarty na poduszce znaczenie bez słów. Czujemy, że nadchodzi poranek. Minęła już najgłębsza ciemność nocy.

Ale czy naprawdę?



Wnętrze sklepu Seven Eleven. Takahashi zarzucił futerał z puzonem na ramię i z poważną miną wybiera coś do jedzenia. Zamierza to zjeść po powrocie do mieszkania i po przespaniu się. W sklepie nie ma innych klientów. Z głośników na suficie dobiega *Bomb Juice* Shikao Sugi. Takahashi wybiera kanapki z sałatką z tuńczyka w plastikowym pojemniku, następnie ujmuje karton mleka i porównuje datę przydatności do spożycia z innymi. Mleko jako pokarm ma w jego życiu wielkie znaczenie. Nie może lekceważyć nawet najdrobniejszych szczegółów.

Akurat wtedy zaczyna dzwonić komórka leżąca na półce z serami. Niedawno zostawił ją tu Shirakawa. Takahashi marszczy brwi i podejrzliwie przygląda się telefonowi. Kto u licha mógł tu położyć komórkę i o niej zapomnieć? Spogląda w stronę kasy, lecz nie widać sprzedawcy. Telefon nie przestaje dzwonić. Nie ma wyboru, ujmuje niewielką srebrną komórkę i wciska guzik umożliwiającą odebranie połączenia.

- Halo - mówi.

- Nie uciekniesz - oznajmia bez żadnych wstępów męski głos. - Nie uciekniesz. Choćbyś daleko uciekł, i tak cię dopadniemy.

Mówi monotonna, jakby odczytywał drukowany tekst. Nie przekazuje żadnych uczuć. Takahashi oczywiście nie ma pojęcia, o czym tamten mówi. - Zaraz, chwileczkę - odzywa się

głośniej niż przedtem.

Zdaje się jednak, że jego słowa nie docierają do tamtego. Mówi tylko to, co ma do powiedzenia, nie modulując głosu. Jakby nagrywał wiadomość na automatyczną sekretarkę.

- Pewnego dnia ktoś z nas klepnie cię po ramieniu. Wiemy, jak wyglądasz.

- Zaraz, coś tu nie...

Mężczyzna mówi dalej: - Jak ktoś cię kiedyś gdzieś klepnie po ramieniu, będziesz wiedział, że to ktoś z nas.

Takahashi nie wie, co powiedzieć, więc milczy. Telefon, który długo leżał w lodówce jest w jego dłoni nieprzyjemnie zimny.

- Ty może zapomnisz. My nie zapominamy.

- Ja nie wiem, o co panu chodzi. To chyba pomyłka... - mówi Takahashi.

- Nie uciekniesz.

Tamten nagle się rozłącza. Połączenie zostaje przerwane. Ostatnia wiadomość leży pozostawiona na bezludnej plaży. Takahashi wpatruje się w komórkę w swojej dłoni. Nie ma pojęcia, kim są „oni”, o których mówił tamten i kto miał odebrać ten telefon, lecz głos mężczyzny pozostawił po sobie nieprzyjemny smak, w uchu (tym ze zniekształconym płatkami) dźwięczy mu echo jakiegoś absurdałnego przekleństwa. Ręka zdaje się oślizgła, jakby trzymał w niej węża.

Z jakiegoś powodu jacyś ludzie kogoś ścigają, wyobraża sobie Takahashi. Sądząc po zdecydowanym tonie mężczyzny, ten ktoś pewnie nie ucieknie. Kiedyś gdzieś, kiedy nie będzie się tego spodziewał, ktoś klepnie go po ramieniu. A co się stanie później?

Tak czy inaczej nie ma to ze mną nic wspólnego, mówi sobie Takahashi. To pewnie jedno z tych gwałtownych, krwawych wydarzeń, które rozgrywają się sekretnie w bocznych uliczkach miasta. Są przekazywane innymi obwodami innego świata. Ja tylko byłem przypadkowym przechodniem. Z życzliwości odebrałem komórkę dzwoniącą na półce w sklepie. Bo myślałem, że ktoś ją tam przez pomyłkę zostawił i dzwoni, chcąc ustalić, gdzie jest zguba.

Takahashi zamyka telefon i odkłada z powrotem na miejsce. Obok pudełka z krojonym na kawałki camembertem. Lepiej nie mieć nic wspólnego z tym telefonem. I jak najszybciej stąd odejść. Choć trochę oddalić się od tego niebezpiecznego obwodu. Szybkim krokiem

podchodzi do kasy, wyciąga z kieszeni garść drobnych, płaci za kanapki i mleko.



Takahashi siedzi sam na ławce w parku. To ten sam park, w którym wcześniej były koty. Nikogo tu nie ma. Dwie huśtawki, jedna przy drugiej, suche liście pokrywające ziemię. Księżyc wiszący na niebie. Takahashi wyjmując z kieszeni własną komórkę i wybiera numer.

Pokój Mari w hotelu Alphaville. Dzwoni telefon. Mari budzi się między czwartym a piątym dzwonkiem. Marszczy brwi i patrzy na zegarek. Wstaje z fotela, odbiera telefon.

- Halo - mówi niepewnym głosem.

- Halo. To ja. Spałaś?

- Trochę - mówi Mari. Zakrywa słuchawkę dłonią i chrząka. - Ale nie szkodzi. Tylko zdrzemnęłam się na fotelu.

- Jeśli masz ochotę, to może poszlibyśmy teraz na śniadanie? Do tej jadłodajni ze smacznymi omletami, o której ci wcześniej mówiłem. Myślę, że mają też inne dobre rzeczy, nie tylko omlety.

- Próba się skończyła? - pyta Mari. Jej głos nie brzmi jakoś jak jej własny. Jestem sobą i nie jestem sobą.

- Skończyła. I umieram z głodu. A ty?

- Prawdę mówiąc, nie jestem zbyt głodna. Wolałabym raczej wrócić do domu.

- Dobra. No to przynajmniej odprowadzę cię na dworzec. Myślę, że już jeżdżą pociągi.

- Mogę stąd sama dojść do dworca - mówi Mari.

- Ale chciałbym, jeśli można, jeszcze trochę z tobą porozmawiać. Porozmawiajmy po drodze. Jeżeli ci to nie będzie przeszkadzało.

- Nie będzie mi przeszkadzało.

- To będę tam po ciebie za dziesięć minut. Dobra?

- Dobra - odpowiada Mari.

Takahashi wyłącza się, zamyka telefon i chowa do kieszeni. Wstaje z ławki, przeciąga się energicznie i podnosi wzrok na niebo. Jeszcze jest ciemne. Widnieje na nim ten sam sierp

księżyc. Kiedy patrzy się na niebo przed świtem z jakiegoś zakątka miasta, sam fakt, że taki duży obiekt wisi gratis na niebie, wydaje się zadziwiający.

- Nie uciekniesz - mówi Takahashi, patrząc na księżyc.

Zagadkowe echo tych słów pozostaje w nim jak jakaś metafora. Nie uciekniesz. „Ty może zapomnisz, my nie zapominamy” - powiedział przez telefon mężczyzna. Kiedy się zastanawia nad znaczeniem tych słów, zaczyna mu się wydawać, że być może nie były przeznaczone dla kogoś innego, a skierowane bezpośrednio właśnie do niego. Może to się nie stało przypadkiem? Może ten telefon cicho przyczaił się na półce w sklepie i czekał, aż on tam przyjdzie? My, myśli Takahashi. Kim mogą być ci my? I czego nie zapomną?

Takahashi zarzuca na ramię futerał z puzonem oraz torbę i swobodnym krokiem rusza w stronę Alphaville. Idąc, pociera zarost na policzkach. Ostatnia ciemność nocy owija miasto jak cienka skóra. Na ulicach zaczynają się pojawiać śmieciarki. Mijają się z nimi przechodnie, którzy spędzili noc w różnych zakamarkach miasta, a teraz ruszają w stronę dworca. Jak jeden mąż zmierzają do pierwszego pociągu. Przypominają ławicę ryb płynącą pod prąd. To ludzie, którzy wreszcie skończyli całonocną pracę, młodzież zmęczona zabawą do rana - ich sytuacje, prawa są różne, lecz milczą prawie tak samo, jakby się umówili. Nawet młode przytulone do siebie pary, zatrzymujące się przed automatami z napojami, teraz nie mają już sobie nic do powiedzenia. Dzielą się tylko bez słowa odrobiną ciepła, jaka w nich jeszcze została.

Nowy dzień jest już tylko o krok, ale stary jeszcze zwleka, ciągnąc za sobą ciężki płaszcz. Stary i nowy czas kłócą się, mieszają, jak woda morska i rzeczna zmagające się ze sobą gwałtownie u ujścia rzeki. Takahashi też nie bardzo potrafi ocenić, w którym świecie znajduje się jego własny środek ciężkości.

17



Mari i Takahashi idą obok siebie ulicą. Mari niesie na ramieniu torbę, czapkę drużyny Red Sox naciągnęła głęboko na czoło. Jest bez okularów.

- No jak, nie chce ci się spać? - pyta Takahashi.

Mari potrząsa głową. - Nie, bo się zdrzemnęłam.

Takahashi mówi: - Kiedyś wracałem do domu po całonocnej próbie, wsiadłem w

Shinjuku w linię Chu@ó i obudziłem się w prefekturze Yamanashi. Byłem w sercu gór. Nie ma się czym chwalić, ale już taki jestem, że wszędzie mogę spać.

Mari milczy, wydaje się myśleć o czymś innym.

- Słuchaj... wracam do tego, o czym przedtem rozmawialiśmy. Do Eri Asai - zaczyna Takahashi. - Wiesz, jeśli nie chcesz o tym mówić, nie musisz. Ja tylko zapytam.

- Uhm.

- Twoja siostra ciągle śpi. Nie budzi się. Zdaje się, że tak powiedziałaś. Prawda?

- Tak.

- Ja nie orientuję się w sytuacji, ale czy ty mówisz o stanie śpiączki? Że jest nieprzytomna?

Mari trochę się jąka: - Nie, nie o to chodzi. Myślę, że w tej chwili jej życiu nic nie zagraża. Tylko... śpi.

- Tylko śpi? - pyta Takahashi.

- Uhm. Tylko... - zaczyna Mari i wzdycha. - Słuchaj, przepraszam, jednak nie bardzo mogę o tym mówić.

- Dobra. Jak nie możesz mówić, nie musisz.

- Jestem zmęczona, nie mogę zebrać myśli. A poza tym mój własny głos wydaje mi się jakiś obcy.

- Porozmawiamy kiedy indziej. Przy innej okazji. Teraz zostawmy to.

- Uhm - mówi Mari jakby z ulgą.

Potem przez pewien czas się nie odzywają. Idą wciąż w stronę dworca. Takahashi lekko pogwizduje.

- O której właściwie robi się widno? - pyta Mari.

Takahashi patrzy na zegarek. - O tej porze roku, hm... chyba koło szóstej czterdzieści. Teraz są najdłuższe noce, jeszcze trochę będzie ciemno.

- Ciemność jest bardzo męcząca.

- Zasadniczo o tej porze wszyscy powinni spać - mówi Takahashi. - Historycznie biorąc, dopiero bardzo niedawno ludzie zaczęli spokojnie wychodzić na dwór po zmierzchu.

Dawniej, jak tylko się ściemniło, chowali się w jaskiniach, musieli się chronić. Nasze biologiczne zegarki są nastawione na spanie po zmroku.

- Zdaje mi się, że minęło bardzo dużo czasu od wczorajszego popołudnia, kiedy zrobiło się ciemno.

- Pewnie rzeczywiście minęło dużo czasu.

Duża ciężarówka dostawcza stoi przed drogerią, kierowca wnosi towary do sklepu pod podniesioną do połowy żaluzją. Przechodzą obok.

- Słuchaj, czy będę mógł niedługo znów się z tobą zobaczyć? - pyta Takahashi.

- Po co?

- Po co? - powtarza Takahashi. - Bo chcę się znów z tobą zobaczyć i porozmawiać. Jeżeli to możliwe, to o trochę normalniejszej porze.

- To znaczy jakby na randce?

- Można to pewnie tak nazwać.

- A właściwie o czym byśmy rozmawiali, gdybyśmy się spotkali?

Takahashi zastanawia się przez chwilę. - Jakie mamy wspólne tematy, o to pytasz, prawda?

- Chodzi mi o inne, poza Eri.

- No tak, tak nagle zapytałaś, że nic konkretnego nie przychodzi mi do głowy. W tej chwili. Ale jeśli się spotkamy, to wydaje mi się, że będziemy mogli pogadać o różnych rzeczach.

- Na pewno niezbyt ciekawie by ci się ze mną rozmawiało.

- Ktoś ci kiedyś to powiedział? Że nieciekawie się z tobą rozmawia?

Mari potrząsa głową. - Nie, nikt mi nie mówił.

- No to nie masz się czym przejmować.

- Czasami ludzie mi mówią, że jestem trochę ponura - wyznaje Mari szczerze.

Takahashi przerzuca futerał z puzonem z prawego ramienia na lewe. - Słuchaj, życie nie dzieli się po prostu na rzeczy ponure i wesołe. Pośrodku jest pośrednia strefa cienia. Zdrowy intelekt opiera się na uświadomieniu sobie i zrozumieniu etapu cienia. A osiągnięcie

zdrowego intelektu wymaga odpowiedniego czasu i wysiłku. Myślę, że nie jesteś z natury szczególnie ponura.

Mari zastanawia się nad tym, co powiedział Takahashi. - Ale jestem tchórzliwa.

- Nie, nie jesteś. Tchórzliwa dziewczyna nie spędziłaby sama nocy w mieście. Chciałaś coś tu znaleźć. Prawda?

- Tutaj, to znaczy gdzie? - pyta Mari.

- To znaczy w miejscu innym niż zwykle, na terenie oddalonym od własnego terytorium.

- Ciekawe, czy coś znalazłam.

Takahashi patrzy na Mari z uśmiechem.

- Przynajmniej ja chcę się znów z tobą zobaczyć i porozmawiać. Tego bym sobie życzył.

Mari patrzy na niego. Ich oczy się spotykają.

- Ale to może być trudne - mówi ona.

- Trudne?

- Uhm.

- To znaczy, że możemy się już więcej nie spotkać?

- Realistycznie na to patrząc.

- Chodzisz z kimś?

- Nie, w tej chwili nie.

- To w takim razie niezbyt ci się podobam?

Mari potrząsa głową. - Nie o to chodzi. Tylko w przyszły poniedziałek już mnie nie będzie w Japonii. Mam, na razie do czerwca przyszłego roku, jechać w ramach wymiany studenckiej na uniwersytet do Pekinu.

- Aha - mówi Takahashi z podziwem. - Musisz być wybitnie zdolną studentką.

- Złożyłam podanie tylko na próbę, myśląc, że na pewno nic z tego, ale zakwaterowali mnie. Sądziłam, że się nie uda, bo jestem dopiero na pierwszym roku, ale zdaje się, że to jakiś specjalny program.

- To świetnie. Gratuluję!

- No i zostało już tylko kilka dni do wyjazdu, muszę się przygotować i myślę, że będę

zajęta różnymi sprawami.

- Oczywiście.

- Co oczywiście?

- Że musisz się przygotować do wyjazdu do Pekinu, będziesz zajęta różnymi sprawami i nie będziesz miała czasu na spotkania ze mną. Oczywiście - mówi Takahashi. - Dobrze to rozumiem. Dobra, nie szkodzi. Mogę poczekać.

- Ale wrócę do Japonii dopiero za ponad pół roku.

- Może na to nie wyglądam, ale jestem dość cierpliwy. Jestem też stosunkowo niezły w wytracaniu czasu. Możesz mi podać swój chiński adres? Chciałbym do ciebie napisać list.

- Uhm - mówi Mari.

- A jak wrócisz latem przyszłego roku do Japonii, to umówimy się na randkę czy coś tam. Pójdziemy do zoo albo do ogrodu botanicznego, albo do oceanarium i zjemy w miarę możliwości politycznie poprawne smaczne omlety.

Mari znów spogląda na Takahashiego. Patrzy mu prosto w oczy, jakby chciała się w czymś upewnić.

- Ale dlaczego ty się mną interesujesz?

- Hm, dlaczego? W tej chwili sam nie bardzo potrafię to wytłumaczyć. Ale myślę, że jak się z tobą pospotykam i porozmawiamy, zacznie w pewnej chwili skądś dobiegać muzyka w stylu Francisa Lai i będę w stanie podać ci jedną po drugiej przyczynę, dla których się tobą interesuję. Może nawet nam napada śniegu.

Dochodzą do dworca. Mari wyjmuje z kieszeni niewielki czerwony notes, pisze adres w Pekinie, wydiera kartkę i podaje Takahashiemu, który składa ją na dwoje, następnie wsuwa do własnego portfela.

- Dzięki. Napiszę długi list - mówi.

Mari zatrzymuje się przed zamkniętą barierką biletową i zastanawia się nad czymś. Waha się, czy powiedzieć, o czym myśli.

- Przypomniałam sobie wcześniej coś w związku z Eri - zaczyna, kiedy wreszcie podjęła decyzję. - Przez długi czas o tym nie pamiętałam, ale po twoim telefonie siedziałam bezmyślnie na krześle w hotelu i nagle wróciło to wspomnienie. Nieoczekiwanie. Mogę ci teraz o tym powiedzieć?



- Oczywiście.

- Chcę o tym komuś opowiedzieć, póki jeszcze dokładnie pamiętam - mówi Mari. - Wydaje mi się, że inaczej umkną mi szczegóły.

Takahashi podnosi rękę do ucha na znak, że zamienia się w słuch.

Mari zaczyna mówić. - Kiedy chodziłam do przedszkola, utkwiliśmy raz z Eri w windzie w naszym bloku. Pewnie było trzęsienie ziemi. Winda zatrzęsła się gwałtownie między piętrami i stanęła. Jednocześnie zgasło światło i zrobiło się zupełnie ciemno. Naprawdę zupełnie ciemno. Nie było nic widać na wyciągnięcie ręki. I w windzie nie było nikogo prócz nas. Zmartwiałam w panice. Jakbym dosłownie skamieniała. Nie mogłam nawet ruszyć palcem. Miałam trudności z oddychaniem. Nie byłam w stanie wydobyć głosu. Eri zawołała mnie po imieniu, lecz nie mogłam odpowiedzieć. W głowie miałam pustkę, jakby mi ją sparaliżowało. Głos Eri też zdawał się tylko dochodzić przez jakąś szczelinę...

Mari zamyka na chwilę oczy i odtwarza w myślach tamtą ciemność.

Potem mówi dalej: - Nie pamiętam, jak długo panowała ta ciemność. Zdawało mi się, że strasznie długo, lecz w rzeczywistości mogło wcale tak nie być. Ale nieważne, czy to było pięć czy dwadzieścia minut, tu nie chodzi o konkretną liczbę. W każdym razie w tej kompletnej ciemności Eri mnie objęła. I to nie tak zwyczajnie. Objęła mnie bardzo mocno, jakby nasze ciała stopiły się w jedno. Ani na chwilę nie zwolniła tego uścisku. Jakby myślała, że jak się raz rozdzielimy, już nam się nie uda na tym świecie ponownie spotkać.

Takahashi oparty o bramkę biletową czeka w milczeniu na dalszy ciąg opowiadania. Mari wyjmuje prawą rękę z kieszeni kurtki i przez pewien czas jej się przygląda. Podnosi głowę i mówi dalej:

- Oczywiście myślę, że Eri też musiała się strasznie bać. Pewnie była równie przerażona jak ja. Na pewno chciała głośno krzyknąć, rozplakać się. Przecież była dopiero w drugiej klasie podstawówki. Ale zachowała spokój. Pewnie postanowiła wtedy, że będzie silna. Zdecydowała, że skoro jest starsza, musi ze względu na mnie być silna. „Wszystko dobrze, Nie bój się. Jestem tu z tobą. Ktoś zaraz przyjdzie nam pomóc” - szeptała mi ciągle do ucha. Bardzo pewnym spokojnym głosem. Zupełnie jak ktoś dorosły. Nie pamiętam już, co śpiewała, ale zaśpiewała mi nawet piosenkę. Ja też chciałam razem z nią śpiewać, lecz nie mogłam. Ze strachu nie mogłam wydobyć głosu. Więc Eri sama mi śpiewała. Wtedy w jej ramionach czułam się zupełnie bezpieczna. W tej ciemności stałyśmy się jednością, nic nas nie dzieliło. Nawet nasze serca były razem. Potem nagle zapaliło się światło, winda szarpnęła i

ruszyła. Mari przerywa na chwilę. Szuka w pamięci, dobiera słowa.

- Ale to było ostatni raz. Taka... jakby to powiedzieć, chwila, kiedy udało mi się najbardziej do niej zbliżyć. Nasze serca się połączyły, nic nas nie dzieliło. Zdaje mi się, że potem bardzo się od siebie oddaliśmy. Byliśmy daleko od siebie i z czasem zaczęliśmy żyć w oddzielnych światach. Nigdy już nie powróciło to uczucie jedności, to wrażenie, którego doznałam wtedy w ciemności w tej windzie, że nasze serca są połączone. Nie wiem, co się stało, ale w każdym razie nie udało nam się już do tego wrócić.

Takahashi wyciąga dłoń i bierze Mari za rękę. Mari trochę się dziwi, ale nie cofa ręki. Takahashi długo, delikatnie, spokojnie ściska jej dłoń. Jest drobna, miękka.

- Tak naprawdę to nie chcę jechać - mówi Mari.

- Do Chin?

- Tak.

- Dlaczego nie chcesz?

- Bo się boję.

- Naturalnie, że się boisz. Przecież jedziesz sama w mało znane, dalekie miejsce - mówi Takahashi.

- Uhm.

- Ale wszystko będzie dobrze. Poradzisz sobie. A ja będę tu czekał, aż wrócisz.

Mari kiwa głową.

- Jesteś bardzo ładna, wiesz?

Mari podnosi głowę i patrzy na Takahashiego. Potem cofa rękę i wsadza do kieszeni kurtki. Patrzy pod nogi. Sprawdza, czy żółte adidas nie są brudne.

- Dziękuję. Ale teraz chcę wrócić do domu.

- Napiszę do ciebie list - mówi Takahashi. - Strasznie długachny, taki, jakie pojawiają się w dawnych powieściach.

- Uhm.

Mari przechodzi przez bramkę, idzie na peron i znika w czekającym tam pośpiesznym pociągu. Takahashi odprowadza ją wzrokiem. Wkrótce rozlega się sygnał odjazdu, drzwi się zamykają, pociąg odjeżdża. Kiedy znika mu z oczu, Takahashi podnosi z ziemi futerał,

zarzuca na ramię i lekko pogwizdując, idzie w kierunku dworca linii JR. Po trochu przybywa przyjeżdżających i odjeżdżających pasażerów.

18



Pokój Eri Asai. Za oknem coraz bardziej się rozwidnia. Eri Asai leży w łóżku. Ani jej wyraz twarzy, ani pozycja nie zmieniły się od czasu, kiedy ostatni raz ją widzieliśmy. Spowija ją gruby płaszcz snu.

Mari wchodzi do pokoju. Cicho, by rodzina się nie zorientowała, otwiera drzwi, wchodzi do środka, bezgłośnie je zamyka. Cisza i chłód pokoju wywołują w niej lekkie napięcie. Stojąc przed drzwiami, ostrożnie rozgląda się po pokoju siostry. Najpierw upewnia się, że to ten sam pokój. Sprawdza, niczego nie pomijając, czy nie ma tu żadnych zmian, czy gdzieś w kącie nie kryje się coś nieznanego. Potem podchodzi do łóżka i spogląda na twarz głęboko uśpionej Eri. Wyciąga rękę, dotyka jej policzka, cicho wypowiada jej imię. Nie ma żadnej reakcji. Jak zwykle. Mari przyciąga do wezglowia obrotowe krzesło przed biurka i siada. Pochyla się i uważnie obserwuje z bliska twarz siostry. Jakby szukała ukrytego tam szyfru.

Mija około pięciu minut. Mari wstaje z krzesła, zdejmując czapkę Red Sox, przygląda potargane włosy, odpina zegarek. Układa przedmioty na biurku siostry. Zdejmuje kurtkę baseballową i bluzę z kapturem. Zdejmuje flanelową koszulę w kratę, którą miała pod spodem i zostaje tylko w białym podkoszulku. Zdejmuje grube sportowe skarpetki i dzinsy. Wślizguje się do łóżka siostry. Układa się wygodnie pod kołdrą i obejmuje szczupłym ramieniem leżącą na plecach Eri. Lekko przyciska policzek do jej piersi i nieruchomieje. Wyteża słuch, chcąc zrozumieć wszystkie uderzenia jej serca. Kiedy tak nasłuchuje, oczy Mari łagodnie się zamykają. Wkrótce spod zamkniętych powiek nieoczekiwanie zaczynają płynąć łzy. Bardzo naturalne duże łzy. Ciekną po policzkach, spadają i moczą piżamę siostry. Po nich toczą się i spadają następne.

Mari siada na łóżku, ociera łzy. Nagle zaczyna się czuć w stosunku do czegoś - nie wie, czego konkretnie - straszliwie winna. Zdaje jej się, że zrobiła coś nieodwracalnego. To uczucie ogarnia ją zupełnie nieoczekiwanie, dziewczyna nie pojmuje, co je poprzedziło, co przyjdzie po nim. Ale jest dotkliwe. Łzy ciągle płyną. Mari zbiera je w dłonie. Świeżo spadłe łzy są gorące jak krew. Zachowały jeszcze ciepło wnętrza ciała. Mogłam przecież być w jakimś innym miejscu, nie tutaj, myśli nieoczekiwanie Mari. Eri przecież też mogła być w

jakimś innym miejscu, nie tutaj.

Dla pewności Mari jeszcze raz rozgląda się po pokoju, potem spuszcza wzrok na twarz Eri. Piękna twarz śpiącej - naprawdę ładna. Ma się ochotę zamknąć Eri w szklanej gablocie. Teraz akurat opuściła ją świadomość. Gdzieś się skryła, czai się. Ale na pewno płynie jak podziemny strumień gdzieś, gdzie wzrok nie sięga. Mari udaje się dosłyszeć ciche echo jego szumu. Wyteża słuch. Nie bardzo daleko stąd. I ten strumień na pewno łączy się gdzieś z moim własnym nurtem. Mari to czuje. Jesteśmy siostrami.

Mari pochyla się i lekko dotyka wargami ust Eri. Podnosi głowę, znów patrzy na twarz siostry. Pozwala czasowi przepływać przez swoje serce. Jeszcze raz całuje Eri. Tym razem dłużej. Bardziej miękko. Czuje się zupełnie jakby całowała samą siebie. Mari i Eri, różnica jednej sylaby. Uśmiecha się. Potem jakby z ulgą zwija się w kłębek, by usnąć obok siostry. Chce jak najciaśniej do niej przylgnąć, aby mogły przekazać sobie nawzajem ciepło. Przekazać sobie nawzajem znaki życia.

- Eri, wróć - szepcze jej do ucha. - Proszę cię. - Potem się rozluźnia. Gdy zamyka oczy, jak wielka fala z otwartego morza nadchodzi i spowija ją sen. Łzy już nie płyną.

Za oknem błyskawicznie się rozwidnia. Przez szpary obok rolety wślizgują się do pokoju promienie jasnego światła. Stary czas traci efektywność i znika w tle. Wielu ludzi jeszcze bełkocze stare słowa. Lecz w nowym świetle słońca, które dopiero co wzeszło, znaczenie słów błyskawicznie się przenosi, próbuje odnowić. Nawet jeżeli większość tych nowych znaczeń to efemerydy, które przetrwają tylko do zmierzchu tego dnia, będziemy z nimi spędzać czas, z nimi iść naprzód.

Zdaje się, że przez sekundę mignął ekran telewizora w kącie pokoju. Światło próbuje się wydostać na powierzchnię kineskopu. Chyba coś zaczyna się tam poruszać. Lekkie drganie czegoś w rodzaju obrazu. Czyżby obwód gdzieś znowu próbował połączyć? Wstrzymując oddech, obserwujemy te zmiany. Lecz w następnej chwili na ekranie nic już nie widać. Zostaje na nim jedynie pustka.

Być może zdawało nam się, że coś tam widzimy, było to jedynie złudzenie. Być może zaglądale do pokoju światło z jakiejś przyczyny zadrżało i odbiło się tylko w szklanym ekranie. W pokoju niezmiennie panuje cisza. Lecz jej głębia i ciężar znacznie się zmniejszyły. Teraz docierają do nas głosy ptaszków. Gdyby bardziej wyteżyć słuch, być może udałoby się uchwycić odgłos rowerów przejeżdżających ulicą, rozmowy, radiową prognozę pogody. Może nawet dosłyszałyby się szelest przypalanych grzanek. Szczodre poranne słońce za darmo

kąpie wszystkie zakątki świata. Młode siostry śpią sekretnie przytulone w niewielkim łóżku. Prawdopodobnie nikt prócz nas o tym nie wie.



Wnętrze sklepu Seven Eleven. Sprzedawca z listą w dłoni pochylony w przejściu między półkami sprawdza ilość towarów. Rozlega się japoński hip-hop. Sprzedawca jest młodym mężczyzną. To on wcześniej przyjął w kasie pieniądze od Takahashiego. Rozjaśnione do brązu włosy, szczupły. Pod koniec nocnej zmiany wygląda na zmęczonego, kilka razy ziewa rozdzierająco. Słysząc, jak z dźwiękami muzyki zlewa się dzwoniący gdzieś telefon komórkowy. Mężczyzna wstaje i rozgląda się. Zagląda między wszystkie półki. Nie widać żadnych klientów. W sklepie nie ma nikogo prócz niego. Komórka nadal uparcie dzwoni. Dziwna sprawa. Szuka tu i tam, aż w końcu znajduje telefon na półce w chłodziarce z nabiałem. Ktoś go tu zostawił.

To przechodzi ludzkie pojęcie, kto mógł przez pomyłkę zostawić w takim miejscu telefon? Chyba jakiś wariat? Cmoka ze zniecierpliwieniem, zniechęcony ujmuje zimne urządzenie, odbiera i przykłada do ucha.

- Halo?

- Może myślisz, że ci się udało - mówi męski głos pozbawiony intonacji.

- Halo! - krzyczy sprzedawca.

- Ale nie uciekniesz. Choćbyś uciekał, nam nie uciekniesz.

Zapada krótka znacząca cisza i rozmowa zostaje przerwana.



Przeobrażeni w czysty punkt widzenia jesteśmy nad miastem. Widzimy budzącą się olbrzymią metropolię. Różnokolorowe pociągi wiozące ludzi do pracy jadą każdy w swoim kierunku, przewożą tłumy z miejsca na miejsce. Ci ludzie różnią się twarzami i psychiką, lecz jednocześnie są bezimienną częścią zbiorowości, pewną całością, jednocześnie stanowiącą część składową. Zręcznie wykorzystując ten dualizm, precyzyjnie i bystro wykonują poranne rytuały. Myją zęby, golą się, wiążą krawaty, malują usta szminką. Rzucają okiem na

wiadomości telewizyjne, zamieniają parę słów z rodziną, jedzą posiłki, oddają stolec.

Z nastaniem świtu przybywają do miasta stada wron, by zapolować na pożywienie. Ich czarne jak smoła oleiste skrzydła lśnią w porannym słońcu. Dualizm nie jest dla wron równie ważny jak dla ludzi. Najważniejszym zadaniem jest dla nich zdobycie pożywienia potrzebnego do utrzymania się przy życiu. Śmieciarki jeszcze nie wywiozły wszystkiego. W końcu to olbrzymie miasto i wytwarza ogromną ilość odpadów. Z hałaśliwym krakaniem wrony opadają na każdy zakątek miasta jak eskadra pikujących bombowców.

Nowe słońce zalewa ulice nowym światłem. Szyby wieżowców lśnią oślepiająco. Niebo jest czyste. W tej chwili nie ma nawet śladu chmurki. Widać jedynie ciągnącą się nad horyzontem mgłę smogu. Sierp księżycy przeobraził się w białą skałę milczenia, w utraconą daleko wiadomość. Widać go po zachodniej stronie nieba. Helikopter wiadomości telewizyjnych krąży po niebie jak nerwowy owad i wysyła do stacji obraz sytuacji na drogach. Przy bramkach pobierających opłaty na autostradzie zaczynają się już tworzyć korki ciężarówek, które chcą wjechać do miasta. Uliczki wciśnięte między budynki pogrążone są ciągle w chłodnym cieniu. Pozostało tam jeszcze wiele nienaruszonych wspomnień wczorajszej nocy.



Nasz punkt widzenia oddala się od centrum miasta i przenosi się nad cichą dzielnicę mieszkaniową na przedmieściach. W dole widać rzędy piętrowych domków z ogródkami. Widziane z góry, wszystkie wyglądają mniej więcej tak samo. Takie same dochody, taka sama struktura rodziny. Nowe ciemnogrnatowe volvo z dumą odbija poranne słońce. Na trawniku ustawiona siatka do ćwiczenia uderzeń golfowych. Świeżo dostarczone poranne wydanie gazety. Ludzie wyprowadzający na spacer duże psy. Dobiegające z okien kuchni odgłosy przygotowywanego posiłku. Głosy nawołujących się ludzi. Tutaj też zaczyna się zupełnie nowy dzień. Może będzie nijaki, nieróżniący się od innych, a może wspaniały, taki, który z różnych powodów pozostanie w pamięci. Ale tak czy inaczej w tej chwili jest dla każdego niezapisaną białą kartką.

Wybieramy jeden z identycznie wyglądających domów i obniżamy się prosto w jego stronę. Przenikamy okno na piętrze osłonięte kremową roletą i bezszelestnie dostajemy się do pokoju Eri Asai.

Mari śpi w łóżku przytulona do siostry. Słysząc jej cichy oddech. Na tyle, na ile możemy to osądzić, wydaje się, że jest to spokojny sen. Być może dlatego, że się rozgrzała, jej policzki zdają się nieco bardziej rumiane niż przedtem. Grzywka opadła na oczy. Może coś jej się śni, a może to pozostałość jakichś wspomnień, ale na ustach błąka się cień uśmiechu. Mari przetrwała długi okres ciemności, zamieniła wiele słów ze spotkanymi ludźmi nocy, teraz wreszcie wróciła na swoje miejsce. Przynajmniej na razie nie ma wokół niej rzeczy, które ją przerażają. Ma dziewiętnaście lat, chronią ją dach i ściany. Chronią ją też trawnik w ogrodzie, alarm przeciwlamaniowy, świeżo nawoskowane kombi, mądre duże psy spacerujące po okolicy. Zagładające przez okno poranne słońce łagodnie ją spowija, ogrzewa. Lewa ręka Mari leży na czarnych włosach Eri rozrzuconych na poduszce. Palce są naturalnie miętko otwarte, odrobinę zgięte.

Co do Eri, to nie dostrzegamy żadnych zmian w wyrazie jej twarzy ani w pozycji. Chyba w ogóle nie zauważyła tego, że młodsza siostra wślizgnęła się pod kołdrę i śpi obok niej.

Lecz wkrótce leciutko poruszają się drobne wargi Eri, jakby na coś reagowały. To błyskawiczne drżenie trwało chwilę, może dziesiątą część sekundy. Ale jesteśmy wyostrzonym punktem widzenia i nie przeoczyliśmy tego ruchu. Wyraźnie zauważamy ten momentalny sygnał ciała. To drżenie mogło być leciutkim ruchem płodu, znakiem czegoś, co ma nadejść. Albo drobniutką zapowiedzią niewielkiego ruchu. Tak czy inaczej coś próbuje wysłać na tę stronę jakiś znak przez niewielką szparę świadomości. Niewątpliwie odnosimy takie wrażenie.

Uważnie, ukradkiem staramy się obserwować, jak ta zapowiedź, nie pozwalając, by coś jej stanęło na drodze, powoli, nie śpiesząc się, rośnie w nowym świetle poranka. Noc wreszcie się rozjaśniła. Jest jeszcze czas do nadejścia następnej ciemności.